

# HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

opisane przez

J. I. Kraszewskiego.

---

WARSZAWA.

Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa.



HEROD-BABA.



# HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

**J. I. Kraszewskiego.**

---

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1880.

WYCOFANO Z KOLEKCJI  
MUZ. UM. WARSZAWY  
W KRAKOWIE



Дозволено Цензурою.  
Варшава, 8 Октября 1879 г.

Krasz. 437



Warszawa.—Druk S. Orgelbrandta Synów, Bednarska Nr. 20.

1086 1. 26

Spojrzawszy po dzisiejszym świecie jak on sobie szary, mdły, jednostajny i wystygły wygląda—a porównawszy do owego bujnego żywota dni przeszłych, tak pstrego, krásnego, zawiesistego i wrażliwego—nam starym aż się chce westchnąć, że te ludziska skarłowacieli tak i zamarzli. Miły Boże! co się to działo, co się to działo za onych czasów, o których nam dziadowie rozpowiadali! Nie powiem, żeby tam wszystko było lepiej, ani utrzymuję, żeby dziś miało gorzej być—ale dalipan—było inaczej! o! inaczej! Człęk żył i czuł, że żył, bo się i sparzył nieraz, i kresę po łbie oberwał, i zawrzało w nim i zakipiało, i rozsierdził się—ale kiedy potem ścisnął a całował, to aż kości trzeszczały. Mężczyzni i kobiety byliśmy wszysey jakoś mężniejsi w życiu i gorętsi. „Smakował nam światek,” jak mówi o Reju Trzeciaki. Pościliśmy o chlebie i wodzie, ale pili konwiani; rąbało się na śmierć, a kochało do zdechu.

Wszystko to dziś blade, mizerne, kaszlące, chorowite, ani kocha, ani nienawidzi—ledwie dysze i tylko co żyje...

Tego z was nikt nie pamięta, ani może o tém sły-szał, co się jeszcze za Augusta II trafiło panu Zygmuntowi Piętcę; aja wam to opowiem, żebyście mieli jaką taką próbkę życia, które się wówczas plotło prawie wszędzie, i poznali jaki to był wigor u nas nie tylko w mężczyznach ale i w niewiastach.— Ale muszę zacząć *ab ovo*, i powiedzieć najprzód o rodzinie i gnieździe.

Wiadomo, że dom Piętków Oczkowiczów pochodził z Drohickiego—ale, jak to szlachta uboższa, bo nawet i średnich fortun ludzie nigdy długo miejsca nie zagrzeli, a młódzieź się rozłaziła po kraju szczęścia szukając, i potem żeniła, osiadała i krzewiła po różnych ziemiach—tak i owi Piętkowie, którzy się pieczętowali Ślepowronem, gdy się rozrodzili, mało ich gdzie nie było. Herb zatrzymawszy jeden, bo w ostatnich czasach już, jak dawniej klejnotów nie przerabiano—pisali się Piętkowie rozmaicie od wsi i folwarków, które posiadali;—Piętka Zygmunt o którym mówić mam, rodził się ze Strumiłówny herbu Dąbrowa, ojciec jego a podobno dziad osiadł w Krakowskiem, nabywszy tam wioskę zamieszkał i był pono łowczym, bo syna łowczycem nazywano, dopóki starostwa małego nie dostawszy i tytułu z niem nie nabył.



Otóż to wiedzieć należy, iż rodem kury czubate—o czém się każdy co żył przekonać może. Czy się to dzieje krwi dziedzictwem, czy przykładem a obyczajem domowym—pewna, że nie daleko pada jabłko od jabłoni i sowa nie urodzi sokoła. Gadajcie sobie co chcecie, jaki ojciec taki syn, rzadko inaczej. Powiecie mi, że rozrzućnym się skąpy rodzą, a sknery mają synów marnotrawnych—prawda to, ale jedna umysłu i temperamentu krewkość zbytnia stwarza i onych sknerów i rozrzućników!—Były familie ciemiągów i rody zuchwałe... u innych krew wrząca szła z ojca na syna.

Piętków Ślepowronów cały ród znany był że jeden w drugiego rosły u nich szalone pałki. Jak są konie, co dopiero w siódmym roku składają, tak owi Piętkowie dopiero pod czwarty krzyżyk zaczynali się moderować i stawać ludzmi poważnymi. I potem byli z nich tacy zaci i nieczciwi obywatele i do tańca i do różańca, że lepszych nie znaleźć—ale za młodu... nie było łańcucha, na którymbyś ich utrzymał. Opowiadano o ich wybrykach dziwy: — jeden zbiegł na Sicz i tam kilka lat kozaczył; drugi o kilku talarach z domu uszedłszy, całą Europę przewędrował i z dobrze nabitym trzosem do domu powrócił; inny na pal wbity w Konstantynopolu mizernie życie skończył. Gdzie ich nie było! i po klasztorach i po obozach, a najwięcej gdzie się bito, pito i cholewy smalono bo do tego nie było nad nich przedniejszych. Rzekłbyś, że ich dom to piekło za młodu, że doma usie-

dzieć nie mogli jednego dnia; hej! zabrakło konia i siodła w stajni, a panieza w domu, ojciec się tylko podrapał po łysinie, wiedział on co to miało znaczyć—furknął ptaszek, a jak furknął, wabić go i łapać i nawoływać darino było — musiał chłopak się swobodnie wyszumieć—powracali do domu różnie, jedni obcegi i nadzy jak marnotrawni synowie, drudzy w sajetach i rzędach złocistych — bo szczęście różnie służyło: rzadko który bez kresy przez łeb.

Który ojciec rozum miał, dawał syna zawczasu do obozu, tam już owa wielka fantazya najłatwiej się mogła wysunąć i wykipieć... Najgorzej wyszedł kto ją chciał hamować, bo często garnek rozsadziła. Opowiadano o Hilarym Piętee, co miał dobra Szeligi w Drohickiem, że syna był dał do nowicyatu do księży Jezuitów i chciał go księdzem mieć... aż ten mu później wrócił do domu, ale żonaty z Węgierką.

Ojciec pana Zygmunta i sam pono za młodu nie był lepszy; szczęściem że trochę wojskowo służył, to się pod zbroją wyłupał i krwi mu trochę puszczone... potem ożenił się z ową Strumiłówną, gospodarzyć zaczął zawzięcie, a resztę ognia na łowach puszczał, bo był istotnie łowczym *de nomine et re*, zawołanym, szczególniej na wilki, na niedźwiedzie, na dziki i gdzie się czasem oszczepu chwycić trzeba było, passę do tego wielką miał. Człęk zresztą stateczny, w przyjaźni stały, miłosierny, a jak się rozczulił, do rany go było przyłożyć—gdy mu się Zygmus urodził, że niezmiernie dzieci lubił, to go więcéj może sam na

rękach nosił niżeli piastunka, a potem go bawił, kijki mu strugał, dziwów z nim dokazywał.

Raz go, gdy chłopak jeszcze bardzo mały był, zastali jak do snu go kołysał, a no trudno odgadnąć w czém. Na ścianie wisiała zbroja ciężka żelazna, co ją na piersiach husarze nosili. Zygmunta w nią włożywszy, że była wypukła kołysał w niej i uspił; miano to za *omen*, iż z niego żołnierz będzie, ale się to niesprawdziło. Że jedynakiem był dzieciak, ukończanym ojcu i matce, a łowczy podejrzewał iż to tak się rozbuja pewnie jak zwykli Piętkowie, za wczasu dumali i przemyślali jakby go od szwanku salwować. Wszelkimi środkami i sposoby starali się złagodzić naturę porywczą, żywą, gorącą i uśmierzyć ją a dać mu obyczaję ciche i zamyślenie żywota spokojnego.

A no już za młodu zaczęło się okazywać, że ten ogień wypalić się musi—Zygmunt dobry był, ale wisus nad lata, nie było dnia gdy się na nogi podniósł, żeby figla nie splatał i guza nie oberwał, jeszcze mu jeden nie odtęchł, gdy już na drugiego biegł. Trzeba go było pilnować, chodzić za nim, a i tak zawsze się wyrwał. Ojciec bakałarza wziął do domu, który nogi stracił biegając za chłopakiem i do roku nie dotrwał. Drugi zachrypnął od krzyku; posłali go do szkół i pod rygor księży, a co się tam działo, naopowiadać się nie mogli. Szkody ojciec płacił co kwartał znaczne, suknie sprawiał, karano pono i bito, ale z tem jak bez tego; jutro się toż samo powtarzało.

Mówili znajomi i przyjaciele: — Przecież go we zbroi kołysał, to go do wojska daj. — A no — ojeu się nie chciało jakoś myślał, że się piwo wreszcie wyburzy.

Młodości wreszcie opisywé nie będę. — Łowczy był cięty niebezpiecznie od dzika, i chorzał, obawiał się żeby jedynak, któremu się już naówczas wás był puścił, nie szalał zbyt długo, i po radzie z jejnością postanowili go ożenić. A było to także nie łatwe zadanie jaką mu dać żonę, bo lada pokorne stworzenie nie dałoby sobie rady z Zygmuśiem, i trzeba mu było dobrać taką *hic mulier*, co by jegomości narzuciła dobre wędzidło i na wodzach trzymać umiała; samą zaś siłą nigdyby go nie mogła pokonać; należało więc szukać i urodliwej i mądrój niewiasty, co by tego wisusa okiełznała.

Wejź i ojciec i matka nie mówiąc Zygmusiowi, bo by się on ożenić wedle przykazania nigdy nie chciał, po cichu przepatrywali, przepytywali, rozglądali się. Już im o majątek nie szło, ani o świetną kolligacyę, byle co pocziwego, gładkiego i silnego, żeby się mogło postawić Zygmusiowi, a w kaszy mu się zjeść nie dało.

W sąsiedztwie mieszkał szlachciec Okoń Pieńkowski, nie ubogi, nie bogaty, zamożny, pracowity, a obdarzony pięciorgiem dorodnych córek. Dwie już z nich były zameżne, i błogosławieństwo wniosły do domów, trzy zostawały na wydaniu. Matka je wychowywała sama, a była kobieta co się zowie

rozumna i wielkiej woli; z niej pani łowczyzna wymiarkować mogła czém córki były, bo prawie zawsze matka je tworzy na obraz i podobieństwo swoje. Podobał im się dom i ludzie i panny, szczególnie najstarsza Elżusia i łowczemu i łowczyni. Dziewczyzna była jak łania, wzrostu słusznego, zbudowana krzepko, rumiana, oczki wesołe, śmiała i rażna, piękna na podziw, bo ze wszystkich sióstr krasą się odznaczała; ani blondynka jasna, ani zbyt ciemna brunetka, włosy miała kasztanowate, pozłociste, a warkocze gdyby u królowej. Przytém rączka i nóżka maluskie, drobne, zgrabne: słowem, że najwybredniejszy człek nie znalazł w niej do przyganienia nic, chyba to, że była śmiała jak mężczyzna i gusta miała trochę nie kobiece. Gdyby jej byli konia pozwolili, pewnieby sobie rady z nim dała; z muszkietu i pistoletów strzelała dla zabawy i takię wprawy nabrała, że aż podziwiano celnośćjéj strzałów; nieraz pono ojcę się do wilka na polowanie wprosiła nawet, o czém w domu mówić nie było wolno. Mimo takiego temperamentu kochali ją wszyscy, bo dobra była jak anioł i do poświęcenia chętna, a dla chorych i dla ubogich ostatnią sukienczynęby oddała; ale za to o pokrzywdzeniu czyjemś, o złych sprawach, o nieczemności ludzkiej przy niej mówić nie było możua, tak to ją oburzało... Matka, która u książąt Lubomirskich wychowała się z wojewodziankami razem i była jak powiadają i do stroju i do łożu—córki nauczyła potrosze i języków i mu-

zyki i głowy im pootwierała, mieli też potem do nich panią bonę wdowę po oficerze, który był z Leszczyńskim powędrował do Lotaryngii i tam zmarł, kobietę zacną i dworskiego wykształcenia—ta dopełniła co matka poczęła.

Oboje rodzice Zygmusia często bywając u Okóniów, nie mogli się Elżuni napatrzeć — bodaj że przy kieliszku stary łowczy z cześnikiem coś o dzieciach pogadali, ale tego nikt nie dosłyszał. Zygmusia trzeba było do panny tak prowadzić, żeby się nie domyślał, że mu ją dać chciano, boby od niej uciekł pewnie.

Nie wiem spełna jak do tego doszli, że do Okóniów pojechał i Elżusię zobaczył, a no z razu mu się nie podobala. Rodzice byli markotni. W zapusty zaprosili do siebie sąsiadów, Zygmusiowi powierzwszy gospodarstwo i przyjęcie, bo do tego był jedyny. Przyjechały i dwie zamężne i trzy jeszcze w domu będące Okóniówny. Elżunia między niemi perłą się wydawała, a nie tylko siostry, ale wszystkie inne kobiety gasiła nrodą i postacią. Zygmuntowi dopiero się oczy otworzyły, a bodaj i serce. Zabawy nadzwyczaj były wesołe, młodzież sobie dobrze podpiła. Zygmus Elżuni ani patrzył, ona mu też kwaśnej miny nie robiła, bo chłopiec był urodziwy, wesół, wygadany, zręczny, a taniec prowadził i wszystkich na podziw zagrzewać umiał, tak że rej miał wszędzie. Już pono pod koniec onych szalonych zapust, w tańcu snadź, gdy nie bardzo na nich uważano, panu

Zygmuntowi buziak malinowy Elżuni zasmakował; korzystając z jakiegoś obrotu, schylił się chcąc ją pocałować i piorunem w ucho dostał.

Gdybym państwu powiedział, że to był zadatek przyszłej miłości obojga, możebyście nie uwierzyli; lecz w istocie tak było że Zygmunt się w niej od téj chwili szalenie zakochał, a ona też na niego lepszym okiem patrzeć zaczęła, bo miał też rozum, że się nie tylko nie pogniewał, ale ją jeszcze z kieliszkiem w rękę na klęczkach przeproszał.

Ostatni dzień zapust u Okóniów spędzono i już tam uważano, że się do siebie mieli, z czego łowczy niesłychanie się cieszył, udając, że tego nie widzi i wcale się nie domyśla.

Czasu postu pod różnemi pozorami wyrywał się do Okóniów, gdzie go jako syna dobrych sąsiadów przyjmowano grzecznie, a nu dosyć chłodno. Elżunia też choć była dlań przyjazną, szczególnych względów nie okazywała. Łowczy na cztery nogi kuty, rzucał umyślnie półsłówkami, iżby nie rad syna młodo że-nił. A tu w Zygmuncie się paliło, z każdym dniem owa miłość rosła, niepohamowaną się stając. Zwierzył się matce najprzód. A ta mu przyrzekła, że ojca będzie się starała nakłonić, aby przeciwnym nie był. Jako kobieta rozumna, znając dziecko, nie wydawała się też z tém wcale, iż sobie życzyła Elżuni na synową. Tém rozumnym postępowaniem doprowadzili do tego Zygmunusia, iż to czego rodzice pragnęli, uczynił

z własnej woli, za najszcześliwszego się mając, iż mu dano pozwolenie i błogosławieństwo.

W taki sposób się tedy pobrali. Łowczy Panu Bogu dziękował iż syna postanowiwszy i gospodarstwo mu zdawszy, a sobie tylko mały leśny folwarczek zostawił, o jego przyszłości spokojnie zasypiać może. A no jeszcze się był snadź nie wyszumiał dosyć. Z razu wielka miłość była między młodem małżeństwem, tak że o mało Elżuni nie zjadł. Szalał za nią, w domu siedział, gospodarstwa pilnował i mało co nawet wyjeżdżał, chyba do rodziców, albo do Okólnów. Elżunia korzystając z tego przywiązania mężowskiego, zaraz w ręce wzięła domowe sprawy i gospodarstwo i rząd i klucze, ale tak nieznacznie, iż to sobie Zygmunt raczej za łaskę uważał, niż za krzywdę.

*In tractu* pierwszych lat pożycia, najprzód łowczy-na zmarła, a jak to u nas nader się często między szczęśliwemi małżeństwami trafiało, mąż do niej dziwnie przywiązany, wkrótce zaskłębł, zatęsknił się i poszedł za nią.

Zygmusć też z wielkim żalem po rodzicach, bo serce miał dobre i kochał ich gorąco, sprawiwszy pogrzeb, począł na całym majątku gospodarzyć, a w onym wielkim smutku swoim potrosze się rozrywać. Już to złém było, iż nau żona i dom nie starczyły rozrywką, bo do sąsiadów się wyrывał, do Krakowa jeździł i tygodniami tam siadywał z wesołymi towarzyszami, wreszcie bez potrzeby do War-



szawy się wybrał, aby dwór zobaczyć. Król August II właśnie tam naówczas przebywał, a z nim i koło niego kręciło się młodzieży i wojskowych, kobiet pięknych, cudzoziemców, różnych awanturników płci obojęd podostatkiem. Czasy to były opłakane, bo w kraju nieład, a zamieszanie panowało, a w stolicy i u dworu, rozpusta błyszczała, piękna, strojna i uśmiechnięta.

Młodemu łatwo się było popsuć patrząc na to, a wpadłszy w wir, człowiek się już mimowolnie kręcił. Za pierwszą bytnością Zygmunta w Warszawie, porobił on zaraz znajomości u dworu. Stryja miał na nieszczęście, który z chudego pachółka wydrapał się łaskami saskimi na urząd dworski i synowca też za sobą do dworu wciągnął. Zygmusiowi nie brakło, by się mógł podobać: twarz, postawa, siła, dowcip, humor, przystawały dziwnie do tego kółka. Szalano okrutnie, uczłowano, bawiono się; nie mógł człowiek tchnąć na chwilę, gdy wpadł między tych dworzan, którzy w najsmutniejszych nawet dniach, gdy się wszystko waliło i wywracało, o maszkarach i balach myśleli. Pierwszy raz do Warszawy zawitawszy, powrócił na wieś do Elżusi jak pijany. Nie mógł się jęć naopowiadać o tém co widział, dokazywał, czego był aktorem i świadkiem. Jęć się nie bardzo podobało, ale zmilczała. Zygmus czuły jeszcze był, spodziewała się, że mu to z głowy wywietrzeje i do dawnego trybu życia powróci,

Aliści prawda to wielka, że są takie zatrute nektary, których gdy się człowiek raz napił, już bez nich żyć nie może. Zygmuntowi usta paliło, wzdychał na wsi siedząc do tego życia, którego popróbował, tylko się już z tém nie odzywał wcale, bo żona groźnie nań patrzyła i gdy raz nad śpiewaczką Francuzicą, która za królem była do Warszawy przyjechała, unosił się przed nią, opisując jak u niej wieczерzę jedli i co była za niewiasta cudna, Elżunia nogą tupnąwszy, tak go skonfundowała, iż usta zaraz stulił.

Milezenie to jednak kryło w sobie niebezpieczniejsze jeszcze rojenia, jakby się to tam nazad na dwór dostać i szaleć z szalonymi. Osmutniał, chodził ponury, wzdychał, na wsi mu wszystko nie w smak szło, z sąsiadami zaczęli pić na zabój. W domu Elżunia gościnną być umiała i nie broniła, żeby się podochocili w wesołym towarzystwie; ale ekscesów takich, co i życiu i zdrowiu groziły i na pośmiewisko u służby ludzi poważnych podawały, nie dopuszczała. Przenosili się więc gdy chcieli pić do kawalerskich domów, albo do miasteczka.

Nie obawiała się nałogu dla niego żona, bo Piętka pił w sposób osobliwszy jakby wodę chlipał — do głowy mu nie bardzo szło, a gdy był sam, wina nie potrzebował i nie tknął, upodobania w niém nie miał. Nie zważała więc na te wybryki, będąc pewną, że mu się one uprzykrzą; wołała je niż owe do Warszawy wycieczki, które mu głowę zawracały. Aż tu nieopowiedziawszy się raz Zygmunt, dmuchnął jój,

pod pozorem jakimś znowu, dowiedziawszy się, że dwór zjechał, Nie było go dwa tygodnie, i pokornieńki powrócił. Jak go tam Elżunia tym razem przyjęła, nie wiadomo; snadź wszakże głowę mu zmyła dobrze, bo się kilka dni na siebie boczyli, poczem, jak niepyszny pan Piętka przeprosił uczyniono zgodę i był pokój i życie jak przed tém między małżeństwem przykładne.

Okazuje się jednak, iż Piętka tój dworskiej zarazy tak był pochwycił, że się jój pozbyć nie mógł. Nudził się na wsi i ziewał. Próbował łowów, zjeżdżali sąsiedzi, sprowadzano skrzypki, a no te wiejskie uciechy nie w smak mu szły.

Nie było tu tego przepychu, tój świetności za oczy porywającój, tego języka wytwornego, tych niespodzianek wspaniałych, tego szumu i hałasu i zbytków jak na dworze. Zygmunt sobie to lekceważył porównywając, a przytém ta przeklęta tancerka, która się nim była chwilowo dla jego pięknej postaci zajęła... w serce mu czy też w głowę obalamuconą wpadła.

Była to Francuzka, zręczna jak one są wszystkie, która jakiś czas zwróciła nawet oko słoneczne Króla Jegomości na siebie. I nie nazbyt młoda, i nie bardzo piękna, ale śmiała, wesoła i umiejąca się narzucić, bałamuciła tam wielu we Francyi, w Brukselli, w Dreźnie, a nakoniec w Warszawie... złapała tego nieszczęśliwego Piętkę, który ją skaczącą ujrawszy, gdy potem szczebioczącą przy wieczerzy usłyszał,

zupełnie dla niej głowę stracił. Zręczna niewiasta, choć się jęj podobał, umiała go zdala trzymać.

Król August II poznał ją był wypadkiem, gdy w polityce nie mając co czynić, a pańską zaspakajając fantazyę, puścił się był incognito na wyprawę do Flandryi, pod nazwiskiem hrabiego de Torgau, z księciem Eugeniuszem Sabaudzkim i księciem Marlboroughiem, nie długo jednak tam pozostał, widząc, że się oblężenie Lille przeciąga, i na Bruksellę do Saksonii powracał, gdy na operze będąc zobaczył sam tą skoczkę zowiącą się Duparc.

Mówiono, iż tak mu się ona podobała naówczas, że po spędzonym wieczorze z nią, w towarzystwie hr. Vitzthum'a, Bunditza i innych panów, nie wydając się kto był, obiecał jęj umieszczenie przy teatrze w Dreźnie. czego potem dotrzymał, gdy tam przybyła i wspaniale ją przyjąć rozkazał. Nie długo jednak trwały owe łaski królewskie i Duparc pozostała przy teatrze, który czasu bytności pańskiej, do Warszawy bywał przewożony. Miała przyjaciół na dworze i dowcipem a wesołością bardzo się podobać umiała dopóty, póki się kto niedopatrzył, iż w komedyantce tęg wszystko było dobrze odegraną komedią.

Taka to „*ballerina*“ ładajaka, którą już w całej Europie nieraz znano z lekkomyślnego życia i polowania na worki — prostodusznego a zapalczywego Piętkę w sidła swe ułować potrafiła. Ani jęj on był w głowie, szłyszala tylko, że szlachciec był bogaty,

widziała, że mu głowę zawróciła, korzystała więc z tego grając przed nim poważną osobę, jaką nigdy nie była. Dobrana ku temu ciotka stara, niby dozorczyni surowa, dopomagała niegodziwój istocie do uwodzenia Zygmunta. Przyjaciele byliby go ostrzedz mogli i powiedzieć z kim miał do czynienia... ale ci więcej byli jej niż jego przyjaciółmi i do spisku należeli, śmiejąc się jak należało z oszalałego chłopca.

Dosyć że Piętko po raz wtóry nie znalazłszy już w Warszawie panny Duparc języka tylko dostał, iż do Drezną wróciła. Kazała mu pono nawet powiedzieć, iż tam na niego oczekiwać będzie. Waleczył z sobą Piętko dosyć długo, ale mu już oczy blachmanem zaszyły, że nie widział stokroć piękniejszej i powabniejszej żony, a ta Duparc mu się śniła a śniła.

Do Drezną tak z łada trzosikiem pojechać o te czasy, i to jeszcze goniąc za kobietą na złoto łakomą, a do wszelakiego zbytkewania przywykłą, nie było co i myśleć; w domu choć zapas się znajdował, od żony go żądać nie mógł i z pewnościąby mu odmówiła: szarpnął więc cichaczem do Krakowa i tam u lichwiarzy, którzy majątek brali na cyrografy zbójckie, pieniędzy nabrał. Żona o niczem nie wiedziała: po humorze mężowskim miarkowała, iż się coś święci złego, że knuje może—nie posądzała go jednak o otwarty bunt, zdradę i żonatego człowieka o takie bałamuctwo bezwstydnę. Na myśl jej nawet przyjść nie mogło, żeby jej tak szkaradnie drapnął. . w chwili gdy się układał właśnie jako najpowolniej-

szy małżonek i dawną czułość okazywać się zdawał.

U Okonia, ojca jejności, bawił z dawien dawna brat jego, który był cały swój majątek nie wiedzieć jak utracił. Nieżonaty i już niemłody niegdyś wojskowo służywał, potem dzierżawami chodził, ogrody i wylewy wód go niszczyły, a resztę, z desperacyi głowę straciwszy... puścił już sam niepamiętając jak.

Imię mu było Eligi. Gdy o jednej już szkapie i wózku został, a nie wiedział gdzie się podziać, starszy brat go przyjął, przytulił i jak zasiadł tu już się nawykłszy nie ruszył. Był on tu, może lepszym niż niegdy na własném, ekonomem, włodarzem, pełnomocnym i czego jeno było potrzeba. Stryj ten i do dzieci Okoniów bardzo się był przywiązał, szczególnież zaś Elżusię lubił, potem gdy zamąż wyszła, czasami u Piętki przesiadywał. Gdy postrach przyszedł na biedną kobietę, że jej się mąż rozpuszcza i bałamuci, stryj przyszedł w pomoc i na Zygmunia naglądał. Człęk był powolny nadto i nie zdążał szaleńca wyśledzić, więc choć za nim jeździł, nie wytropił wcale.

Tak stały rzeczy, a pan Eligi po długiej bytności wyjechał był właśnie do braterstwa, gdy jednego dnia pod pozorem podróży w sąsiedztwo Zygmus summaryjnie żonę pożegnawszy wyruszył z domu. Miał niby to na noc powrócić, przyszedł jednak wieczór—jegomości ani słyhu. Bywało tak nieraz, że się ochoczo zabawiwszy w sąsiedztwie, zamiast wieczorem, nazajutrz dopiero przybywał;

zatém żona się tém nie miała powodu niepokoić. Nazajutrz około południa, chodząc od okna do okna, wyglądała niewiernego małżonka, który do wieczora nie wrócił. Jeszcze w tém nie było nic tak nadzwyczajnego; trzeciego jednak dnia wysłała jejmość konnego, aby się dowiedział czy u sąsiada nie zachorował. Ale tam gdzie miał być nie widziano go wcale, a posłaniec tyle tylko chwycił języka, iż na gościńcu ku stolicy wiodącym pierwszego dnia pana Zygmunta widziano.

Elżunia jak była żywego temperamentu i nie nawidząca fałszu — uniosła się już wielkim gniewem, iż przed nią śmiał ukryć podróż swoją, co nie dobrego nie wróżyło. Nie przewidywała jednak jeszcze, jak dalece był winnym. Dopiero w tydzień jadący z Warszawy książę wojewoda, spotkawszy się z Elżuniem Okóniem, powiedział mu w żartach: „Nie doczekacie się rychło Zygmunta Piętki, przybył do Warszawy za Francuzicą w nadziei, iż tu ją znajdzie, a dowiedziawszy się, że do Drezna wróciła, poleciał za nią jak szalony i już bodaj na Szlązku albo i w Saksonii musi być.“ W pocziwym stryju aż zakipiało. Chciał z razu ukrywać niemiłą nowinę przed synowicą, lecz zmiarkował, że to się na nie nie zdało. Trzeba było rychło radzić, kobieta była śmiała, rezolutna, więc się przed nią taić nie godziło.

Siadł więc na bryczkę, i gdy tu jeszcze niepewność była, jak rychło pobałamuciwszy się z Warsza-

wy powróci, przybył pan Eligi do synowicy z nowiną.

— Niechaj Elzusia nie desperuje, rzekł, włosów pięknych nie targa, oczu jasnych dla bałanuta nie wypłakuje; nie będę jój tał, że ten frant nie do Warszawy nam zbiegł, ale za tą przekłętą Francuzką do Drezna drapnął. Gdzieś mu czaru zadali.

Elzusia zmarszczyła piękno brwi, usta zacisnęła: płomieniste na stryja rzuciła wejrzenie, wyprostowała się po rycersku i spytała:

— Zkąd to wiecie?

Naówczas stryj Eligi wypowiadał się jój zkąd nowinę wziął, z której się w Warszawie śmiano.

Łza nie popłynęła z oka pięknej pani, gniewem tylko spłonęła i hamując się odczuwała do stryja:

— Takiemu szaleństwu jużby pobyłać było grzechem, i trzeba ratunku na to szukać. Mówcie sobie co chcecie myśleć co się podoba, jam tu najlepszym sędzią co czynić wypada... Nie ma co czynić, trzeba za nim jechać.

— Komu? spytał stryj — a toć nie posłucha nikogo.

— Nie posłuchał radabym widziała! on mi to przecież w oczy spojrzeć nie śmiał, dodała Elzusia — albo myślicie, że ja kogo wyprawię — pojadę sama.

Stryj tedy zakrzyknął, iż to na żaden żywy sposób nie może być, że myśl była nie do wykonania... Kobiecie, młoděj, pięknej, do takiego miasta, które za Sodomę i Gomorrę uważano... jechać, było nara-



żyć się nadaremnie a bez pożytku dla swej sprawy.

Elżusia była właśnie naówczas w samym rozkwicie wdzięków, tak, że każdego zachwycić mogła, a niktby oprzeć się jej nie mógł, oprócz takiego bałamuta jak Zygmunt, któremu już była spowszedniała. Nie daremnie więc stryj Elżuni lękał się jej podróży do Saksonii, dla niej samój, znając z opowiadań, co się tam na dworze i około dworu działo. Począł pilnie się opierać i odradzać — nadaremnie.

Elżusia oświadczyła, iż po męża pojedzie, dodając, że pewną jest sprowadzenia go nazad do domu.

Stryj Eligi osłupiał, ufał jednak, iż ojciec i matka od téj myśli odciągnąć ją potrafią. Była ona tak nie zwyczajną i w naszych obyczajach nie praktykowaną, iż z razu stryj wierzyć nie chciał, aby naprawdę do tego przyjść miało. Tężoż dnia zamierzał jechać do starych Okóniów, aby się z nimi naradzić dla uspokojenia bardzo rozdrażnionej Elżusi. Już konie stały przy ganku, gdy zobaczywszy je przez okno jejmość zawołała:

— A to dokąd stryj myśli?

— Do Wólki.

— Czekajże chwilkę, tylko klucze i dyspozycję oddam Florkowój, boć ja z nim pojadę.

— Zatem dobrze — rzekł w duchu Eligi, tam jej się to łaćniej z głowy wybije. Przez całtą drogę jednak o niczem nie mówiła Elżunia, tylko o swój podróży, wypytując ile dni trzeba było jechać do Warszawy i jak zamtąd dostać się do Saksonii. Prawdą

a Bogiem stryj Eligi dalej jak do granicy szlążkiéj nie nie wiedział, jego świat się tam kończył; jednak chcąc synowicę nastraszyć, jał jéj opisywać, że tam i góry i pustynie i rzeki wpław przebywać było potrzeba....

Słuchała z wielką uwagą, a na każdą rzecz miała jedną tylko odpowiedź: Przecie tamtędy ludzie jeżdżą? Stryj temu zaprzeczyć nie mógł, ruszała więc ramionami z uśmiechem—Tamtędy wszakże licha mojego Zygmunta poniosło; kiedy on się dostał, i ja dobieść się muszę!

Stryj Eligi przebąkiwał coś o rozbójnikach w Tarnowskich górach, Elżusia z zimną krwią dodała.—Trzeba dobre pistolety wziąć.

W końcu widząc ten upór niezłomny, już stryj rachował tylko na ostygnięcie, — że gdy refleksya przyjdzie, owa odwaga i animusz ustąpić muszą... Tak dojechali do Wólki Okóniowskiéj. W domu był stary ojciec, jejmość matka i jedna z sióstr zamężnych, bo już były pod ten czas wszystkie za mąż poydawane. Skoczyła pani Zygmuntowa z wózka, a miała na sobie opończę grubą od wilgoci i buciki węgierskie na nogach — zrzuciła wierzchnią odzież i wbiegła do rodzicielskiego domu, na którego progu zdało się jakby ją nowy gniew i rozpacz opanowały. Ojciec i matka wyszli na jéj spotkanie.

— Wiecie, łamiąc ręce zawołała odedrzwi zaraz — wiecie co mnie spotyka?

Ten, łotra kawał, Zygmus, którego mi jakaś fran-

cuzica z teatrum królewskiego zbałamuciła, urwał się wisusisko i poleciał za nią do Drezna...

Matka i ojciec ręce załamali.

— O! miłyż ty Boże, Elżuńka droga, co tu z nim poczynąć! Uspokój się...

A widząc wielkie rozgorączkowanie córki matka niespokojna szepnęła drugiej córce — Larendogry! Larendogry!

A eo mi tam Larendogry! ofuknęła Elżuńka sztukając nóżką w bucik z podkówkami obutą — ja tego łotra nauczę jak się ma z żoną pocziwą obchodzić! Ja mu nie dam tak spokojnie bujać po świecie samopas... Zobaczymy!

— A cóż? pozwiesz go przed sąd? zawołał ojciec, albo przed konsystorz?

— Co? ja? żeby ludzkie śmiechy wywołać? albo to ja sobie sama rady nie dam? wołała Elżusia—albo to ja dziecko żeby na skargę chodziła?

— Cóż mu zrobisz?

— Co? dokończyła Zygmuntowa z gniewem—ot przybyłam kochanych rodziców pożegnać, prosić ich o błogosławieństwo, a jutro po jutrze stryja Eligiego biorę w rekwizytę, pistolety za pas i ruszamy po łotra do Drezna, a choćby i na koniec świata. Znajdę go gdzieś przecie — zechce się opamiętać i na klęczkach przeprosić to go z sobą przywiozę, nie — to jak psu w łeb wypalę — niech się niepoczesne plemię na świecie nie mnoży!

Pani Okóniowa krzyknęła wielkim głosem — A słowo stało się ciałem! Okoń oniemiał... Elżusia podniosłszy głowę, z oczyma zapalonymi gdyby dwie pochodnie, straszna się im aż wydała, tak była rozjątrzoną.

— Na miłość Bożą, płacząc i ściskając ją rzekła matka, upamiętaj się—umityguj—co ci jest, dziecko moje!! To nie kobiecea rzecz... ani niewieścia broń...

— Moja matuś kochana, przerwała Zygmuntowa... ja to wiem dobrze iż nam się nie przystało buntować lada za co, lecz gdy takie zgorszenie w domu... trzeba mieć wolę i postanowienie, a nauczyćrozumu!! Com ja winna że mi się taki waryat dostał? Na niego innego niema środka ino go krótko wziąć i trzymać krótko... Pięknąż to rzecz! na co on mnie wystawił; za lada łotrzycą taką jak jest sam odbiegając odemnie?—a co ludzie pomyślą jakim ja jedna? chyba żem i téj francuzicy nie warta. Otóż ja im pokażę... iż Piętkowa lepsza od Piętki.

Wszystko co tam było podrętwiało, słuchając Elżuni, nikt się przeciwieć nie śmiał, boć obrażona była słusznie... Wyglądała jak prawdziwa bogini pogańska; postać, oko, twarz, uśmiech, rączka, nóżka, a owa Duparc, jak ci co ją widzieli opowiadali, prawdziwym byłaby przy niej koczkołoneim... tylko się to różowało, bielido, smarowało, sznurowało, a że od dziecka linoskoki wyłamali ją do wszelakich łamanych sztuk i głębę miała wyparzoną, więc to tak

mogło zepsutemu człeku się podobać jak pijanicy po najlepszym tokaju gorzałka.

Dali się Elżuni wygadać i nażalić jako sama chciała—ojciec zawsze sądził że gdy pierwszy ogień spłonie, potem przyjdą łzy, rozmysły, kobieca obawa, niepewność, i skończy się na tém, że Elżunia przy rodzicach posiedzi, a stryjowi Eligiemu dadzą na drogę pieniędzy i po niewiernego wyprawią.

Przez cały ten wieczór wszakże Elżusia ino o drodze mówiła, a gdy jój pierwszy gniew przeszedł, o wyborze w podróż, o zaprzęgu, o tém jak wiele pieniędzy i ileby sług potrzebowała.

Matka szeptała: ojcu—Niechaj sobie gada—to się wygada i wszystko minie.

Poszli spać, nazajutrz rano przy piwie grzaném i kawie wszczeła się rozmowa, myślano, że się zmieni. Gdzie zaś—ta swoje jeła prawić o prędkiej podróży, postanowionej niezmiennie—szło jój już tylko o radę ojcowską jak lepić było:—jechać skromnie i oszczędnie, czyli się po pańsku ekwipować? bo mogło przyjść do tego, że i na dworze przechować się będzie potrzeba... i najwyżej sięgnąć, choćby do Króla Jego Mości...

Już tedy zobaczyli rodzice oboje, że nie przelewki, jeśli odradzać, ani słuchać nie myślała... a co gorsza, tak ich swoją wymową pociągnęła, że matka się rozpłakała, a ojciec przeszedł na jój stronę — nim do stołu podali.

Pieniądze miała w swych rękach Elżusia, ojciec też tysiąc talarów bitych *in vim* melioracyi wyliczył na wszelki wypadek, przyszło do narady ostatecznej jak się wybierać. Zdania były podzielone, Elżusia chciała brykę prostą dla siebie wziąć i stryja, woźnicę, jednego pacholika i od wypadku konnego też, aby czasem w ciężkich przeprawach przodem drogę mógł wypatrzeć; ojciec radził kolebkę i konnych czterech i pacholków dwu... i pannę respektować... Jój to wszystko ciążyło, byłaby zaprawdę samotrzeć konno ruszyła, gdyby jój dopuszczono, a podróż nie widziała się za długą.

Drogi były podówczas dosyć bezpieczne, wszakże bez pewnego orszaku i dla przyzwoitości i dla obrony nikt się nie wybierał, tém bardziej kobieta. — Uparł się stary Okón, aby kolebkę wzięła i ludzi więcej z sobą. Stryj Eligi, którego nie pytano czy jechać sobie życzy, zaliczony był jako towarzysz niezbędny i mentor w podróży konieczny.

Trzeba zaś wiedzieć, że jak koło domu był pan Eligi nieoszacowanym, tak trochę dalej w świat, trudno mu sobie radę było dać, — mało go bowiem znał. Flegmatyk był, namysławiający się długo, niepewien zawsze jak lepiej, frasobliwy nad miarę...

Cały ten dzień jeszcze zabawiła Elżunia u rodziców, a nazajutrz rano konie nakazała aby gotowe były, i stryjowi też zapowiedziała, by zapaśny żupan i kontusz z sobą wziął, bo w domu nie długo popasając ruszyć mieli w drogę. Zawojowała ich tam

wszystkich swoją odwagą i animuszem, iż się nikt ani śmiał już przeciwieć.

Gdy do pożegnania przyszło, rzuciła się obojgu rodzicom do nóg, by ją na tę wyprawę gorszą niż na wroga pobłogosławili — upłakała się rzewnie i rozczuliła cały dwór, że jak bobry się popłakali, ile ich tam było, potem opończę narzuciwszy na bryczkę, stryja przywołała, co się jeszcze zapłakany guzdrał i — do domu. Jak pierwszym razem jadąc całą drogę była wielomówną, teraz znowu milczała aż do wrót, posępna i zamyślona.

— No — dumał stryj — znać w niej się złamała owa wielka chęć do podróży i jechać się może rozmyśli. — Jechać mu się bardzo a bardzo nie chciało.

A no, przybywszy do siebie, Elżusia, chwili nie tracąc, wzięła się do wyboru w drogę, sama poszła do stajni konie wyznaczyć, uprząż dawać mocną, kolebkę obejrzeć kazała, aby pasy nie puściły... dalej siodła dla ludzi i zapasowy przybór, jaki naówczas wozieć za sobą było potrzeba. Okazało się zaś, że nie dosyć kolebki, trzeba było i wóz kryty węgierski pod rzeczy mieć i różnych zapasów wiele, bo po drogach nie wszystkiego człek dostał, lub za zbyt drogie pieniądze. A tak przytomnie dysponowała najmniejszą rzecz, iż się ludzie i stryj wydziwić nie mogli... Już się tedy coraz jawniejszym stawało, iż z nią o tém mówić i odradzać ani było sposobu; trwoga wstąpiła w stryja Eligiego, co to z tegowszystkiego wyniknie? Przygoda była nadzwyczajna, nuż jakie

nieszczęścieby ich spotkało, na kobietę nikt by go nie zrzucił tylko na jej opiekuna.

A że kuć musiano koła, bo obręczę się na nich okazały do dłuższej drogi za słabe i pasy surowcowe też kręcić jejność dała i szyć na nowo... zostało parę dni czasu. W wielkim sekrecie stryj Eligi pomyślał, czyby też duchownego rada nie była skuteczną. Nie okazując tego po sobie, pieszo poszedł do blizkiego konwentu księży kapucynów, których gwardyan był człowiekiem wielce świątobliwym, a wszyscy go szanowali—i prawie za świętego mieli. Mało się on w światowe rzeczy męszał, zatopiony będąc w nabożeństwie i rozmyślaniach, ale ilekroć go od nich oderwano, tak namaszczone i skutecznym słowem przemawiał, tak jasno w sercach widział, iż najlżejsi ludziora niepoczeiwi niedowiarkowie zdumiewali mu się i pokornie poddawali.

Nie chciał stryj Eligi, aby synowica o jego wyprawie się dowiedziała, z fuzyjką więc z domu wyciągnąwszy, u leśnika konia pożyczył, a że ten siodła nie miał, na worku, zamiast strzemion przywiązawszy postronki—chudą ową szkapiną utykającą jeszcze w dodatku, dobił się do miasteczka.

Wstyd mu było do klasztoru tak zajechać, konia więc w gospodzie zostawiwszy, co najprędzej pieszo do furty pobiegł, żeby się do gwardyana dostać. Miał dobrze sobie znajomego ojca kanafarza, którego szczęściem zaraz w korytarzu napotkał.



— Ojcie Feliksie, zawołał w ramię go całując—  
zmiłuj się, żebym rychło z ojcem gwardyanem mógł  
pomówić.

— Ale ba! a w chórze?

— Długoż tam tego będzie?

— Pewnie pół godziny... a z chóru go, gdyby się  
pałiło, nikt nie wyciągnie!

Trzeba tedy było cierpliwie czekać, znalazła się na  
pociechę butolka marcowego piwa... ale gdy O.  
gwardyan miał wychodzić, na przesmyku stanął  
Eligi i do celi go poprowadził.

— Ojcie mój, rzekł ledwie drzwi za sobą zamknąw-  
szy — ratuj nas nieszczęśliwych! jak nie wy, to już  
nikt!

— Co się stało? zapytał gwardyan spokojnie.

— Nieszczęście jedno a raczej srogie głupstwo,  
za którym drugie gorsze jeszcze może nastąpi, jeśli  
wy nas nie wesprzecie, począł Eligi.—Szaławiała ten  
nieszczęsny Pićka, za którego wydaliśmy synowicę,  
zbiegł nam z domu za jakąś łotrzyką do Saksonii.  
A noby wrócił pewnie sam... guza tam jakiego ober-  
wawszy. Cóż się dzieje? Elżunia żona jego, kobieta  
też zapamiętała jak i on, chce koniecznie za nim go-  
nić, aby go do domu bodaj na smyczy przyprowa-  
dzić—ani ja, ani rodzice, wystawiając jej onęj podró-  
ży niebezpieczeństwa, nie mogliśmy od tego odpro-  
wadzić... Gdybyście wy ojeze ebieieli...

O, gwardyan ręce obie podniósł ku niebu.

— Moje dziecko! zawołał—a cóż tam głos mój u niej ważyć będzie?

— Jakże nie? rzekł Eligi—ona was szanuje i słucha... Przyjdźcie ze mszą ś-tą jutro jakbyście o niczem nie wiedzieli. . przyzna się wam zaraz, może ją od tego szalonego zamysłu odwieść potraficie?

Gwardyan głową potrząsł.—Ze mszą ś-tą przyjadę, rzekł—czemuż nie? słowa nie poskąpię, ale ja wam za skutek nie ręczę... Kobieta z mężkiem postanowieniem i wolą wielką...

— Zaczna, pocziwa, dobra—ale—rzekł ze stłumioném westchnieniem stryj Eligi, któremu się bardzo jechać nie chciało—ale Herod-Babal!

Gwardyan się usnuiechnął.—No, rzekł, uspokójcie się—uspokójcie, co Bóg da to da... ja do was jutro ze mszą ś-tą przyjadę... a powiem jej co mi Duch święty natchnie.

Z tą obietnicą stryj do gospody wróciwszy, konika kulawego dosiadł, dostał się do chaty leśnika, a ztamtąd wieczorem, zającą po drodze ubiwszy, do dworu cichaczem wrócił.

Jeszcze było z rosy nie obeschło rannój, gdy wóz O. gwardyana zatoczył się przed ganek. Elżunia wybiegła uradowana, całowała go po rękach.

— Otoś mi, ojeze kochany, w porę przybył, jakby cię Opatrzność zesłała!—zawołała—pobłogosławicie mię na drogę...

— Gdzież? dokąd asindźka ruszać myślisz?

Elżuni lży się z oczu pusiły.

— Ojciec mój dobry, mam srogi ból w sercu, małżonek mnie opuścił dla jakiegoś nieporozumienia... muszę niewiernego z przepaści tej wyrwać i ocalić!! Jadę go szukać...

Weszli rozmawiając do pokojów; gwardyan usiadł.

— Ależ, moje dziecko, rzekł: zreflektuj się, czy to kobieca rzecz, a zwłaszcza młodej jak asindzka w świat gnać, narażać się na przygody, na niebezpieczeństwa, by obalamuconego człowieka chcieć nawrócić? Mnieby się widziało stosowniejszém, abyś z krewnych kogo, człowieka statecznego posłała...

Potrząsała głową pani Zygmuntowa na to.

— Nie, mój ojciec. — nie — nie mam ja nikogo, i nikt mi tak nie posłuży jak ja sobie sama! A no, przy bożej pomocy, co mi się ma stać? albo to ja dla uciechy jadę nie z obowiązku? Opatrzność będzie czuwała nademną...

Gwardyan popatrzał na nią zdziwiony, taka odwaga wielka malowała się w jej twarzy i animusz prawie nie kobiecy; słów mu zabrakło.

— Piękna ta twoja ufność w Opatrzność, odczuwał się po namyśle—lecz trzeba się każdemu swemi siłami mierzyć—a nad to co barki dźwigną nie brać. Niesłychaną rzecz przesiębierzesz asindzka, zaprawdę niesłychaną.

— Boć i niesłychany wypadek mnie do tego zmusza—odezwała się Elżusia.—Gdzież to u nas dawniej kto słyszał, ażeby człowiek żonaty na taką jawną rozpustę się puszczał? Teraz gdy z góry przykłady

płyną, a widzą ludzko co się dzieje na wysokościach — czemu im nie ma być wolno? mówią sobie, — my im powinniśmy pokazać, że jeśli Niemcom to wszystko jedno — nam nie. Tamte też pono nie lepsze od panów mężów; my domowej cnoty i czystości domowego ogniska stróżkami jesteśmy... powinniśmy wedle sił bronić je od skazy! Albo to nie obowiązek, tego, któremuśmy na wierność przysięgały, od zguby ratować?

Gwardyan aż się rozplakał mowę tę słysząc, i wstawszy zawołał żywo:

— *Ego te benedico! in domine...* To mi niewiasta! to mi mężczyzna! to mi kobieta! Co ja ci mówię mam!.. Niech Bóg błogosławi! Czyń jakieś natchnienie..

Tedy co miał ją O. gwardyan nawrócić, stało się, że ona księdza na swoją wiarę przeciągnęła, a stryj Eligi, który pode drzwiami słuchał, poszedł jak zmyty... Przy mszy świętej ndzielił sam kapłan pobożny zwykłej dla podróżujących benedykcyi, której cały dwór jejmości był przytomny. Potem nie było już co myśleć, aby się pani Zygmuntowa od zamiaru swojego komukolwiek odwieść dała, i poczęły się nie żartem przygotowania do drogi.

Łzy otarwszy Elżunia, podpasana, w lekkim knibraczkę, wydawała, spisywała, liczyła, chodziła, krzotała się, bo nie tylko wybór był na jej głowie, ale i dom, który podczas niebytności innsiała zostawić bezpiecznym. Wiadomo jak to z tego łatwo ludzie korzystać umieją. Pora była letnia, żniwa za pasem,

któż wie czy do siejby podróż trwać nie miała, albo się i dłużej przeciągnąć?... Włodarza mieli Piętkowie statecznego człowieka; ale czyby sobie sam radę dał, trudno było przewidzieć! Jejmość też to zmiarkowała... Nużby przyszedł kwaterunek, stacye, rekwizyceye dla wojsk cudzoziemskich lub innejakie nieobrachowane wypadki... I na to obmyśliła radę.

O miedzę od wioski mieszkiał stary kawaler, niegdy wojskowy, człek zacny, pracowity, który bywając u Piętków Elżusię prawie jak dziecko własne ukochał i nigdy zdrowia jój inaczej nie wypił jak na kłęczkach. Zwykł był zawsze mawiać gdy o niej wspomniano:

— *To hic mulier!* to mi rycerska żona! to kobieta! to prawdziwa kość z kości naszych... bo to mosanie, i urodziwa jak łania, i śmiała jak żołnierz, i cnotliwa i rozumna..., i kochać umie, i prawdę w oczy chlusnąć jak ukropem. Wielbicielem był stary Mioduszewski naszój Elżuni, że się z niego wyśmiewali czasem, ale on na to bynajmniej nie zważał.

Namysliwszy się posłała Piętkowa po Mioduszewskiego, a ten sam konia okulbaczywszy dla pośpiechu, w pół godziny się stawił. Że wieść przez pana Eligiego o tój wyprawie po całém gruchnęła sąsiedztwie, już coś o tém i stary zasłyszał. Zastał jejmość w ganku, gdy ludziom coś dysponowała... a miał przysłowie: „niech mnie wezmą.“ Tylko nigdy nie dopowiadał kto go miał brać. Zobaczywszy Elżusię, rękę złożył:

— Niech mnie wezmą, królowo ty moja! czyż to prawda, że wy w świat jedziecie? zawołał.

— Muszę, rzekła Elżusia, nie z ochoty to czynię, ale z konieczności. Zygmunta lichu w świat poniosło ratować go trzeba.

— Królowo moja — ale możeż to być! do Saksonii?

— Choćby i do Hiszpanii! odparła... muszę mu pokazać, że z siebie żartować kobieta nie da... Gdy jęgomość tu powróci, co dalej będzie—pogadamy.

— Niech mnie wezmą! królowo moja... a to Judyta jesteś druga—dosyć niezgrabnie odezwał się Mioduszewski.

— Głowy mu nie utnę, rozśmiała się Elżusia, ale mu ją zmyję jak warta... Ale mój dobry rotmistrzu, nie o to tu idzie; posłałam cię prosić, jako dobrego przyjaciela—rachuję na pomoc twoją...

Wyciągnęła mu rączkę, a stary przyklęknąwszy ją ucałował.—Co rozkażesz! królowo moja, dla ciebie w ogień i wodę. Niech mnie wezmą!

— Ja jadę—odezwała się Elżunia—wioska i gospodarstwo na łasce bożkiej zostają. Ludzie poczeiwani zbyt się troszczę, ale co nieprzewidzianego może przyjść, rady sobie nie dadzą. Mój rotmistrzu, jakieś przyjaciel, weź nad wioską opiekę.

— Niech mnie wezmą, królowo moja—jam ci gotów nietylko za ekonoma służyć, ale gdybyś mi z wołem wprzódz się kazała, to ci będę orał, królowo moja! krzyknął Mioduszewski. Nie ma o czém i mó-

wieć... Jakem twoją anielską rączkę pocałował, nagrodzony jestem więcéj niżem wart... Niech mnie wezmą...

Więc zaraz konia do kółka przywiązawszy, zaczął się stary krzątać około dworu, aby dokładną powziąć informację co ma czynić, komu wierzyć i jak sobie postępować. Za żadne w świecie pieniądze nie byłaby takiego rządecy i plenipotentą dostała, jakiego sobie jednym kupiła uśmiechem. Mioduszewski cały dzień po wszystkich kątach chodził, tropił, oglądał, pytał, aby potem żadnej nie miał wątpliwości. Naostattek dzień ów wielki wyjazdu, ciągle odraczany, zbliżył się—wszystko gotowe było, kolebka, pasy, koła, siodła, konie, stryj Eligi z węzełkami swojemi. Zjechałi *insperate*, rodzice oboje, przybył Mioduszewski, ludzi co było na folwarku zbiegło się, patrzeć na wyjazd ten pani swojej.... Elżusi na łzy się trochę zbierało, a no ich nie puściła, kręciła się do ostatka żwawo. Nie zapomniała o króciach nabitych, żeby je pod ręką mieć, ani o prochu i kulach do pistoletów Eligiego i jezdnych. Kolebka i wóz stały w pogotowiu, konie pokulbaczzone, tłumoki poprzysnurowywane; odprawiło się nabożeństwo, pożegnała prędko wszystkich, nie dając się nikomu zbyt nie rozczulać i rozmażywać, skoczyła w kolebkę kłaniając ojcu i matce i w chwili gdy ojciec karawanę żegnał i błogosławił, koniom ruszać kazała.

---

Na drugim noclegu przed Warszawą zastali go-spodę, do której pod wieczór dążyli na pewno, tak napchaną końmi i ludźmi, że już się do niej wcisnąć nie było sposobu. Słońce zaszło było właśnie i mrok w lesie padał gęsty. Stryj Eligi, który wysiadł z kolebki, żeby nocleg opatrzyć, powrócił z twarzą przeciągniętą i węsami opuszczonemi.

— Co tu robić moja dobrodziejko — rzekł: ani sposobu się do karczmy docisnąć, tyle ludzi i koni, różnego tałajstwa, zbieranój drużyny, iż nocować ani myśleć. Panów i chłopów sienie pełne, a w karczmie jak we młynie, kto pierwszy zajedzie ten pan.... trudno wyganiać. Tymczasem noc nadciąga, koniska łby pospuszczały zmęczone.

— Al ozwała się Elżusia: juści kobieciektokolwiek izdebki ustąpi — a konie i jezdni choćby się obozem położyli — niech no stryjaszek lepiej poprobuje.

Poszedł pan Eligi po głowie się skrobiąc. Za Zyg-musia, kiedy doma ucztował, gości w nim bywało mnóstwo, trafili się i z różnych stron przejezdni, mieli tedy znajomości co niemiara po świecie całym. Ledwie stryj od kolebki odpadł, gdy dorodny mężczyzna, po podróznemu a raczej po domowemu ubrany przystąpił do niego.

— Wszakci Okón, jeśli mnie oczy nie mylą?

— Ten sam, Eligi, do usług — a kogoż inam honor?....

— Jakżeś mnie nie poznał, Trzaska!! pamiętasz to, jakeśmy u Zyg-musia pili razem z kulawki?



— Al jakże, Trzaska! pomnę.

— Cóż wy tu robicie pośród gościńca?

— W biedzie jestem, synowica, właśnie oto Zygmuntowa, jedzie ze mną, a tu nie ma gdzie przénocować.

— Jakto nie ma gdzie? krzyknął Trzaska, sztrze-  
liłbym do was, żebyście do dworu nie zajechali—  
o staje. Toć to karczma moja, a dwór za lasem tuż.  
Nawracaj! zawołał na woźnicę — ja na koń siadam  
i prowadzę.

— Czekaj! stój! zatrzymując go zawołał stryj Eli-  
gi—Bóg raczy wiedzieć czy się moja synowica zgo-  
dzi, a juści do niej nie strzelicie!

— Jak się nie ma zgodzić? ofuknął Trzaska, dla  
czego? a kiedyż to kto dobrém sercem ofiarowaną  
gościnę odrzucił?

I postąpił, zdjęwszy węgierską czapeczkę z głowy,  
do kolebki.

— Miłościwa pani, rzekł—przypominam się jój,  
Trzaska jestem z Czerwonój Kamienicy, bywałem  
w domy waszym, dom mój o staje. W gospodzie  
miejsca nie ma, ale dwór na usługi wasze. Stara  
matka i ja, oboje was przyjmujemy sercem całém.

Elżasia się skłoniła tylko.

— Nawracaj! za mną! zawołał Trzaska dosiadłszy  
konia. Stryj do kolebki się dostał, nie było co już  
próżnych czynić refleksyj, nie mieli téż nic do wybo-  
ru; pojechali do Trzasków.

Po za lasem mroku się trochę ujęło, widać było nieopodal wioskę znaczną i dwór, który niedaremnie zwał się Czerwoną Kamienicą. Niewiadomo który z Trzasków upodobawszy znać w Prusiech czerwone mury z toruńskiej cegły, sprowadził był do siebie majstrów i dla fantazyi pańskiej, wystawił sobie dwór niby malhorskiego zamku kawał. Niewielkie to było, a wyglądało dziwnie i nie brzydko. Ludzie nie nawykli do takich budowli, brali to zdala za kościół, a pospólstwo dwór, potem i wieś od niego poczęło zwać Czerwoną Kamienicą. Było więc gdzie gościa pomieścić, bo budynek był obszerny, a w nim tylko jeden Seweryn Trzaska i stara matka jego.

Trzaska miał lat pod czterdzieści, a jeszcze się był nie ożenił, jakoś ociągał i obawiał tego złotego jarzyna. Człęk był wesół, ochoczy, gorączka, sejmikowicz zawołany, na obywatelskie posługi gotów, myśliwy, tancerz sławny, dobry towarzysz, ale trochę próżniak mimo zajęć tylu. Matka gospodarzyła, on się najczęściej od komina do komina włóczył, trudno go było do domu napędzić. Pragnęła stolnikowa bardzo ożenić go, aby się trochę ustatkował—ale się wykręcał bardzo zręcznie, powtarzając zawsze:—Stolnikowo dobrodziejko, będzie na to czas! będzie czas!

Dowodził, że dziadowie nie żenili się przed pięćdziesięciu... i dobrze im z tém było—nie mówił czy też i żony rade być miały takim mężom.

Gdy na drogę do dworu wjechali, Trzaska konia

spiał i jak strzała przodem świsnął, aby powóz ciężki i zwolna się toczący wyprzedzić, a matce dać znać. Tak się uwinął dobrze, iż stolnikowa narzuciwszy czarny kwefik, była już u ganku, gdy Elżusia z kolebki wyskoczyła.

— Darujesz mi pani, że jęj tu niespodzianie spadam, odezwała się Piętkowa—ale to wina nie moja po części, raczej łaskawego jęj syna, który nas tu gwałtem prawie zagarnął.

— Moja mościa dobrodziejko! odpowiedziała starszka—to mu się bardzo chwali—bo obowiązku dopełnił.

Weszli tedy do dworu na podziw pięknie wewnątrz i pańsko urządzonego. Znać było dostatek wszędzie i porządek wielki. Rozmowa z razu toczyła się obojętna, wreszcie nie widząc męża przy jejmości, nie domyślając się nic, poczęto dopytywać o cel podróży i o Zygmunusia, którego Trzaska znał.

Odpowiedziała Elżusia ni to ni owo, półgębkiem, Eligi też jeszcze się niezgrabnie starał wykryć. Musiało to uderzyć pana Seweryna, że coś w tém jest, iż tak mu niewyraźnie bąkają, począł sobie przypominać coś... i stryja Eligiego zaparł do kąta.

— Przebaczysz mi pan, rzekł, niedyskretne może pytanie... Coś mi po głowie chodzi, a nie dobrze sobie przypominam, czy nie jestem w błędzie? Byłem niedawno w Warszawie, tam o Piętee... bodaj czy nie o mężu jejmości coś gadano... gadano... a no—dali-

pan nie wiem czy o tym samym, jakoby do... Saksonii pojechał.

Spojrzał stryjowi w oczy, ten się zmieszał mocno.

— A no, może być, może być—odparł cicho—bo go w domu nie ma.

— I nic o nim nie wiecie?

Tak zagadnięty stryj już nie wiedząc jak się wywinać, ścisnął potajemnie dłoń Trzaski i szepnął:— Chodźmy gdzie dalej na bok, powiem wszystko...

Gdy do bocznej komnaty weszli, Trzaska się odezwał sam:

— Nie potrzebujesz mi pan mówić, bo ja teraz się opamiętywam iż wszystko wiem pono. Zygmus żonę na wsi porzuciwszy, za Diuparką tą do Drezna poleciał... niepocziwy! Jeśli myślicie, że go w Warszawie przydybacie to się mylicie srodze. Żal mi biednej kobiety, którą taki zawód czeka. Czy nie lepiejby na to coś wcześniej radzić?

— Nie ma co już radzić, ponuro ozwał się stryj bo ona wszyściuteńko wie.

— Co? że mąż za francuzką drapnął?

— A no wie.

— I cóż myśli?...

Stryj tak zagadnięty nie miał co taić, a oprócz tego człek był co całe życie języka za zębami trzymać nie umiał.

— Co myśli—mruknął—waćpan jój nie znasz to kobieta jakich na świecie nie ma. Ona wybrała się

w pogon za mężem, i myśli go za szyję do domu przyciągnąć.

— Co pan mówiś! zawołał Trzaska—pojedzie za nim do Drezna?

— Powiada, choćby na koniec świata!

— Cóż to tak, z czułości? spytał Trzaska.

— Oj nie! kochała go ona, ale teraz się gniewa —dodał Eligi—dalipan bym nie chciał być na jego miejscu.

Trzaska rękami uderzył.

— Ot to mi kobieta! zawołał, a to jój czołem bić! Gdybym taką heroinę drugą znalazł, to bym się ożenił.

— Poczekaj asindziej, markotno zamruczał stryjasek—ona mu obiecuje w łeb wypalić, jeśli jój nie przebłaga, możesz asindziej jeszcze o sukcesyę się po nim upomnieć. Parę krucic z sobą ma i nigdy ich nie rzuca.

Co raz bardziej zdumiony, Trzaska też w coraz większy ferwor i uwielbienie wpadał dla heroiny, jak ją nazywał.

— Nie ma co mówić, zakończył—jeśli mu nawet w łeb wypali temu niegodjaszowi —zasłużył. Taką kobietę Pan Bóg mu dał i nieumiał jój ocenić!

Przeszedł się po izbie parę razy namyślając ..

— Jako ono jest to jest, rzekł Eligiego biorąc za pętlicę od podróżnego kontusza, ani ona ani wy sobie w tej podróży rady nie dacie.

— Ja jój to mówiłem sto razy.

— A ona co?

— Ona się śmieje z niebezpieczeństw i z wszelkich trudności.

Wyszli do pierwszój izby gdzie kobiety między sobą szeptały, bo właśnie stolnikowa rozpytywała Elżusię, a ta jęj też nie zataiła celu swojój podróży. Staruszka ręce łamała reflektując — Piętkowa się uśmiechała.

— Stolnikowo dobrodziejko, mówiła, my kobiety dla tego tylko słabe jesteśmy, że nas mieć chcą słabemi, a w potrzebie energia się znajdzie i u nas. Nie, ja się nie trwożę.

Dano tym czasem wieszczę, do którój że wedle obyczaju osób dworskich, respektowych, gracyalistów, rezydentów dużo zasiadło, mówić o niczem poufalszem nie było sposobu.

Rozpowiadano *de publicis*, co z Warszawy słyhać było i z Drezna. Chwila to była właśnie, w którój się na małżeństwo najstarszego syna królewskiego z arcyksiężniczką Maryą Józefą zanosilo; rozpowiadano więc wiele o projektowanych wesela tegowspañiałościach — na które zapewne wielka do stolicy Saksonii napłynać miała mnogość cudzoziemców, cheiwych oglądania uct, jakich nigdzie w Europie oprócz Paryża i Drezna, naówczas widzieć nie było można. Wiadomośc ta zasmuciła nieco Elżusię, zapowiadając jęj wiele w podróży i stolicy trudności, tego jednak poznać po sobie nie dała. Trzaska przez cały czas wieszczy w pięknego swego gościa oczy

miał wlepione, nie mogąc ich od niej oderwać, a powtarzając w duszy iż Piętko wart był solennej chłosty za niedarowaną rozpustę swoją. Acz z podróży i nie przystrojona, błyszczała pani Zygmuntowa takim wdziękiem, iż starzy i młodzi z uwielbieniem na nią poglądali. Śmiała postawa, ruchy i pogodne wejrzenie, coś jęj królewskiego nadawały.

— Byłem jeśli nie przyjacielem, to życzliwym Zygmuntowi Piętko dobrym znajomym, ale gdyby mu teraz pięćdziesiąt na kobiercu wyliczyć przyszło, ręki bym nie pożałował—dodał w duchu Trzaska — aż mi żal kobieciny, bo z tym starym safandulą jadąc, biedy tylko napyta po drodze, a jęj by człeka trzeba, coby pyły przed nią zmiatając, do celu poprowadził... Jest tego warta!

Westchnął pan Seweryn, bo mu heroina głowę od razu zawróciła, nigdy jęj jeszcze tak majestatycznie piękną nie widział.

— Klnę się wam, słowem szlacheckiem — gdyby nie to, że nie wypada, siadłbym na koń z wami, tego trutnia ścigać! szepnął po wieczery stryjowi.

— Nie wypada! nie wypada! odparł Eligi z takimże westchnieniem, a może i żalem, iż go w pomoc wziąć nie mógł. Trzaska potem przysiadł się do pani Zygmuntowej, i w miłej rozmowie z nią i z matką cały wieczór przepędził. Oczéwiscie mowy tam nie było o niczém, tylko w ogóle o drodze, o powietrzu, o ludziach—ale Elżusia miała ten dar, że z najmniejszej rzeczy wyciągnęła coś zajmującego

i rozmowę prowadziła jak dobry gracz partycję maryaszową. Gdy przyszło żegnać się wieczorem, bo jejmość do dnia jechać chciała, Trzaska z westchnieniem rączkę jęj ucałowawszy, stryjca zabrał jeszcze do siebie na lampkę miodu do poduszki.

— Ej! mosanie, rzekł mu podochocony, co to te szczęście ludzkie, prawda co starzy mówili, że jednemu szydła gołą, drugiemu brzytwy nie chcą — otóż tak w życiu,—bałamut taki, wiercipięta jak Zygmunt, dostanie żonę jakiejś ze świecą szukać drugiej i nie znaleźć, a pocziwemu człowiekowi coby ją szanować umiał, los da może koczkodona.

— No, powiem ja asindziejowi, dodał stryj cicho, sącząc powoli lampeczkę swoją—wszak ci to rodzona synowica moja i kocham ją mocno, ale mimo jęj wielkiej piękności i rozumu, może bym żyć się obawiał z jejmością.

— A to czemu?

— Ba! wprawdzie Zygmunt sam temu winien, że do tego ją doprowadził, a no gdy się spotkają niewiadomo co z nim będzie... Ona sama powiada, że mu gotowa w łeb wypalić — i — krucice z sobą nosi!

Trzaska się z siedzenia porwał z okrzykiem.

— Otoż to mi kobieta! zawołał, to charakter! A już, powiem wam, z takiej rączki i zginać miło... I mówisz asindziej, że gotowa to uczynić?

— Grosza bym za to nie dał! potwierdził stryj.

Drugi to już raz słysząc z ust pana Eligiego, zamyslił się Trzaska.



— Dalipan, to lubię—dodał — to lubię —to przecie jest kobieta co z siebie żartować nie da... Aż mnie piecze, żeby tę historią z blizka widzieć, panie Eligi—he! jabym z wami pojechał?

— Przecież asindziej sam widzisz, że to nie może być—odparł stryj, o tém i mowy nie ma.

— Myślisz asindziej?

— A pewnie... Jeszczeby z tego gadanie wynikło, toby jój sprawę popsulo.

— To prawda, odparł zamysłony Trzaska. Jechać z wami nie ma sposobu—jednakże gdybym ja też miał interes do Drezna i tym samym gościńcem musiał tam dążyć, nikt mi tego zabronić nie może.

Pan Eligi śmiać się począł.—Daj jegomość pokój, rzekł, ona w takim humorze, że jój by się to nie podobalo, a herod-baba bez krucic nie stąpi.

Pośmieli się tedy i na tem miód i rozmowę skończyli. Nazajutrz skoro świt, kolebka pani Zygmuntovej ze stryjem Eligim i całym dworem w dalszą ruszyła drogę. Trzaska stał w ganku i patrzył długo za nią, zdając się coś rachować... O południu poszedł do matki.

— Muszę, jejmościuniu dobrodziejko, do Warszawy jechać. Referendarz mnie umyślnym wzywa i pisze abym rączki pani Stolnikowej ucałował, a na dłuższy pobyt się wybrał, bo tam coś około naszej sprawy zakrzętać się mają.

Niesprzeciwiała się matka wcale, wybór w drogę był krótki, i pan Trzaska, przed wieczorem już był

na gościńcu, a konie miał rączy i woźnicy kazał by ich nie żałował.

Nigdy, bywało siedząc doma Piętka bez mnogiego dworu przy sobie obejść się nie mógł. Choć fortuna szlachecka nie bardzo starczyła na to, młodzieży kilku miewał przy sobie, aby mieć z kim pobaraszkować, w warcaby zagrać, na polowanie ruszyć i do celu o lepszą strzelać. Mieniało się to u niego, bo na jurgielt i barwę brać nie mógł, tylko zwykle czasowy dawał przytułek takim, którzy sobie dworskiej służby szukali. Ale że dostatek był, kuchnia zawieszista i Zygmunt wesoły towarzysz, nigdy tam na nich nie żbywało. A trafiali się różni, czasem pokorne chłopaki choć ich do rany przyłożyć, więcej trutniów, próżniaków i burdy, z którą długo żyć trudno. Pan Zygmunt to potem bez ceremonii wymiatał,—lecz gdy jednego się pozbył, trzech na jego miejsce przystawało. Było już takie zaprowadzenie na dworze iż szli jak w dym... do Piętki. Gdy się który tylko nie miał gdzie podziać—słano go do Zygmunia.

Jejmość wprowadzie tego dworu darinozjadów nie lubiła, ale jemu pochlebiało, że zawsze z kalwakatą dworno się mógł przedstawiać. Ostatniemi czasy przybłąkał się był tak niejaki Julek Dziemba, chłopak niczego, a trudno go było poznać rzeczywiście kim był, bo milczał wiele, pokorną miał postać—tylko wedle przysłowia, cicha woda brzegi rwie—jejmość nań koso patrzyła—za to Zygmuntowi tak

się jakoś przypodobać umiał, że ten prawie się bez niego obejść nie mógł. Dziemba mu towarzyszył wszędzie, z listami jeździł, do wszelkiej hulanki posługiwał, szeptali z sobą nieustannie, podarki brał, nawet mu konia z rzędem za coś ofiarował pan Zygmunt. Dla jejmości też usłużnym był, nie można powiedzieć i przypodobać się starał, ale mu się to nie udawało, ta się od niego odwracała nie chcąc go znać. Czuła w nim zausznika i pochlebcę, jak powiadała. A im ona bardziej się nań krzywiła, tém u Zygmunta więcej w łaski rosła.

Dziemba ten, młody jeszcze, chłop jak dąb, silny, zręczny, na twarzy blady, oczu biegających i niepewnych, jakby do dworu przyrósł; inni się mieniali, ten siedział... Parę razy brał go z sobą i w drogi pan Zygmunt, myślała jejmość, że go gdzie podzieje—ale nie.

Gdy się to nieszczęście stało, że Zygmuś za francuzicą drapnął, Dziemba we dworze był i w nim został. Elżunia ani nań spojrzała. Chodził do stołu, miejsce mu dawano, chleba nie odmawiano, lecz dobrego słowa nigdy. Cały ów gniew jejmości, odgróźki jój, wybór w drogę, wszystko się to w oczach jego odbyło—patrzył się nic nie mówiąc. Gdy inni na Zygmunta pioruny ciskali, on ani mruknął—spuszczał oczy i ręce zwinawszy palcami kręcił. Chodził, narzucając się do jakiej służby, na posyłkę, ale jejmość go nżyć do niczego nie chciała. Inni też we dworze co mu łaski pańskiej zazdrościli, nie

bar dzo się doń zbliżali... koniowi obroku uszczuplać zaczęto, chłopcu coraz było ciasniej, dosyć, że gdy surowcowe pasy do jejmościny kolebki kręcono, jednego ranka Julka Dziemby nie stało. Dopatrzone się koło południa, że odrobinę rzeczy, które miał, w troki wziął, nawet bieliznę nieupraną od praczki ściągnął, konia sobie osiodłał i ruszył w świat. W izbie, którą zajmował, ino siano na tapczanie zostało i kupka śmiecia w kątku... a na ścianie wielkimi literami napisał krędą: *Valete!*

Gdy Elżusi o tém powiedziano, pokiwała tylko głową, uśmiechnęła się i rzekła: — Z Panem Bogiem—i—krzyżyk na drogę. Nikt nie wątpił, że poznawszy, iż tu nie ma co dłużej popasać, jak nie pyszny pan wyniósł się cichaczem. Nie domyślał się wszakże nikt tego, iż Dziemba, który wszystko słyszał i wiedział co jejmość mówiła i z czem się odgrażała—postanowił za panem Zygmuntem gonić, choćby na kraj świata, aby go o niebezpieczeństwie ostrzedz—a może mu wstydu oszczędzić.

Nie to nie było dziwnego wówczas, że się młody ubogi szlachcie na szkapie włókł choćby i najdalej; podróżowali tak ludzie przez ciekawość po całym świecie, choć się też trafiało, że czasem zajechali niekoniecznie tam gdzie chcieli. Dziemba choć młody jeszcze, ale od lat pono osłupiał różne kąty wycierał, naturę miał taką, że nie bardzo mógł na jednym miejscu usiedzieć. Milcząco, powoli umiał sobie wszędy radę dać, bo wytrwały był na podziw i lada

czém się nie zraził. Na konia, którego od Zygmunta dostał, mógł śmiało rachować, iż go w szachu nie zostawi: gniadosz był grubo płaski, biegun nie ciekawy, a na podziw wytrzymały i nieznudzony. Zdawał się iść sobie zwolna, krok miał jednak spory jakiś i choćby się najtężej zmęczył, nigdy go spotniałego niewidziałeś.

Dziemba siadłszy nań ruszył naprzód do Warszawy; tu on już różne znajomości miał, wiedział gdzie pytać i języka, łatwo dostał. Powiedziano mu bez ogródki iż za francuzicą do Drezna Zygmus ruszył, bo od przyjaciół informacyi zasięgał gdzie ma stanąć i rekomendowali mu gospodę pod „polskim trębaczem“ na placyku, gdzie wówczas wielu zajeżdżało. Którędy się udał łatwo było odgadnąć, bo inaczej wówczas nie jechał prawie nikt jak na Wrocław. Pokierował się więc i on tą samą drogą, dwa razy popasając, nocy i rana zachwytyjąc, a konia nie nadużywając. Że się tam saskie wojska kręciły, a i z pruskim oddziałem spotkać się z biedy było można, torbę sobie skórzaną powiesił, i mówił, że z listami był posłany do wojewody którego skomponował od hetmana téj saméj nominacyi. Nic mu się nie trafiło w drodze i tak szczęśliwie, poprzedzając o dobrych kilka dni jejmość, dobił się do stolicy, kędy jak w wodę wpadł.

Że go wszakże widywano we dworze u Piętków, gdy Elżusia przybyła do Warszawy, a tu stanęła wysławszysy stryja Eligiego na zwiady, przyplątał się

zaraz do niej żydek faktor znajomy i na pierwszym wstępie powiedział, iż jadącego, *pewnie od jaśnie pani*, dworzanina Dziembę z listami do jaśnie pana, widział i gadał z nim, a zapewniał że już niechybnie nawet na miejscu stanąć musiał.

Nowina ta nie mile bardzo w sercu Elżusi zabrzmiała, zarumieniła się, usłyszawszy ją, przed żydem jednak wydawać nie chcąc, poczęła go o Dziembę rozpytywać.

Żyd myślał, że chwaląc go i rozwodząc się nad nim największą jój uczyni przyjemność—począł tedy swego mniemanego posła pod niebiosą wynosić.

— Był tu, ja jego sam widziałem, gadałem z nim, wołał prędko zachłystając się aż od pośpiechu—co to za sługę jaśnie państwo mają. Jak on tu rozpytywał, jak on drogę zwiedzał naprzód, jak on koło konia chodził!!

Plótł tak żyd ledwie sięgo pozbyć nareszcie mogła Elżusia... Wielce jój ta wiadomość była nie na rękę. Łatwo się mogła domysleć, że Dziemba pospieszwszy wygada przed jegomością wszystko, ostrzeże go i całą tę pogoń może nadaremna uczynić.

Zawahała się jak dalej postąpić, aliści i stryj nadszedł wiodąc z sobą drugiego takiego starego jegomości jak był sam, z opuszczonemi wąsami... Był to pan starosta Liwski, niejaki Brzeziński, dawny Okóniów przyjaciel. Ucałowawszy naprzód rączki Elżusi, zasapany drogą, wykaszlał się nim mówić począł.—Moja mościa dobrodziejko, a to mi szanowny

pan Eligi powiada, że asindzka za tym wietrznikiem gonisz! Po co się to zdało szukać wiatru w polu. Wróci on i sam... Jam na to patrzył niemal jak ich tu dwóch, a bodaj trzech w te sidła wzięto. Przywieźli te nieszczęsne skocznicę razem z teatrum królewskim... a szło wszystko na operę dobijając się dostania u dworu biletów, jakby na odpust lub nabożeństwo! Wszakże mi tam druga taka szatanica jak owa Duparc, niejaka Fanfan, mościa dobrodziejko, tak samo syna uwikłała, że za nią mi się wyrwał do Saksonii!

— A widziałeś pan starosta tę Duparc? zapytała Elżusia.

— Dwa razy, mościa dobrodziejko, dwa razy w balcie, jakieś księżniczki Aulidy. Skakały te małpy i wyrabiały nogami łamańce, że sobie człek oczy musiał zakrywać, a co która bezceństwo popełniła, to klaskano i cieszone się jakby cudu dokazała. Prawda że tam one i w powietrzu się nosiły i kłękały i kręgowały... na podziw, ale—z piekła rodem mościa dobrodziejko—ten bezwstyd, jakiego u nas od początku świata nie bywało...

— Oóż one! piękne tak? zapytała niecierpliwie Elżusia.

— Nie bardzom się im przypatrywał, mościa dobrodziejko aby na sumienie tego wszeteczeństwa nie brać—a no—rzekł starosta—nie wydało mi się to nic osobliwszego.... tylko pomalowane jak jajka wielkanocne.

— A ta Duparc? spytała Elżusia.

— Na teatrum wydaje się i trzpiocze jak młode kurczątko, mościa dobrodziejko—mówił starosta— a ci co metryki znają, zaręczają, że do czterdziestówki jój nie daleko... Wszystko to występuje przy świecach, bo po bożym dniu tynki by te na twarzach powylażyły.

Westchnął starosta.

— Syna mi ta Fanfan powlokła, mościa dobrodziejko, jak asindźce Duparc zabrała męża, choć mojemu Jurkowi rychlój się to przebacza, boć nie żonaty, a Zygmuntowi niedarowana rzecz, kto na asindźkę spojrzy. Ale one mają swe sztuki, w winie im napoju jakiegoś zadają szatanice, że i najrozuśniejszy głowę straci.

Załamiał ręce starosta.

— Tę pocicchę mam, dodał, że Jurek pieniędzy dużo nie wziął, a gdy tych się przebierze, wracać musi, bo tam bez grosza popasać długo nie dadzą. I jejmościu też jeśli worka nabitego nie powiózł, wkrótce się napowrót zjawi jak turecki święty...

Elżusia nachmurzona nie mówiła nic — po chwili jeszcze raz zapytała starostę.

— Opisz że mi asindźci, jak ona wygląda?

— Duparc? mościa dobrodziejko—a no! to przecie światu wiadomo, że król J-mość, była chwila, bardzo wielkie miał w niej upodobanie. Niczego! Oczy czarne wielkie, brwi takież, nie wielka a no giętka i wylamana... dalej... już powiedzieć nie potrafię... Twarz



nie nasza, znać cudzoziemkę, niby włoszkę, niby cygankę...

Elżusia ręce załamała, spuściła głowę.

— Panie starosto, rzekła — masz tam syna, jedź ze mną, dwóch zbiegów razem ścigać będziemy i wzajem sobie pomagać.

Zamyślił się Brzeziński. — Dalipan bym to uczynił, rzekł — gdyby się to na co zdało — wiary nie mam, wywiną się nam zbiegi tak że ich nie pochwycimy, a gdybyśmy i złapali — cóż dalej?

— O! ja z moim będę wie działa jak się rozprawić — a jeśli mi nie poprzysięże poprawy, dodała — no — to mu jak psu w łeb wypalę!!

Na te słowa starosta rękami obiema uszy zatulił, głowę w ramiona wcisnął. — Co asindzka mówisz — przerwał — cyt! cyt! nie godzi się nawet na wiatr takiej groźby rzucać...

— Mój starosto — gorąco podchwyciła kobieta, albo nie mam świętej słuszości za sobą? Wymagają od nas wiary, niechże nam jój dochowują? Jeśli który nikczemnie zdradza, niechże się choć tai i wstyda, a nie przed całym światem srom domu roznosi? I ma mu to być przebaczonem, bezkaruém, a powróciwszy będzie mi chciał w domu rozkazywać i ja przed nim padać mam jako przed panem a małżonkiem! Nie doczekanie ich — krzyknęła Elżusia — trzeba im pokazać, że nie zawsze kobieta łzami się tylko bronić umie.

Gdy to mówiła, pocziwy starosta z otwartemi usty stał, jakby uszom własnym nie wierząc... bladł, przstraszył się, ogładnął na Eligiego... nie wiedział co mówić na to.

— Mościa dobrodziejko, wyjąknął dobrze się namyśliwszy — jest racya... to pewna, czy tylko tym sposobem poprawicie łotra waszego, niewiem. Niezwykła to rzecz widzieć niewiasty tak mężne... a no... a no... ciarki po mnie przeszły gdym asindźki słuchał. Spojrzawszy na nią ludzie potępia Zygmusia, a posłyszawszy kto wie? gotowi powiedzieć, że z husarzem się ożeniwszy omyłką, drapnął od niego, gdy wąsy zobaczył.

Elżusia popatrzała nan, a jakby na dowód, iż husarzem nie była, rozpłakała się.

— Co tu począć? zawołała. Może byś asińdziej miał słuszność, gdyby z innym do czynienia było, a nie z tym oszalałym Zygmusiem. Łzy tu nie pomagą.

— A krucice jeszcze mniój, odparł starosta—wierz mi asindźka.

— Więc cóż? cierpliwość, ale ja jój nie mam.

— Hm! znalazłoby się coś jeszcze—odezwał starosta... tylko to nie dla asindźki...

— Cóż przecie? pytała Elżusia.

— Nie stworzona jesteś komedya grać... co w sercu to na dłoni! a tu by trzeba właśnie tak postąpić jak w onój sztuce, którą na teatrum widział, gdy ostatni raz król JM. był, a z nim francuzka Duparc.

— Jakże? jak? niecierpliwie domagała się Elżunia.

— Jak?... nanyślając się nad stylistyką począł starosta. Rzecz się dzieje nie wiem w jakim kraju... bodaj w antypodach, bo ludzie poubierani jakem ich tu nigdzie nie widział. Mąż zdradza żonę, właśnie tak jak Zygmus ją, dla koczko dona. Cóż ona czyni? Oto ud. je też niewierną i mizdrzy się do młokosa, czem nieża do desperacyi, konfuzyi zazdrości i skrucy, a finalnie do proszenia o przebaczenie przy-musza.

— Nie—tego bym ja nie potrafiła — ozwała się Elżusia — a no — ponieważ dobrze mieć w zapasie broń im jedną więcej, dziękuję starości za radę.

— Nie radzę! nie radzę, bo ślizka to rzecz—podchwycił Brzeziński—i zacnej matrony, jaką asindzka jesteś, nie godna... Nie zabrakło by jej pewnie tych, coby tę komedią z jejmością dobrodziejką grać chcieli —ale by potem owe służki odprawić trudno.

Uśmiechnęła się Elżusia smutnie... zamilkli...

— Starosta więc niepojedziesz ze mną? zapytała.

— Chyba asindzka sobie służyć każesz — rzekł stary—dla syna nie pojedę, bo wiem że mi powróci —byle cały! Ja na to nie pomogę nie...

— Pojadę więc sama—dodała Zygmunтова i to co najrychlejš, bo mnie tu od stryja Eligi, (obróciła się do niego) nie miła spotkała wiadomość. Rachowałam na to, że mojego przerażę przybyciem niesyodzianem, a pochwycę, gdy się nie będzie domyślał iż za nim gonię, tymczasem... Dziemba niego-

dziwy, na łeb i szyję, przodem z językiem poleciał. Znać on go był tam na straży zostawił.

Starosta i Eligi, zaczęli rękami do góry i koło głów machając, wyrażać przerażenie swe i oburzenie.

— Niepocziwy Dziemba! krzyknął Eligi—a no—moja kochana pani—żeby on miał tam zostawiony być i o Zygmuncie co wiedział—to nie. Świadkiem byłem gdy lamentował i mam to przekonanie, że tak go będzie musiał szukać i gonić jak iny, grając w ciuciubabkę. A kwestya kto go z nas prędzęj dogoni!

Westchnął stryj.

— Co gorzej, rzekł powoli starosta, iż prawdopodobnie ani wasz ani mój już nie są w Dreźnie. Francuzice się porozłaziły... chcą mówić porozlatywały po świecie. Słyszę, że były w Lipsku, drudzy plotą, że do Flandryi ruszyły, a inni, że do Paryża. Nuż ci trutnie za niemi? dodał Brzeziński, to potem — *per pedes* i jak marnotrawni synowie odarci wracać będą musieli, jeśli ich gdzie po drodze prusacy gwałtem nie zawerbują i nie zainkorporują do gwardyi króla JMości... a z niej jak z piekła — *nullo redemptio!* a oba nasze chłopcy jak dęby! a pruski król za takich na wagę złota płaci! i jemu to wszystko jedno, szlachcic czy nie, byle pleczysty a miał na czem dźwigać karabin. Ot co innie przeraża...

Elżunia ciągle posępnie zamyślona, skrzywiła usta nieco.

— E! rzekła, gdyby jakich kilka miesięcy pocho-

dzili pod muszkietami... nie zawadziłoby... a wykupić zawsze można.

— Otoż bo to, mówił dalej starosta, że pono nie zawsze można... oni się tam w wielkiego wzrostu ludziach, a potężnej siły tak kochają, iż cuda o tém prawią. Łapią ich po wszystkich drogach, kupują, zwożą... i nie ma ceny jakiej by król pruski nie dał za dorodnego grenadyera. Nasz moja mości dobrodziejko—kocha się tak samo słyszę w czerepach i garnuszkach i mówią ludzie, że z prusakiem raz taki handel zrobili; prusak dał kilka wanien porcelanowych chińskich, a sas kilkudziesiąt żołnierzy po półtzwarta łokcia! Elżusia myślała, że starosta żartował, a plotka ta przecież była historycznym faktem.

Przerażało ją daleko mocniej to, że Eligi i starosta prorokowali, iż zbiegowie mogli się już nie znajdować w Dreźnie, ani może w Lipsku i że za niemi gnać przyjdzie aż do Flandryi i kto wie jak deleko. Mimo to Elżusia się nie zachwiała, zdało się jęj, iż stryj ze starostą w spisku będący, umyślnie ją tak przestraszał, by od dalszej powstrzymać podróż. Raz postanowiwszy pogoń, bądź co bądź zawrócić się z niej nie chciała, namarszczyła piękną twarz, podpierała na białej dłoni głowę i siedziała zadumana nie mówiąc.

Starosta pożegnał ją i przeprowadzony przez stryja wysunął się powoli.

Drugiego dnia nie żartem już sposobiono się w drogę, stryj Eligi jeszcze bardzieję sposępniał, nie żeby

mu odwagi brakło, lecz że zleniwiał i na awantury oczewiste puszczać się nie miał najmniejszej ochoty. Wracał ciurny do domu, gdy w ulicy posłyszał za sobą.

— Czołem panu Okóniowi!

Obrócił się i ze zdumieniem postrzegł Seweryna Trzaskę, który na tym samym siwozu, w pięknym rzedzie, paradował przez ulicę.

— A asindziej tu co robisz, stolnikowiczn? zapytał.

— Jak widzicie—wlokę się... utrapiony mnie gna interes.

— Dokąd?

— Niewiem jeszcze, rzekł Trzaska, przygnał mnie tu, może popędzi gdzie dalej!... a no sprawa gardłowa.

— He! gardłowa!! a cóż to o niej słyhać nawet nie było w Czerwonój Kamienicy?

— W godzinę po waszym wyjeździe odebrałem list od referendarza... a że u mnie pali się wszystko i w sercu i w rękach, otom ci tu jest! A wy ztąd rychło?

Elizy wzdychał.

— Dżiś, jutro, rzekł, zdyby mnie słuchać chciała albo Bizeziń. iego, który u niej był... i gadać umiał—nawróciłbyśmy do domu... ale herod-baba uparta!

— Co asindziej mówisz! to niewiasta heroiczna!

zawołał Trzaska czapkę z piórem podnosząc do góry.

Eligi nie odpowiedział nic... pokłonił się i myślał oddalić.

— Kiedyż jedzicie? spytał Trzaska.

— Jeśli nie dziś jeszcze, jutro pewno... Czołem.

— Czołem, rzekł młodzieniec, a złóżcie tam respekt mój u nóg heroiny. To mówiąc siwosza spał, błotem bryzgnął i — tyleście go widzieli. Eligi do gospody powróciwszy nie pilniejszego nie miał nad to, by synowicy wypowiadać się ze spotkania z Trzaską, i opowiedzieć ję całą admiracją jaką miał dla niej.

Znowu piękne brwi Elżusi nachmurzyły się i ściągnęły—pokiwała główką dziwnie...—Co go tu przynęcało?

— Ani bym grosza nie dał, że wasze piękne oczy, rzekł stryj—jeśli się myśli za nami wlec, pięknego nam piwa nawarzy.

— Gościniec każdemu wolny—odezwała się Elżunia, ale bym mu nie życzyła nadto mi się na oczy nawijać, by odprawy nie dostał jakiej się nie spodziewa.

Z ukosa spojrział stryj Eligi, mruczając pod nosem — herod-baba!

A tu już tłumoki pakowano i konie kazano zaprzęgać, i Elżusia do drogi przebrana, przeze drzwi wyglądała do sieni rychłoli będzie gotowo. Spieszyła

teraz bardziej jeszcze może, dowiedziawszy się o Trzasee, którego pogoń nie w smak jój poszła.

Pierwszego dnia podróży nie trafiło się nie szczególnego, kraj do koła wyglądał jakoś pusto i smutno. Mnogie wojsk [pochody go zniszczyły. Widać było na pół opuszczone wioski, pooblamywane płoty, dwory odrapane, zboża w polach mizerne i bydełko zdrobniałe. Gdziekolwiek szlakiem szli sasi lub inne obce żołnierstwo, mało tam i ludzi i trzody i zapasu zostało. Gdzie nie gdzie z przed kilkoletniej wojny napotykali pobojowiska znaczne po usypanych w polu kurhanach. Na gościńcu mijali się z dworami jednych panów, którzy do Saksonii dążyli, drugich co z niej powracali. Po gospodach trudno było o miejsce, o obroki, o izbę jaką taką. Tak samo i nazajutrz stryj Eligi kłopotać się musiał, a na dobitkę nowo okute koła okazały się gorszemi od starych i obgręz jedna zaczęła się luzować tak, iż ją koniecznie na nowo przymocować należało. Kowala nie znaleźli na popasie, różnemi więc domowemi środkami lecząc chore koło, dowlekli się do miasteczka, w którym im rzemieślnika obiecywano. Pod noc już i przy zbierających się na burzę chmurach wjechali na rynek ostawiony gospodami. Na nieszczęście jarmark był w mieście, domy pełne, a na nocleg z obu stron od Drezna i Warszawy naściagało tyle dworów, iż gdzie tylko stryj Eligi wszedł za głowę się brał, widząc wszędzie tabory. Już był niemal nadzieję stracił żeby miejsce choć szczupłe zdobyć się dało, gdy



Elżusia ulitowawszy się nad starym, sama z kolebki wysiadła. Na szczęśliwą trafiła chwilę, bo właśnie przeciw miejsca tego, wyszedł był na chmury znać patrzeć, mężczyzna dorodny z łaską w rękę, któremu z obu stron dwóch suto wschodnią modą ubranych karłów towarzyszyło. Wielki musiał być pan, bo to i strój i mina i ów karli dwór dowodził. Pięknego wzrostu, postawy kształtnój, twarzy rumianej i pogodnej, w podróżnym stroju z węgierską złotem uszamerowanym obficie; nieznajomy ów gdy zebmur na ziemię rzucił okiem, postrzegł Elżusię i jakby osłupiał oczów od niej nie mogąc odciągnąć. A że tuż stryj Eligi krzątał się rozprowadając jej o swych niefortunnych przygodach, i poznać było łatwo, że tu jakieś zachodziły trudności, pchnął karła jednego by ku niemu pana Eligiego prosił. Niezrozumiał zrazu stary czego od niego chciało, przecież ów służka złocisty nie dał mu się namyslać—zbliżył się więc ku stojącemu jegomości z pokłonem.

— Przepraszam asindzieja—zawołał pan—nie byłbym inkonodował, a no téj pięknej pani niechciałem być natrętnym. Widzę żeście państwo w kłopotcie—jam tu dworem moim całą gospodę zajął—czém służyć mogę? Jestem wojewoda inowrocławski. I rzucił nazwisko.

Pan Eligi wielce szanujący dostojników, pokłonił się do kolan.

— Mości wojewodo, rzekł nie mamy kąta z syno-

wieć moją—a tu burza nadechodzi, karczmy wszystkie zajęte.

— Hej! ozwał się wojewoda do karła — wołaj mi Rzezińskiego a żywo!

Wypadł na te słowa drab okrutny w mundurze jakimś od pętlic i szarfów tak złotych jak samego wojewody.

— Słyszysz Rzeziński, zakomenderował wojewoda, moich koni połowę i ludzi do téj karczmy co z brzegu wprowadzić. a żyda z bebeczami wyrzucić precz, ci państwo tu staną pod opieką moją. Stanęę waćpan obmyślisz.

To powiedziawszy grzeczny wojewoda rękę niosąc do czapki zbliżył się do Elżuni, znać w nim było Augustowego dworaka, nawykłego piękności hołd składać, choćby do krzesła senatorskiego prawa nie miała.

— Piękna pani odozwał się—choćż znać jęj nie mam jeszcze zaszczytu—dosyć mi było spojrzeć na nią, ażeby pragnąć jęj służyć. Niegodzi się by takięj urody i dystrakcyi osoba szukała schronienia, które się samo przed nią, na jęj skinienie otworzyć powinno. Rozkazałem dom zajęty przezemnie oczyścić i proszę byś w nim gościnę przyjąć raczyła.

Skłonił się chcąc jęj podać rękę. Elżunia odkloniła mu się wprawdzie i uśmiechnęła, lecz od ręki wyśliznęwszy, odpowiedziała śmiało:

— Dziękuję panu wojewodzie... gościnę przyjąć jestem zmuszona, a jeśli kiedy szczęśliwy traf zanie-

sie w nasze strony, Elżbieta Piętkowa rada będzie we własnym domu odwdzińczy serdecznem przyjęciem.

— Acani dobrodziejka jakich jesteś Piętków? czy ci co się Ślepowronem pieczętują? a z domu, jeśli wolno spytać? odezwał się wojewoda.

— Z domu jestem Okóniowna Pieńkowską, a Piętkowie Oczkowicze istotnie Ślepowron w klejnocie noszą! odparła śmiało Elżusia wciąż postępując ku gospodarzowi.

— Rodziny mi obie znane, choć nie z moich stron, rzekł wojewoda—stara szlachta oba rody! a to i bez legitymacyi z twarzy acani dobrodziejki wyczytać się dało, bo na królowę wyglądasz!

Nadto był grzeczny pan wojewoda. Elżusia rumieniła się — lecz nie gniewała może. Pomysłała tylko:—A ten łotr mnie dla malowanej stariej francuzicy odbiegł!

Weszli do gospody gdy grzmieć już dobrze zaczęło i błyskawice po niebie zwijały się gospodarzacie pośpiesznie. Równie znać prędko Rzesiński się uwinął, bo izba piękna stała otworem dla jęjmości i konie drugimi wrotami wyprowadzano, aby kolebka zaraz, unikając ulewy, wtoczyć się mogła.

Wojewoda do progu odprowadziwszy panią skłonił się, rękę jęj pocałował, bo mu jęj odmówić nie mogła, a sam ujawszy Eligiego do drugiej izby przeszedł. Karły za niemi szły w ślad,

— Niechże i asindzieja poznam, odezwał się do stryja.

— Jestem Eligi Okón Pienkowski, rodzony ojca pani Piętkowój, który jęj w podróży towarzyszę.

— Dokąd że?

— Do Drezna jedziemy.

— A to chyba króla jegomości od Denbofowój odsadzać! zawołał wojewoda, bo jak tę piękność zobaczy, i o Cosel i o Königsmark i o księżnie Teszeńskiej i o ostatniej zapomni, zaśmiał się wojewoda.

— Wolne żarty! panie wojewodo—moja synowica weale tego na myśli nie ma. My ludzie starego automenta, a Elzusia moja skromne dziecko.

— Czemuż jęj maski na twarz nie włożycie, ciągle żartobliwie mówił wojewoda—by najcnotliwszą była ludziom szkodliwszą być musi, bo niezwyceżonej jest piękności niewiastą.

— Jeśli mam prawdę rzec — szepnął stryj, ona piękność to jeszcze najmniejszy z tych przymiotów, któremi Bóg obdarzyć ją raczył, bo i głowa i rozum i serce, kto ją pozna z blizka, o twarzy zapomnieć każą.

Stryj znać pod wpływem wymowy wojewodzińskiej zdobył się na tak piękną pochwałę i uradowany sobą, dokończywszy odpoczął.

— Bardzo wierzę co mi asindziej mówisz, bo to wszystko sama twarz wyraża—dodał wojewoda. Jeśli też zapytać wolno, co ją do Drezna prowadzi?

Stryj Eligi, jakkolwiek gatatliwy i wielce szanujący senatorską godność pytającego, zmięszał się tém pytaniem. Nie miał prawa synowicy z sekretu wydawać.

— Delikatnój natury, nader delikatnój natury interes, mruknął spuszczać oczy, i raczysz mnie pan wojewoda uwolnić, jeśli być może, od odpowiedzi.

— A zatém, śmiejąc się rzekł pan i poklepał po ramięniu Eligiego—zatém przysięgam, że amor gra w tém jakąś rolę. Nie może to być — by się ta natrętna mucha około tego enkru nie kręciła!!!

— Hm, bąknął stryj—ja nie powiedzieć nie mogę.

— Panie Okoń, przerwał wojewoda — jadę też ja do Drezna, to się dowiem! tajemnica się przedemną nie utai żadna.

— Ani bym ja śniał tak łaskawemu na nas panu a dobrodziejowi, i tak dostojnemu senatorowi tajemnicę czynić z czego, gdyby o mnie szło... a z moją synowicą, przyznam się panu wojewodzie — niebezpieczna sprawa, gdybym się źle znalazł.

— Cóż tedy? co? jakaby asindzieja kara spotkała? zaśmiał się wojewoda.

— To tylko wiem, że narazić się na nią nie ważę, bo kobieta jak piękna tak popędliwa i gwałtowna.

Wygadał się już nieco stryj Eligi.

— Doprawdy! prosił rzekł wojewoda—a i to jęj z oczów patrzy. A no w niewieście jak w koniu arabskim ogień wielki znaczy krew szlachetną. Ale to wszystko mocno moją obudza ciekawość.

W chwili gdy to mówił, wojewoda stojąc z karłami i panem Eligim po środku sieni karczemnej, błysnęło straszliwie, a w tejże chwili trzask jakby się już karczma waliła, zagłuszył mówiących i swąd siarczasty dał się słyszeć. Wojewoda przeżegnał się, co też uczynili wszyscy przytomni, karły na kolana popadały. W tém naprzeciwko buchnął z domostwa sąsiedniego płomień, a krzyk i wrzaski napełniły rynek i dom cały. Przestraszeni ogarnęli wszystkich.

— Pali się! Ogień! Ratujcie! wołali ze wsząd i biegali bezprzytomni.

Z izby swój wybiegła też Elżusia zobaczyć czy się co stryjowi lub ludziom nie stało. Wojewoda, który stał spokojnie, posunął się ku niej, mimo zamętu ogólnego nie zapominając o obowiązkach grzeczności.

— Uspokój się acani dobrodziejko—rzekł, my tu wszyscy na straży stojemy, a ognia do nas ludzie moi nie dopuszczą. W każdym razie nad jej bezpieczeństwem czuwać będziemy.

Elżusia dziękowała, wojewoda jak w obraz się w nią wpatrywał. Wybiegając zrzuciła była płaszczyk z ramion, kibić jej jeszcze się pięknie rysowała w sukni obcisłej, a zarazem owe kruciczki, które na sznurze uczepione w kieszonkach miała, zdradziły się rączkami, które z nich wyglądały. Wojewoda je dosztrzegł i zdumiał się.

— Na Boga żywego! zawołał — a cóż to asińdźka

zbrojno jeżdżisz jak widzę i na siebie więcej niż na orszak swój rachujesz? Cóż znaczy ta broń?

Elżusia zarumieniła się mocno.

— Panie wojewodo, rzekła, wiem że ta broń w ręku kobiety wydać się może dziwną, alem ja nawykła i sama sobie rady dawać i liczyć tylko na siebie!

— Na Boga żywego! Cudowną mi pani jesteś z temi pistoletami. O jednej tylko słyszałem, która z niemi jeździła — ale niech Bóg uchowa bym jej imię wspomniał przy pani!

Ponieważ ogień gaszono, a w części i ogromna nlewa go stłumiła, burza zaś ustawała i niebezpieczeństwo nie groziło, Piętkowa skłoniwszy się uszła do swój izby co prędzej. Chciał za nią stryj, lecz go powagą swą wojewoda zatrzymał.

— Słówko, mój łaskawco — rzekł — chodź do mnie. Widzę, że kucharz wieczerzę już dawać każe, asin-dziej niusisz ją ze mną jeść, to nie nie pomoże, a pani Piętkowój ja ją poślę i gdy przyjęła gospodę u mnie, chleb też mój raczy przyjąć.

Tak się i stało. Poszedł pan Eligi na wieczerzę, przy której i kieliszek wina się znalazł, a dolewał pan wojewoda obficie, chcąc znać w dobry humor wprawić gościa, żeby mu się łatwiej wygadał z czém jadą. Ujęty przyjęciem i wielkim faworem dygnitarza, pan Eligi w końcu *sub rosa*, zakławszy, aby to między niemi zostało — wszystko wyśpiewał. Chciwego miał słuchacza w gospodarzu, który się śmiał

i coraz wykrzykiwał z podziwu nad jędrnym charakterem niewiasty.

Gdy skończył stryj, wojewoda się zadumał.

— Ciekawym, rzekł, jak się ta historia rozwiąże. *Volens nolens*, jadę w tropy za wami, spodziewam się tedy, iż się w Dreźnie zobaczymy i że mnie asindziej odwiedzić raczysz. Tym czasem piję za zdrowie pięknej synowicy waszej i sukurs jej podróży. W żadnym razie żałować nie będzie, że ją przedsięwzięła, bo gdyby męża nie znalazła, adoratorów natomiast kopami liczyć będzie. Gdyby się na dworze pokazała a! no, nie ręczyłbym i za króla jegomości, choć nam trochę ociężała. Mogłaby Denhofowej niechęcystołka przystawić.

Domawiał tych słów pan wojewoda, gdy Eligi, który był wstał i na dymiące szczęty spalonej od piorunów karczmy poglądał, otoczonej ludu tłumem — aż krzyknął czegoś z podziwu.

— Co tam waszmość zobaczyłeś! spytał wojewoda.

— Nic tak osobliwego — ale znajomego tylko, któregoś się tu widzieć nie spodziewałem. Muszę zobaczyć co tu go przyniosło.

Puścił go tedy gościnny wojewoda. Przed gospodą stał z ludźmi swemi pan Seweryn Trzaska i rozglądał się gdzie zajechać.

— A pan tu co robisz? podbiegłszy spytał Eligi — w Inię Ojca!

— Jak mnie widzisz w kłopotie jestem, obojętnie odparł Trzaska — referendarz wysyła mnie do Dre-



zna, muszę jechać chociażem się w drogę nie wybrać.  
Sprawa gardłowa.

Dziwnie nań popatrzał Eligi.

— Osobliwsza rzecz — dodał, że się tak spotykamy,  
rzekłby kto, że stolnikowicz w tropy nasze podą-  
żasz.

Trzaska ramionami ruszył.

— Co się wam śni — jadę bo muszę! Ale ponieważ  
znowu się zetknęliśmy — jakże tam piękna heroina  
nasza?

— Cóż? zdrowa i spokojna, rzekł stryj, mniej ją  
bodaj podróż męczy, a sprawa kłopotczy niżeli mnie!  
Ale waszmość musisz gospody szukać.

— A tu kto z wami?

— Wojewoda inowrocławski.

— Miejsca nie ma?

— Ani kęska...

— Kiedyż jedziecie dalej?

— Jutro do dnia, jeśli koło nam przyklepią.

Odszedł pan Eligi, ale zafrasowany udał się zaraz  
do synowicy. Wszedłszy obejrzał się, potarł podgo-  
loną czuprynę i rękę załamał.

— Widzisz asińdzka, moja złota Elżuniu, co to za  
bieda młodej kobiecie wybrać się na takie azardy!  
Co krok to nowe kłopoty.

— Jakież? kochany stryju? przecież jam nie winna  
że piorun trząsał w karczme!

— Ale oto wojewoda się gorzej od karczmy do  
asińdzki zapalił! a tu i Trzaskę lichu niesie.

— Jak to? Trzaskę? gdzie?

— A jest tu, plecie że go jakiś referendarz do Saksonii wyprawił! Jaka to prawda... On się od Czerwonej Kamienicy za waćpanią wlecze!

Elżusia ruszyła ramionami niecierpliwie.

— Zabronić mu trudno jechać tą co i my drogą, rzekła—ale się myli jeśli myśli, że w podróży znajomość zawiąże. Żle trafił i płochy człek, widzę, nie wiele mam dlań szacunku.

Zastanowiła się nieco.

— Kochany stryju, rzekła—jest na to wszystko rada. Nie nie trzeba ichnościom mówić kiedy my jedziemy. Niech koło klepią jutro cały dzień, posiedziemy tu, ci pojedą przodem i tak się zgubiemy. Juścić niemogą chcieć mi towarzyszyć, bo ja na to nie pozwolę, a który by próbował, będę wiedziała jak się z nim mam rozprawić.

Powiedziała to takim głosem i z taką odwagą, że pan Eligi osłupiał.

— Ale—Elżusiu kochanie—pana wojewody asiudźka potrzebować możesz! Kto wie co się stanie, ten pan wiele znaczy u dworu!

— Ja z dworem do czynienia mieć nie będę! odparła kobieta.

— Któż to może wiedzieć—mruknął stryj—te diablice na jurgielecie są dworskim. Kto wie gdzie Zygmus, może opieki prawa wzywać przyjdzie.

Elżusia się rozśmiała.

— Ja prawa innego nad moje własne nie znam i to mi starczy. Tylko proszę o wyjeździe nie wspominać nic, a puścić ich przodem.

— Tak,—jeśli się to uda! dodał Eligi.

— I kochany stryj — bądź łaskaw gdy spytają, o niczem niewiedzieć.

— Zapewne i to się rozumie—rzekł Eligi—tylko, że Trzaska to desperat jakiś!

— My o nim i wiedzieć nie powinniśmy! przerwała Elżunia—co nam do niego, a jemu do nas!

Po burzliwym wieczorze, noc jakoś przeszła spokojnie, powietrze znacznie ochłodziło, a rano zwiastował się nader piękny. O świcie ludzie wojewodziniścy do podróży się zaczęli sztyftować korzystając z chłodka. Gdy Eligi wyszedł do sieni, znalazł tu i wojewodę z karłami, już ubranego, który ujrawszy go odezwał się głośno.

— Polewka winna na jegomości czeka! a co tak z jazdą marudzicie? u was widzę nic nie gotowo:

— Stopki całuję, wojewody — skłonił się pan Eligi—będziemy i my niebawem gotowi, ale to z kobietami wiadomo—zawsze się powolniej guzdrze. My nagoniemy.

— A no, bo ja jechać muszę—rzekł wojewoda—gorąco we dnie straszne, lepiej w chłodku przestać.

Wypiwszy polewkę na prędcę, submitował się pan Eligi, do kolasy odprowadził senatora, karły posadały z boku na drążkach i cała procesya powozów, konnych, wozów, kocznych ruszyła pompacyjnie

z miasteczka. Pan Eligi odetchnął wolniej, gdy oto — z drugiej strony patrzy, w rannym łosiowym kaptanie, stoi Trzaska w drzwiach drugiej gospody.

— Czołem! dzień dobry!

— Do nóżek upadam.

— A cóż jedziecie?

— Tak! tak! jedziemy, ale gdy się jejmość ubierze.

— Nie pojechalibyśmy to razem? byłoby weselój.

Eligiemu zrobiło się markotno, przypadł do ucha natrętowi.

— Jedźcie przodem! baba czegoś w złym sosie, lepiej się jej nie nastręczać. Jedźcie przodem—nagoniemy.

Trzaska zamilkł i pochmurniał, postął chwilę we drzwiach, popatrzał i luknął na służbę—konie kulbaczyć! w drogę!

Aż się lżej zrobiło stryjowi gdy zobaczył i ten drugi orszak oddalający się gościńcem i ręce złożył. — Chwała Opatrzności, rzekł w duchu—otożeśiny się ich pozbyli. Teraz do jutra trzeba szabasować w miasteczku, boć tak długo oni stać nie będą i pogubiemy ich—co daj Boże.

Lecz z temi rachubami, choćby nawet i na dnie podróży—nie zawsze człowiek tak wychodzi jakby sobie życzył. Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi.

Zabrali się tedy na cały dzień spoczywać, czemu konie rade były, a pani Zygmuntowa nie wiedziała wcale, że sobie tem gorszego piwa nawarzy.

W onym czasie, gdy p. Zygmunt Piętka poczynął się starać o Elżunię, już przy niej zastał sinałego siarczyście cholewy niejakiego Gracyana Borodzieza. Borodziezowie mieli wioskę około Okóniów; mieszkali w Wiązówce—o trzy świerci mili od Wólki. W owych czasach żył jeszcze ojciec Gracyana, pan Filip Borodziez, były rotmistrz kawaleryi narodowej, słynny rębacz, gaduła i bibuła. Syn do niego wcale nie był podobny, chyba z twarzy i postawy. Mężczyzna niepiękny, to prawda, ale dorodny, zdrów, silny, twarzy marsowej i męztwa takiego, że się niczego w świecie nie uląkł. Szedł bez namysłu z szablą jeden na dziesięciu, a pistolety do siebie wymierzzone za lufy łapał. Wymowę miał trudną, mówił też niewiele, ale na słowo jego liczyć było można. Zakochał się był Borodziez w pannie i attentował z pozwoleniem rodziców, gdy się Zygmus zjawił i zaraz go odsadził. Borodziez pannę widząc za nim odstąpił, ale jak się kochał tak ze swém kochaniem pozostał. Chcieli mu pp. Okóniowie drugą swatać—podziękował. Śmuty a wierny swemu pierwszemu uczuciu—zaklął się, iż nigdy w życiu się nie ożeni, a Elżunię poprzysiągł wierność do śmierci. Śmiano się z tego, dawał się śmiać, ani się tail.

— A co to jej szkodzić ma, że ja ją kocham. Zdaleka i słońce kochać wolno.

Znało go z tój passyi, Zygmunt sam czasem sobie z kawalera żony swój żartował, ona nie... Otwarcie powiadała, iż miała dlań szacunek i przyjaźń. A Zyg-

muś ją bystrością znać dowcipu i układną postawą obalamucić, bo inaczey byłaby pewnie poszła za Borodzicza.

Gdy się ta nieszczęsna przygoda trafiła z Zygmuntem, Borodzicza nie było doma, jeździł do krewnych kędyś daleko. Dopiero wróciwszy dowiedział się o wszystkim. Pierwszego tedy dnia nie spoczywając, do Okóniów pojechał.

Zastał tam łzy i niepokój i wiadomość o podróży Elżusi z panem Eligim. Stryja znał dobrze, a wydało mu się, że dla towarzyszenia młodej kobiecie w daleką drogę źle był dobrany—to go zasinuciło bardzo. Nie mniej myśl iż rzucona bez opieki w świat nieznanym, wiele przecierpieć musi.

Nie mówił jednak Okóniom nic, pochodził z niemi, postękał i do domu powrócił. Tegoż wieczora dla zasięgnięcia języka do Mioduszewskiego pojechał. Oba oni jednakiemi byli adoratorami pięknej Elżusi i nawzajem się też wielce kochali. Ledwie Borodzicz z konia pośpiał zsiąść, już go stary Mioduszewski witał.

— A co! bratku! nie ma królowej naszej nie ma!

— Jać to za tem do wasci na radę przybyłem, ściskając go odparł Borodzicz—nie dosyć że pojechała nieopatrznie w cudzy kraj, ale kogoż wzięła z sobą, hm...

— Rozgotowaną sztuką mięsę! zawołał Mioduszewski, bo to kruche jak ona a nie posilne. Niech mnie wezmą! pojechał Eligi.

— Otóż to jest! rzekł Borodziez—ale gadaj no jegośność więćej! Jak? co? ja nic nie wiem.

— Co mam mówić? Znaćie królowę naszą, zaczął Mioduszewski podnosząc ręce—to kobieta jakich nie ma. Powiedziała sobie że pojedzie za nią i ruszyła jak z procy, żadną siłą jej powstrzymać nie było podobna. A po co pojechała? zarznij mnie to ci nie powiem! Eligi mówi, że mu obiecała w łeb strzelić—no—ale tego nie uczyni... żeby mu tam w oczy napluć i zawstydzić, przyznam się tyle śatygi nie było warto! żeby go tu nazad przyciągnąć? — wszak ci i sam ogoliwszy się przybędzie pewnie. *Summa summarum*, królowa nasza z wielkiego gniewu, podaj czy nie baka ucięła, którego sama potem żałować może. Niech mnie wezmą!

— A może! westchnął Borodziez — i w dodatku Eligi!!

— Dobrze człeczysko, ale co po nim! zawołał Mioduszewski.

— Hm! mruknał przechadzając się Borodziez, to źle jest—źle... a rodzice ją tak puścili!

— Któż ją strzyma? odparł gospodarz, gdy czego chce—to być musi, a gdy się pogniewa, żadna siła jej nie zmoże.

— Hej! hej! uśmiechnął się Borodziez, ręce ogromne gdyby łapy niedźwiedzie składając jak do modlitwy—hej! hej! to musiała być piękna gdy się tu gniewała!!

Aż westchnął z piersi całej — ona bo czy się gniewa, czy się uśmiecha — czy smutna to coraz inaczej, a piękna... kroć sto tysięcy... zarwał — Mioduszewski uściskał go.

— Prawda! prawda! to jest mosanie piękność nad pięknosciami, to jest — kobieta jakiejś drugiej nie ma pod słońcem... niech mnie wezmą.

— Nie ma pod słońcem! powtórzył Borodziez i począł znowu chodzić po izbie jak zwierz po klatce.

— Wiesz acan co? wiesz co? mnie się zdaje — dodał — tak ją opuścić, zdać na łaskę Opatrzności z tym Eligim, — cienięga — to się nie godzi. Za późno się dowiedziałem o wyjeździe — a no — a no — wiecie co, Mioduszewski?

— A co? a co?

— Ja za nią pojedę! Ona o tém i wiedzieć nie ma, i nikt oprócz was — będę z za węgla naglądał. Ot! a co wy na to?

— Hm! westchnął drugi — żeby ona mi była gospodarstwa nie zdała, ja bym toż samo zrobił — niech mnie wezmą!

— Ale żywej duszy ani mru mru! dodał Borodziez — chciałem wiedzieć co wy powiecie — teraz bywajcie zdrowi — ja dziś nocą już będę na gościńcu.

— E?? e? spytał Miodusze wski — na prawdę!

— Jak mi Bóg miły! bywaj zdrow.

Uścisnęli się. — Tegoż dnia ruszył Borodziez, a dobrawszy i konie i ludzi, niezatrzymując się nigdzie,



poparł tak, że tego dnia gdy koło reperowano w miasteczku, stanął w niem na popas.

Rzeczywiście koło było oddawna gotowe, konie się tylko wylegiwały, ludzie chrapali, Elżusia zadumana siedziała w okienku, a stryj Eligi który się strasznie nudził, po pustym rynku miasteczka chodził z rękami w kieszeniach, jakby po swym własnym toku. Dwie kozy żydowskie i chuda krowa, żywiące się resztkami wczorajszego jarmarku, dotrzymywały mu towarzystwa. Spacerował tak sobie zdjawszy nawet pasa, aby mu wolno było, gdy na zawrocie nos w nos... z konnym jakimś się zetknął i aż cofnął.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Borodziecz! a ty tu co robisz?

Nieszczęśliwy pan Gracyan, który się tu jeszcze podobnego spotkania wcale spodziewać nie mógł— a nie był do niego przygotowany—oniemiał. Szyk, pyk—co tu powiedzieć?

Zaczął się kłaniać i śmiechać, myśląc tymczasem jak się wyklamać. Innemu by to może łatwo przyszło, ale Borodziecz nie miał najmniejszej wprawy, nie trafiło mu się dwa razy w życiu wyłgiwać. Łykał więc wyrazy, śmiał się, wąsa kręcił, a myślał:— Co ja tu jemu nieszczęśliwy powiem?

Niechciał się wcale przyznać, że gonił za niemi, ani nawet się im pokazać. Wypytywał po drodze kiedy jechali i był pewnym, że go o cały popas, co najinniej wyprzedzają. Tym czasem zatrzymanie się

w miasteczku było powodem, że się tak niespodzianie zetknęli.

— Cóż ty tu robisz? zapytał się Eligi.

— Ja? co ja tu robię—mówił Gracyan przeciągając dla namyslenia się—w istocie panu się zdawać może dziwném co ja tu robię, nieprawdaż? ha! a ja też nie mogę się wydziwić jakim trafem tu pana spotykam?

— Czyś waépan w domu był? spytał stryj.

— Kiedy?

— A no teraz w Wiązówce byłeś?

— Jakto?

— Z tamtąd jedziesz?

Borodicz zmiarkował, że się jednym kłamstwem śniałem uratuje.

— Ja? ja jadę od familii. Cztery tygodnie jak nie byłem w domu.

— Nic nie wiesz?

— A cóż mam wiedzieć!

Stryj Eligi odetchnął. Nic nie wiesz? Zygmus uciekł z diabolicą, a my z Elżusią za nim goniemy! Ona tu jest.

— Tu jest? zawołał niby dziwić się Gracyan.

— Tu! i stryj wskazał na gospodę.

Duch wstąpił w Borodzicza.

— Otóż, rzekł, szczęśliwy trafunek mnie tu sprowadza.

— Bardzo szczęśliwy... chodź do Elżusi, będzie ci

rada, bo to ty stary adorator, stary adorator! śmiejąc się, dodał stryj.

Borodziez z razu się opierał, potem otrząsnąwszy z pyłu, za stryjem pociągnął. A już Elżusia go z okna dostrzegła i zarumieniła się zobaczywszy, bo się jój zdało, że i ten może za nią goni — obiecała go sobie surowo przyjąć i odprawić, bo z nim jako z najwierniejszym sługą nie robiła ceremonii.

Gdy się stryj w progu pokazał, po twarzy poznał, że synowica była gniewna — bo się jój wówczas ciemne brwi schodziły prawie i pręga występowała na czole.

A pan tu co robisz! zawołała na Borodzieza zobaczywszy go i nie czekając aż ją pozdrowi.

— Istny przypadek, miłościwa pani! jadę od rodziny, cztery czy pięć tygodni jak nie byłem w domu.

To rozbroiło Elżunię, uśmiechnęła się.

— Dowiaduję się od pana Eligiego, że państwo w podróży jesteście i to jeszcze tak dalekiej, tak smutnej.

— Siadaj panie Gracyanie, swobodnie zaczęła Elżusia — podróż to nie straszna, a bardzo się smucić nie mam czego! chcę ratować człowieka, który rozum stracił. Znaleźć go muszę, poprobuję ocalić, a nie!.. Machnęła ręką.

— To co? szepnął Borodziez.

— To wrócę do domu i — obejdę się bez trutnia, ale gdy on przyjedzie, może mnie nie zastanie. Ja się ani podróży ani jego nie lękam.

— Herod-baba! szepnął stryj—ona się nie lęka, a ja się lękam!

Borodziez milezał. Elżunia chodziła po izdebce dosyć raźnie, wzięwszy się w boki, a tak jćj w podróznój katance było pięknie aż miło spojrzeć—pasł też oczy nieszczęśliwy Gracyan i wdychał. Jakoś go to wszystko tak nagle a niespodzianie pochwyciło, że się na żadną przytomną odpowiedź nie przygotował, i gdy go Elżunia nagle zagadnęła—A pan dokąd jedziesz?

Stropił się i zmięzał, niewiedząc co odpowiedzieć. Po długiem milczeniu powtórzyła mu:—Waćpan dokąd jedziesz?

Co tu było orzec? głowa pękała, kłamstwo go każde niesłychanie kosztowało. W tej chwili gdy łykał niedojrzałe wyrazy, których powiedzieć nie śmiał jakby mu kto szepnął na ucho: — Na Szlązk woły kupować.

— Na miłego Boga! rozśmiała się kobieta—a toż z waści gospodarz! Przecież od nas je tam wodzą sprzedawać?

— Hm! nie wiem! rzekł zafrasowany Borodziez... nie wiem, bo mnie powiedziano, że takiego bydła jak na Szląsku u nas nie widziano.

Coś to tak kłamstwem pachniało, że Elżusia głową strasznie trząść zaczęła.

— Może i pan za jakim koczkonem gonisz! rozśmiała się—bo się przyznać lękasz! wszak ci to chodzi po was.

— Ino nie po mnie—zawołał Borodziez z oburzeniem, to się po Borodziezu nie okaże.

Tak jakoś rozmowa drażliwa się skończyła; biedny Gracyan stał a patrzył, czując że swą panią nie rychło znów zobaczy.

— Pewnie panu do tych szlążkich wołów pilno—rzekła filuternie trochę Elżusia, ruszaj że szczęśliwie nie wstrzymujemy, my tu jeszcze nocować będziemy.

Skloniła mu się, wyszedł ra d nie rad, a stryj Eli-gi za nim. Ale mało co już mówili, bo Gracyan do rozmowy skorym nie był, stryj ponuro chodził, wreszcie namyśleć się należało co tu począć. Pożegnali się w rynku, Borodziez schronił się do żydowskiej izby, gdzie sobie jajecznicę zadysponował. Zastygła wszakżeta podróżna potrawa, a jeszcze chodził i dumiał a przemyślał co miał z nieszczęsną swą figurą uczynić, aby nie narzucać się kobiecie, a na straży jej pozostać. Po długich rachubach postanowił ruszyć przodem i wyczekawszy gdzieś, aby go minęła, później za nią nieznacznie podążać.

Gdy się to dzieje, na gościńcu dobrze przodem przed wszystkimi poleciał Juliusz Dziemba z tą informacją, aby sobie gospody szukał pod „Polskim Trębaczem,“ kędy pocztylioni stawać nawykli, co z listami extra do króla posyłani byli. Dobił się do stolicy właśnie w taką nieszczęśliwą porę, gdy z Niemiec różnych książąt, z całego świata podróżnych moc się była wielka zbiegła do stolicy, w nadziei jakichś uczt i uroczystości nadzwyczajnych. Po nie-

miecku nie wiele rozumiejąc, a ufając temu, że tam siła swoich znajdzie, Diemba dotarł do nowego miasta (dziś się ono starém nazywa na odwrót), a że w ulicach był i jezdnych i powozów i lektyk i pieszych tłok nadzwyczajny, utonął w tłumie sam już nie wiedząc co począć. Szczęściem pacholika z podgoloną głową, gąsiorek pod pachą niosącego, zobaczył.

— Na miłość bożą—chłopcze—zawołał po polsku do niego—ratuj ziomka, a powiedz mi gdzie ja się tu mam podziać?

Chłopiec zęby białe pokazał:—A wy to zkąd?

— A no, widcie po mowie! wśród tego szwargotu — obaławianiem, nic nie rozumiem. Prowadźcie mnie do jakiej gospody, gdzieby się można ludzkim rozmówić językiem.

Chłopiec mu w ciąż w oczy patrząc śmiał się.

— A to wy myślicie — rzekł, że wy tu kąś znajdzieciegdzie? ale! ale! wszystko zapchane.

— Gdzież gospoda pod Trębaczem?

— Ja cię do niej zawiodę, a co po tém? tam kąta nie ma.

Poszli tedy przeciskając się, chłopiec z gąsiorkiem przodem, ten konia za sobą wlokąc za nim. Tymczasem w tłumie ktoś miłosierny, żeby szkapa zbyt wielkiego nie dźwigała ciężaru, troki poobcinał i tłomoczek przygarnął. Dziemba nie rychło się opatrzył. Przybyli pod Trębacza... dziedziniec pełny, do stajni ani się docisnąć, gawiedzi wszelakiej jak mrowia...

kiedy spojrzy, aż z za wrot blada twarz Janka woźnicy pana Zygmunta patrzy, ale tak smutno jakby po tygodniu postu. Rzucił się tedy ku niemu chłopca zabywszy:— Chwalić Boga! jest pan?

— Albo ja wiem! ziewając syknął Janek.

— Jakże nie wiesz?

— Co mam wiedzieć! Pięć dni jakeśmy go nie widzieli — gdyby w wodę wpadł. Gospodarz obroku i strawy nam już dawać nie chce, konie żłoby gryzą, my chleb suchy, a pana ani widu ani słyhu.

— A gdzież go szukać?

— Albo ja ta wiem gdzie? odparł Janek, jak się kropnął raz ztąd, tyle go oczy widziały. Nam tu chyba z głodu przyjdzie pozdychać!

Co człowiek klnie i łaje—oni nie rozumieją nic... jak groch na ścianę... nawet nie ma téj pociechy, żeby się z którym pocubić.

— Przecież pan w mieście jest?

— Abo ja wiem czy on jeszcze na świecie! obojętnie głodny Janek wyśpiewał.

Obejrzeni się w dodatku do wszystkiego, że z trok tłomoczek zniknął Dziembie, którego całe mienie w nim było, aż się na płacz zbierało. Siadł przy Janku na kamiennym słupku i we dwóch zaczęli litanie klątw na Niemców, przyczém może się co komu więcej dostało. Już było z południa, postawił konia Dziemba, a że szczęściem trzosik chudy miał w kieszeni. poszedł Janka nakarmić i sam coś zjeść na miasto. Posilili się oba kiełbaskami, a że o konie

w gospodzie byli bezpieczni, bo wyrostek przy nich został, Dziemba poprosił Janka, aby go trochę oprowadził.

Na Zygmunta musieli czekać zlitowania bożego—by ono im go dało w ręce, nie wiedzieli wcale i nie mieli pojęcia gdzie go szukać. Przewlekli się tak po rynku pełnym jeszcze, przez zamkową ulicę, zajrzeli w bramę, wyszli ku mostowi, wszędzie ścisk znajdując ogromny i ledwie mogąc wyminąć między kołami, wozami, lektykami i ciżbą. Około zamku dostali od halabardnika sążnistego po plecach, aby prędzej z drogi schodzili, i uznojeni wrócili pod Trębacza. Dziemba tylko trochę się obeznawszy z ulicami, na jutro wyprawę odkładał.

Drugiego dnia gdy się na słomie w stajni prześpawszy obudził Juliusz, chciało mu się płakać, po co on tu z wielkiej gorliwości zapędził się za owym panem, który mu tu tak mógł dać zdechnąć jak swoim koniom i sługom. Zwlókł się nieboraczysko na mszę do kapliczki, którą mu ukazano, potem wędrował po ulicach i zjadł znowu parę kielbasek popiłszy je wódką, potem już nie wiedział co robić... gdy —a było dobrze z południa— przechodząc rynkiem starym, zapatrzył się w okno. W oknie stała bardzo pięknie wystrojona niewiusta z wachlarzem, i śmiejąc się do rozpuku, ręką i rękawiczką dawała mu znaki, aby wszedł. Dziemba obejrzał się naprzód czy to się do kogo innego nie stosuje, lecz zaprosiny te widocznie były dla niego. Zawahał się—piękna twa-



rzeczka ze śmiechem, którego utulić nie mogła, ciągle gwałtownie mu ukazywała, ażeby szedł na górę. Zbliżył się do okna zdumiony, osoba była zupełnie nieznajoma, a z ust jój szybko raz po raz zaczęło się sypać:

— Siemba! Siemba! Siemba!

Nie było więc wątpliwości, że nie kogo innego tylko jego wołano. Acz nadzwyczaj skłopotany, pomyślał, że szlachcicowi nie wypadało nie wiedzieć czego się uleknąć i śmiało wszedł do kamienicy.

Wschody były przyciemne, lecz ledwie się na nie wdrapywać począł, w górze otworzyły się drzwi, usłyszał czyjś zmieniony głos — Dziemba! i pośpieszył nań. Drzwi zastał na rozcież odemkniętę, z obu ich stron stały dwie kobiety bardzo przystrojone całe we wstążkach i kokardach, nróżowane, ubielone, trzewiczki na korkach, ręce po łokcie obnażone, w gorsecikach jakichś jak w pudełkach, a do gorsu postrojone, na głowach upudrowane dwie piramidy z kwiatami tak misternie fryzowane ujrzał, iż osłupiały stanął. Kobiety śmiejąc się wciąż go do środka wzywały.. ale nie mówiły nic, gestami tylko pokoje dalsze pokazywały. Cóż było robić? Mimo że sobie widocznie drwiono z niego, posunął się dalej.

Pierwszy pokój był pięknie przystrojony, meble złożone z jedwabnymi przykryciami, zwierciadła w porcelanowych ramach, pajak od sufitu jakby cały z kwiatów i ptaszków ulepiony, ale w nim... nikogo. Dziemba znalazł się sam jeden i nie wiedział co

myśleć. Drzwi do drugiego pokoju stały otworem, zajrzał doń. Drugi był jeszcze wytworniejszy. Ściany w nim całe lśniły od jedwabów. Stolik przed kanapką wysadzany był z marmurów, posadzka wyglądała jak szkatułka cała w kostki i floresy. W rogach na kolumnach wazony malowane dźwigały snopy kwiatów, których woń rozchodziła się w powietrzu. Żywěj duszy i tutaj. Dziemba szedł powoli, lecz coraz śmielej. Co to wszystko miało znaczyć? Z pokoju tego ostrożnie wyglądając, dostrzegł niby się wyłożoną marmurem, ogromne okno z niej na pół otwarte wychodziło na balkon balustradą marmurową obwiedziony. Na balkonie złożona stała klatka, a w klatce siedziała papuga zielona, która spostrzegszy Dziembę, zaczęła kręcić głową i wrzeszczeć:

— Gute Nacht! Gute Nacht!

Wszystko to dziwnie go drażniło— Co dalej robić? Oczywiście z niego sobie ktoś stroił żarty! Wrócił się Dziemba nazad z mocnym postanowieniem wyjścia z tego jakby zaczarowanego domu. Doszedłszy jednak do pierwszych drzwi, znalazł je na klucz zamknięte, a gdy się odwrócił, postrzegł, że i te którymi do papugi chodził pozamykały się. Natomiast gdzie w ścianie żadnych wprzód nie było, zobaczył otworne, a przez nie widok osobliwszy. Cichuteńko, bez ruchu, jak skamieniałe, siedziało u stołu towarzystwo z kilkunastu osób złożone, niby obraz żywy wyglądające...

Na stole zastawionym obficie, ubranym w wazon, szkła, kwiaty, porcelanę, figurki, w półniskach stały owoce, potrawy, cukry i łakocie. Postrojone kobiety oparte jedna na łokciu, druga na ramieniu mężczyzny, inna z rękami w wieniec nad głową, patrzyły wszystkie na nieszczęśliwego Dziembę. Stroje ich były osobliwe, a jaskrawe i mnóstwem świecideł popstrzone... jaskrawe też twarzyczki i oczy i usta wiśniowe, około których loki fryzur i brylanty zausznice i naszyjników łyssały. Wśród nich naprzemian siedzieli mężczyźni w maskach, jeden z nosem ogromnym i chińskimi wąsami do pasa, drugi w sukni Arlekina, trzeci w peruce jak fura siana i okularach jak talerze, czwarty z rogami na głowie i uszami sterczącymi do góry.

Patrzył Dziemba, patrzył na ten bankiet osobliwszy i coraz go nieruchomość ta więcej męczyła, gdy — nagle muzyka jakaś słyszeć się dała... wszystko ożywiło się, ruszyło, zagadało, a jedna z pań jęła Dziembę ręką zapraszać do stołu i wołać usta śmiechu pełnemi:

— Siemba—Siemba!

— Mężczyzna w peruce i okularach podniósł kielich pełny do góry i wyciągnął go ku niemu, wołając — Fifat Siemba!! Wszyscy przytomni pochwycili za szklanki, kielichy, flaszki i echem rozległo się — Fifat!!

Wszystko mu się jeszcze zdawało, że gdzieś w stajni pod Trębaczem usnął, że mu się licho wie co ma-

rzy, a radby się był z tego snu otrząsnął, gdy głośnym śmiechem parsknął ten co miał rogi, zerwał maskę z twarzy i uradowany Dziemba ujrzał — kochanego Zygmunia.

Zygmus bawił się tu szczęśliwie, *avec les Comediens ordinaires du Roi...* Skoczył on z za stołu i pobiegł do zdumionego chłopaka. Wszyscy ogromnym znowu chórem śmieli się i klaskali. Prolog sztuki doskonale był odegrany. Posadzono Dziembę do stołu nie pytając o nic, nalano mu puhar wina, podsunęto pieczeń, a gdy reszta towarzystwa weseliła się jako chciała śpiewając i krzycząc, Zygmunt klapnął go po ramieniu.

— Co ty tu robisz? zkądeś się tu wziął?

— Z dobrej woli pewniebym był się nie zabił w ten kraj niemiecki, westchnął Julek—ale mnie miłość ku panu przygnała.

— Cóżes się zatęsknił? parsknął Zygmus.

— Gdzie zaś panie! gdybym tęsknił tobym musiał zdychać, bo dogodzić sobie trudno—a no nieszczęście się stało.

— Co za nieszczęście?

Dziemba namyślał się jak mu to ma powiedzieć.

— Jejmość okrutnie się na pana rozsierdziła.

— Ale ba—to minie.

— Pono nie, bo ona tu za panem jedzie, a na moje uszy słyszałem, że się temi słowy odgrażała:—jak psu mu w łeb strzelę!!

Zygmuś, który się nigdy nie spodziewał, ażeby żona tak na seryo brać miała wybryk jego—widocznie się zmieszał. Znał Elżusię tyle, iż wyrzeczonego słowa jój nie lekceważył.

— Widząc panie, że to nie żarty, że pani się do drogi pakuje z panem Eligim, a krucice do kieszeni wzięła, drapałem ja przodem, aby miłemu panu oznajmić i przestrzedz. Com biedy i głodu napytał i strachu, Panu Bogu chyba ofiaruję.

Zygmunt poklepał go po ramieniu.

— To ci nie przepadnie, rzekł — bądź spokojny... ale miałażby ona aż tu gonić za mną? He?

— Nieochybnie, tylko co jój może nie widać!

— Któż z nią?

Dziemba począł liczyć konie i ludzi i wszystko co się do podróży sposobiło.

Zygmunt potrząsał ramionami.

— To coś nie żartem, rzekł rozgniewany—ale jak pójdzie między nami na udry, tom i ja nie malowany! Niech przyjeżdża, zobaczymy co mi tu ona zrobi? a najprzód czy innie tak weźmie jak się jój zdaje? Jeśli ona gonić umie, ja potrafię uciekać. A to baba! zawołał—nie przedłoby to przy piecu kądzieli? he? nie śpiewałaby godziniek! Zachciało się świat sobą zajmować i grać heroinę... niech ją...

Stuknął pięścią o stół tak mocno, że się wszystkie kieliszki powywracały, i porcelana płaczliwie jęła. Widząc brew namarszczoną i gniew, jedna z pań, mała, fertyczna i ciekawa, z czarnemi oczyma i brwia-

mi aksamitnemi, wybielona i wymalowana, a muszkami upstrzona, przybiegła nagle, sparła się na ramieniu Zygmunta poufale, i nagadawszy mu coś na ucho, maleńką rączką klapnęła go po twarzy...

Zygmunt się odwrócił, chcąc za to uderzenie ukarać gdy jejmościanka poskoczyła w powietrzu jak fryga, okręciła się, uderzyła raz jeszcze, skoczyła na krzesło, z krzesła na stół, między wazony i kieliszki, ominęła je szczęśliwie żadnego nie potrąciwszy, fuknęła na prawe krzesło, usiadła w niem poważnie bardzo i pokazała Zygmuntowi dwie różowe figi z dodatkiem niemniej różowego końca języczka. Odbył się to tak szybko, że Piętko nie miał czasu wydobyć się z krzesła, a Ziemia zdumiony wywrócił swój kieliszek i rozlał wino... Grzmot oklasków zgromadzenia nagrodził zręczność balleriny. Któż inny jak tancerka mógł takić sztuki dokazać?

Śmiech powszechny powitał też bezsilne usiłowanie Zygmunta, który chciał się dostać do winowajczyni, ale ręce wszystkich współbiesiadników łapały go i zatrzymywały na drodze, arlekin go bił dostawszy łopatkę z za krzesła, podstawiano nogi i krzeselka, lano mu wodę za kołnierz, na ostatek jegomość w peruce zręcznie ją zdjawszy ze swój łysiej głowy, wrzucił Zygmuntowi na odwrót, tak że jej tylne pukle oczy mu zasłoniły...

Ziemia patrzył, nie wiedząc czy bronić Zygmunta czy śmiać się, czy uciekać... Zamęt był straszny, lecz skończył się w sposób bardzo osobliwy: porwano

pana Piętkę pod ręce i całe towarzystwo tańcząc na zabój, miotając się, szalejąc, śpiewając wyleciało z nim do pierwszej sali... Tu rozpoczęto prawdziwie piekielne tany. z takimi podskokami, wyciem, świstem, wyłamywaniem po stołach, krzesłach, kanapach i po podłodze jakby szal jakiś owładnął niemi..

Dziemba wstał od stołu i patrzył przecierając oczy... Niektóre z tanecznic i tancerzy siadali na ziemi, inni skakali im na ramiona, wywracano koziółki... zdawało się, że wszyscy...

Zygmunt dobywszy się na „poza z peruki, ale śmiał się i trzymał za boki.

— A co Dziemba! krzyknął, a czy u nas się tak bawić umieją? To szatany wcielone te Francuzice, Włochy i Cygany... Ledwie po chwili Zygmunt się zwłóknął jakoś próbując krzyżów czy mu ich nie połamano i pokuliwając na nogę.. Ubiór jego, a przebrał się tu oczywiście z niemiecka już, poszarpany był w kawałki, koronki wisały w strzępkach, kamizola nie miała guzików, poły jednej ufraka brakło, bo została na podłodze... z żabotów wisały ruiny i pończocha nawet jedna zsunęła się na trzewik...

Nie lepiej mieli się i drudzy, szczególnież panie, których fryzury się porozpuszczały a suknie na robronach świeciły otworami... Śmiano się jednak ser-

decznie, zbierając zaraz potracone łańcuszki, naszyjniki i kolce.

Zygmus padł na krzesło ocierając pot z czoła.

— Cóż ty Dziembo na to?

— Julek ramionami ruszył: — Trzeba żelaznych ludzi, żeby się tak bawić mogli! rzekł cicho.

— I są żelazni! odparł Zygmus, piją, skaczą, wrzeszczą dzień i noc, a nie im nie szkodzi! To dopiero mi ludzie i to mi hulanka! A u nas! E! dodał, kapucynyl

Chwilę odetchnąwszy Zygmus zwłókł się, podszedł do małej owiej z grubemi brwiami, coś jej poszeptał na ucho, coś ona jemu... dał znak Dziembie i wysunęli się drzwiami ku wschodom. Ale w takim sianie w jakim Piętka się znajdował, nie sposób było pokazać się na ulicy, zajrzał więc do małej izdebki gdzie znaleźli krawca nad robotą i fryzjera przy peruce, około której z żelazkiem tańczył; ci dwaj artyści wzięli go na kwadrans w opiekę, połatali pozszywali, oczyścili, Zygmus dostał jakiś płaszczyk na ramiona i wspaniałe Niemców nagrodziwszy, spisał się z Diembą ze wschodów...

— Gdzież pan mieszkaś? zapytał go Julek po drodze?

— Nocleg czasem gdy się bardzo spiję odprowadzam w ciupce pod Trębaczem, rzekł Piętka—a resztę dnia to się człek tam i sam bałamuci.

— Gdzieżbyśmy pogadać mogli? dodał Dziemba.



— Hm... może na wino gdzie wstąpićby trzeba, bo mi od tego szalonego tańca w gębie zaschło— zamruczał Piętka—jak ci się zda?

— Nie wiem, ale i pod Trębacza zajrzeć trzeba. bo tam Janek z głodu mrze i konie żłoby gryzą... gospodarz im już nie daje.

— Stłukę bestię na miazgę! krzyknął Zygmus..

— Wiesz pan co? jeśli tak ma być—ja z panem nie idę—rzekł namyśliwszy się Julek—ras tu mało a Niemców siła, pan jednego zaczniesz tłuc, oni nam wszyscy na karki siędą i z życiem nie ujdziemy...

— Ale gdzie zaś! zawołał Piętka spokojnie — ja będę którego chcę tłuc, oni będą patrzeć. To tylko bieda, że pozwą do sądu, poświadczą i każą tak zapłacić, że wszyscy razem tego nie warci—ot dla czego tylko mu w kacie uszu natargam. Bądź ty spokojny, ja już ich znam.

Poszli tedy razem pod Trębacza. Zygmus się z gospodarzem w kacie rozprawił tak, że ten raz tylko kiwnął i wrócili do Dziemby. Izdebka, w której mieszkał, po paradnych salach opuszczonych przed chwilą wydawała się bardzo smutnie. Okno wychodziło w podwórze... łóżko było pierzynami nabite, ale wąskie, stół chwiejący się, a krzesółka jakby po przepieciu, niepewne na nogach.

— Czemuż pan sobie uczciwszego mieszkania nie poszukasz? spytał Dziemba.

— A mnie ono aa co? Ja tu prawie nigdy nie siedzę, a pieniędzy szkoda... i wiesz co, Dziemba—bodaj, że mi ich już prędko zabraknie. — Co tu począć?

— Chłopak.

— Tóreś pan wziął z domu?

— He! toż się żyło przez parę dni po krótko! kosztuje dyabelnie... mówił Zygmus Trochę się przepiło, trochę przejadło, trochę z kieszeni mi wyciągnęli, ba kto inny wie, bo nie ja... Dobył osika i wysypał na stół—było w nim ikatów i kilka talarów.

— Zawołał, fiu! fin! fiu! jam się tego nie ruszczowe skarby... jeszcze tyle. Tak z tego! trzeba pójść na wieczerzę...

— Nie—zaprotestował Dziemba.

— Cz! przerwał Zygmus—jest tu taki co da! ale ba! tylko się przebiorę i poprowadzę z sobą na wieczerzę.

Wszystko co dotąd Dziembę spotkało, dawało mu wielce do myślenia, nawykł on był do pańskich hulank, a bywały niektóre i bardzo ochocze i szalone, coś takiego jednak jak tu nie trafiło mu się nie tylko oglądać, lecz nawet nie marzył, by się to na świecie znalazło. Zygmus też tu tą atmosferą zdawał się jakby upojony... Lekceważył sobie wszystko, z pogroźek żony śmiał się, ruszał ramionami i śpiewał — jutra dla niego nie było, począł Dziembie

rozpowiadać o Francuzicy jaka to miła i pełna talentów kobiecina, jak skacze, jak śpiewa i jak swego czasu poważną nawet a przyzwoitą być umie; dodał, że się w niej na zabój kocha, że jest nadzwyczaj szczęśliwy i że póty ztąd nie ruszy, choćby po niego dziesięć żon przyjechało, póki do dna tego kielicha nie dopije.

— Jednakże ciekawym — dorzucił Zygmus — co ona tu ze stryjem Eligim pocnie, gdy się nareszcie przywłoką? Najprzód, licha zjedzą, żeby mnie znaleźli, powtóre figle im będę płatał... i zemszczę się za to prześladowanie. No! kiedy wojna! to wojna!

— A jakby się jejmość do króla udała zapytała Dziemba.

Zygmus za boki się wziął ze śmiechu.

— Doskonaleby trafiła! albo to on lepszy! Ale jejmość nadto rozumna, żeby miała sięgać tak wysooko... a stryj Eligi dobry na zające nie na takie kożły jak ja.

Poczęli tedy pić, a że skromnego Dziemby nie dosyć było Zygmuśsiowi, dobrał sobie dwóch jeszcze towarzyszków i tak noc spędzili do rana... Pokładli się spać na ławach ponakrywaui płaszczami. a przebudzili się aż na śniadanie.

---

Po przebytych dość długim i nudnym dniu w małej mieścinie, ruszyła Elżusia rano w dalszą drogę

będąc pewną, że już na niej natrętów nie spotka i bez przeszkody do celu dojedzie, Wprawdzie Borodzieza, który rodzaj zasadzki zrobił, pominęli, i ten niepokazując się już ciągnął dalej za nimi, lecz na pierwszym popasie znalazł się wojewoda z karłami. Okazało się, że niespokojny o los pięknej pani, zatrzymał się i czekał dopóki nie nadjedzie. Zmieszało to Elżusię, lecz grzecznie przysłał do niej marszałka z oznajmieniem tylko iż radzi jej za nią się trzymając dalszą podróż odbywać, aby sama jedna nie doznała jakiejś nieprzyjemności. Nie naprzykrzał się zresztą, karły przyniosły kawę i bułki, trzeba je było przyjąć. Stryj Eligi dostał wódki i odsmażanego bigosu, Sam pan nie pokazał się nawet pani Piętkowój.

Co daleko gorzej i kwaśniej przyjęła, to drugie odwiedziny pana Seweryna Trzaski, który submitował się, rozpowiadając jakim to on osobliwszym wypadkiem na tej samej drodze się znajduje i z musu, i z wielką rozkoszą, jejności nieraz towarzyszyć musi — Elżunia usta skrzywiła.

— Panie stolnikiewiczu, odezwała się, pan mnie nie zna, a podobno fałszywie sądzi. Im śmieliej się tak w świat puszczam, tém więcej czuję, że na wszelkie względy przyzwoitości surowo zważać inuszę. Nie wypada, abys pan kręcił się tu koło mnie... ludzieby posądzili go, że mi assistujesz przez jakąś atencję, której ja przyjąć nie mogę. Mam męża wewnętrznego łotra, to prawda—a no — jeszcze go mam,

i póki jest, nikt mnie nie zechce krzywdzić zbyt niemiłą nadskakiwaniem, bobym się srodze gniewała!

— Pani dobrodziejko—rzekł zmieszany Trzaska—przecież jój nie chybiam tém, że się tu wypadkiem znajduję...

— Bynajmniej, ale proszę, niechże ten wypadek będzie ostatni...

Ukloniła mu się tedy grzecznie i zwróciła w drugą stronę. Trzaska ukontentowany wyleciał do sieni.

— Kiedy tak! zawołał do stryja—kiedy tak — nie będę się jejmości naprzykrzał. ale krok w krok za wami jadę, to też pewno nie ustąpię...

Mówił to jednak w pierwszej gorączce, z której zaraz ochłonął... Zawrócił nie myśląc, kazał tylko ludziom w tyle pozostać. Wojewoda pojechał przodem, za nim wyszła później kolebka pani Zygmuntovej. Trzaska tam marudził, że go Borodziecz napędził. Nie znali się z sobą, ale dwóch szlachty w drodze... na popasie, żeby nie pogawędzili — chybaby poniemieli. Spytał Trzaska nie mówiąc Borodziecz, czyby téj pani przodem jadącój nie znał? Pan Gracyan z razu udał, że nie wie jakiej, potem niby się dowieoziawszy o kim mowa, rzekł obojętnie, iż ją niekiedy widywał.

— Kobieta piękna—rzekł Trzaska, mąż łajdaczyzna, a ona taka pono sroga, że i patrzeć na siebie broni.

— Hm, dodał Borodziecz—to tylko wiem, bo w sąsiedztwie mieszkamy, że czeigodniejszej ani zacniej-

szęj pani nie znam. Surowa to prawda i *hic mulier*, ale jęj to przystało... bo tęg pani wszystko do twa-  
rzy...

— To prawda! z uniesieniem dorzucił Trzaska: jeszcze takięj jakem żyw nie widział. Można dla nięj oszaleć.

— A zkądżes to pan z nią znajomość zrobił?

— W drodze poznałem...

Poczęli tedy chórem oba słać oną piękność, a jeden przed drugim nie przyznał się wcale, żeby umyślnie za nią jechał... Borodziez nawet prędko się powstrzymał, zostawiając towarzyszowi pole swobodne do uniesień i pochwał.

Mówili potem o mężu, o którym coś dobrego trudno było powiedzieć... Cała rożinowa wszakże tak prowadzona była, iż się żaden z tajemnicą swą nie wydał. Ale, jadąc razem weselej było. i wyminąć się trudno... połączyli się tedy. Trzaska badał Gracyana po co jechał tak daleko, ten go nawzajem macał—zbyli się oba ni tém ni owém. Jechali w trop prawie za kolebką. oba jednak mierząc się tak, aby się jęj widzieć nie dawali oba też noclegów i popasów szukali zawsze takich, aby się z panią Piętkową nie stykać.

Dziwna rzecz, że zdradzając się oba co chwila, wcale się nie posądzali o to, co ich za piękną panią prowadziło... Ani im to oczu nie otworzyło, że się zastosowywali do sposobu podróżowania kolebki, którą dobrzeby wyprzedzić byli mogli. Tak posuwając

się przez Szlązk, dojechali do granic Saksonii, i krajem dosyć z razu smutnym, potem coraz gęściej zaludnionym i żyźniejszym, dojechali do upragnionej stolicy... Gdy się im Elba i jej zielone ukazały brzegi, oba westchnęli myśląc co też tam ich czekało. Borodziechowi nie szło o nic więcej, oprócz by się mógł przydać na co, ręką, workiem lub głową. Trzaska sam dobrze nie wiedział, po co się jechać uparł, gdy mu się pokazywać zakazano. Włókł się jednak markotny... Przecież w ulicy, w kościele... gdziekolwiek bądź spojrzeć mu nikt bronić nie mógł, pokłonić się, a choć z daleka dowiedzieć co się działo z mężem jejmości. Stolnikiewicz bez zgryzoty sumienia życzył mu skręcenia karku, aby natychmiast o piękną wdówkę pójść w konkury. Dalipan niczego innego nie wart, kiedy takiego klejnotu szacować nie mógł.

Dwór wojewody i kolebka pani Piętkowej tak wyprzedziły naszych obu kawalerów, iż wjechawszy w miasto, śladu już ich tu nie znaleźli i dopytać nie mogli. Trzaska szukał sobie wymyślniejszej gospody, Borodziech skromnej a taniiej; rozdzielili się więc *ad videndum*, jeśli się szczęśliwie spotkać uda. Miasto naówczas całe nie było rozległe, ściszały je stojące jeszcze do koła mury dawne obronne, po za którymi ciągnęły się przedmieścia i ogrody. Całe życie i ruch skupiały się niemal około królewskiego zamku i powiązanych z nim budowli. Tu mieszcili się faworyci, dygnitarze, panie dworu, urzędnicy i liczna służba

dworska lub to co jój służyło. Właściwie miasto o tyle żyło, oddychało i poruszało się, o ile żył i ruch mu nadawał dwór, będący wszelkiego żywota ogniskiem. Gdy ten wyjeżdżał, spała stolica i chodziła nie ubrana. Za to każda wesołość pańska, bal, uroczystość, zjazd, wstrząsały całym miastem i dawały się czuć aż na jego kończynach. Ogromne dworu wydatki odżywiały nieco kraj niezmiernie obciążony brzemionami opłat i pożyczek, z których jednak znaczniejsza część szła za granicę za przedmioty zbytku, za wykwintne fraszki, za grzechy polityki i fantazyje dyplomatyczne bez skutków.

Ubożało miasto i cała Saksonia wycieńczona bolała na pomnażającą się nędzę, lecz za to mało gdzie w Europie na najświetniejszych dworach panował taki zbytek, tak niesłychany przepych jak tutaj, a co było w łaskach, bogaciło się skandalicznie, rosło w oczach, i rywalizowało wykwintnością z królem samym. Wytworny smak był pieczęcią wyższości duchowej owego czasu; każdy dostojniejszy dworak potrzebował mieć galeryę obrazów, zbiór antyków, złoczone meble, gobeliny, chińską porcelanę, a jeśli się na tém nie znał, udawał upodobanie, amatorstwo, znajomość. Niepolicone summy szły na to, na stroje, na ucztę lukullusowskie i dary pięknym oczom, których cześć należała do oznak dystynkeyi.

Vitzthum nie mógł w tém ustąpić „królowi, a później Brühl mierzył się we wszystkióm z Augustem III. Obyczaje dworu przechodziły do klass niższych, i po-



dróżający Baron Pollnitz zapisał tę uwagę w pamiętnikach swoich, iż saskie mieszczańki a nawet służące siliły się, by zewnątrznie przynajmniej na wielkie panie wyglądać.

Trwonienie grosza nie zapracowanego, pochwyconego łatwo, ronionego bez żalu, odbywało się z lekkomyślnością niezrównaną. Życie też w stolicy dla tych, co się w jakikolwiek sposób z dworem stykali było niezmiernie kosztownem i wielka ruina fortun szlacheckich i pańskich, która się w téj epoce rozpoczęła, tém się właściwie tłómaczyć powinna. Wszystko się musiało robić pieniędzmi lub podarkami albo ugoszczeniem monarchicznóm i zbyt kowném, w którym popłacało szczególnie co z daleka z trudnością i drogo zdobywać się musiało. Z Polski do Saksonii udawali się w większej części tylko ci, którzy mieli o czém sprawy swoje popierać, występować tu i żyć tak długo jak wymagały sprawy ciągnące się bez końca. Jednakże niejeden inniej zamożny szlachciec dążył tu za swym możniejszym protektorem; przez którego coś się spodziewał wyrobić sobie i otrzymać: drudzy jechali do rodziny, które przy dworze miały obowiązki i w Dreźnie zamieszkiwały. Wszelkiego więc czasu był tu napływ przybyłych, i nie zbywało na gospodach dla nich.

W ulicy przy zamku, w starym rynku, przy nowym, na Wilsdrufferstrasse, w okolicy Kurlandzkiego domu były zajazdy obszerne, do ówczesnych potrzeb zastosowane, bo każdy prowadził z sobą tabór wo-

zów, koni i służby. A im ten większy był, tém dostojniejszą oznamywał osobę. Ale ubodzy mieścili się na przedmieściach, w domach, które nawykły czasowo otwierać się dla podróżnych i dla zysku chętnie się im nastęrczały.

Stryj Eligi, zasiedziały i zaśniedziały wieśniak, z trudnością dawał sobie rady w obcém a większém mieście; nieumiejętność języka przerażała go, poglądał zawczasu po strojach, aby pierwszego lepszego ziomka wziąć za przewodnika, gdy w Georgenthor około zamku zobaczył stojącego jakby na czatach Rzesińskiego, marszałkującego przy wojewodzie. Znali się już z drogi... Rzesiński był wesoły i bardzo obrotny chłop, z wąsami do góry, jakby mu do oczu strzelać chciały. Zobaczywszy kolebkę, przypadł do niej z ukłonem.

— Przewidywałem, że państwu nie łatwo będzie o gospodę dopytać, stanąłem więc na przesmyku, zawołał, proszę za mną... izby—są zamówione... stajnie porządne, a ludzie usłużni i służba język nasz zna...

Tak szczęśliwie trafili nieopodał od zamku do polskiej gospody, na podziw porządną i czystą, w której jejmość po znużeniu podróżném spocząć mogła wygodnie.

Znać też tu było z rozporządzania się Rzesińskiego, że i wojewoda do téj samój zajechał. Elżusi dano izby duże z oknami w ulicę, co też niemałą było przyjemnością, bo i miasto i mieszkańców jego zawczasu choć z po za szyb poznać mogła... A że tedy

była jedyna do zamku droga, co do niego ciągnęło, wszystko się jęj pokazywać musiało. Gdy przybyli, dzień się już miał ku zachodowi, a była w zamku biesiada jakaś dla dostojnych gości ode dworu rakuzkiego przybyłych, więc paradyżnych koni, strojów, lektyk... jezdnych, napatrzeć się mogli dostatkien.

Elżusia nie z ciekawością, ale prawie ze smutkiem jakimś, wsparta na łokciu przyglądała się myśląc, ile to w tój cizbie grosza i ludzi z dala tu ciągnących, marnie przepadało. Przyszły jęj też próżne a tęskne uwagi nad sobą — po co tu przybyła, i jak sobie w tym zamięcie rady dać mogła?... Ruszywszy z domu z wielką popędliwością i gniewem za tym panem mężem, zważała teraz, iż w położenie trudne wpadła dobrowolnie — a nie wiedzieć co było czynić, gdzie go szukać, i znalazłszy co mu rzec?

Z dala przedstawiało się to nader łatwém i naturalném, po ostygnięciu — na łyż się bezsilne zbierało. Co robić?

Wielceby pożądaną była dobra rada, lecz od najpocziwszego stryja Eligiego, który po drodze jeszcze od grzybów na popasie zachorzał i całkowicie do siebie minno wódki z pieprzem przyjsé nie mógł — spodziewać się jęj było trudno. Chodził postękując z głową zwieszoną, budzić się zdawał, gdy kto doń przemówił... ruszał ramionami i płacziwym głosem odpowiadał trzy po trzy...

Żadnego więc stałego planu usnuć nie umiała Elżusia, rozmyślając i nad tém, że ostrzeżony przez Dziembę pan Zygmunt kryć się będzie lub uciekać. Cała podróż teraz wydawała się jój próżną i bezskuteczną. Na te łzami przeplatane rozmyślenia, zastukawszy wprzód, wszedł od pana wojewody Rzesiński, oznajmując pani Piętkowój, iż w zamkowém teatrum miało być tego dnia przedstawienie, że na nie tylko dostojniejsze osoby przypuszczano, lecz że p-wojewoda do łoży osobnej zaproszenie dla jejmości uzyskał i takowe jój ofiarować się ośmiela.

Wahała się z razu czy je przyjąć Zygmuntowa, lecz po krótkim namyśle, podziękowawszy Rzesińskiemu i wojewodzie, wyciągnęła rączkę po nie... i dygnęła.

Przyszło jój na myśl, iż właśnie w ten jeden sposób najłatwiej mogła o Zygmuncie się dowiedzieć, spotkać się z nim lub, za radą starosty daną w Warszawie, zazdrość jego obudzić. Teatr zaczynał się dośyć wczesnie, jak podówczas wszystkie; trzeba więc było prędko się ubierać, a na widowisko, na którém dwór być miał, jako tako się przyodziać nie wypadało, choć znowu zbyt uderzającego stroju Elżusia włożyć nie chciała.

O trzy kroki ztamtąd byli fryzyerowie królewscy, z których jeden przywołany z żelazkami przybiegł z ukłonami do ziemi, a gdy Elżusię twarz w twarz zobaczył, o mało nie padł, tak mu się piękną wydała. Śmieszny był ze swemi krygami i językiem, do któ-

rego, żeby się dać zrozumieć, po trosze francuzczyzny pokaleczonój i polskich wyrazów mieszał... Fryzura z takich włosów, jakie Pan Bóg dał pani Zygmuntowój, łatwa była i przepyszną być musiała, bo jój włosami pożyczanemi sztukować nie miała potrzeby. Gdy się potém w zwierciadle przyjrzała piękna pani, sama się poznać nie mogła, tak ją ten artysta wystrychnął. Mimo obyczaju ówczesnego nie potrzebowała też ani bielidla ani różu, bo miała świeżą płeć wiejską wybieloną zdrowiem, a okraszona krwią młodą... Strój nie był trudnym, umyśliła bowiem wziąć prostą suknię czarną jedwabną z węzłami karmazynowemi, kanak po babce odziedziczony na szyję, a koronkową zasłonę narzucić na głowę i szyję. W tym stroju niewykwintnym tak jój było pięknie, iż służąca najprzód, potém stryj Eligi, który wszedł w kontuszu niedzielnym, stali zdumieni i wyadmirować się jój nie mogli... Elżusi prawie wstyd było, iż mimo smutku i kłopotu tak dobrze wyglądała. Spojrzawszy na nią, od pierwszego rzutu oka poznać było łatwo kobietę silnój woli i do panowania stworzoną, taki wyraz miały oczy jój błyszczące śmiało i usta królewskie. Gdy szła... ustąpić musiał każdy kroku, i wzrokiem też nikt jój nie dotrzymał.

O godzinie oznajmionój posłano po drążników i lektykę pod zamek, dla jójmości i stryja mającego jój towarzyszyć... P. Eligi siadając raz pierwszy w życiu do tego nowego rodzaju kolebki, przeżegnał

się, taką w nim, jak powiadał, obudzała apprehensję... Jejmość skoczyła lekko do swojej, drażnicy mierzonym krokiem ruszyli. Teatr królewski nieścił się w zabudowaniach zamkowych. W chwili, gdy się przed wschodami zatrzymali, mnóstwo lektyk i powozów zajeżdżało, po wschodach dążyło osób postrojonych wiele, tak, że ledwieby się przecisnąć byli mogli, gdyby nie promienista twarz Elżusi, przed którą ustępowali wszysej, a że tu nową i nieznaną była, pytali się jedni drugich, ktoby to mógł być, domyślając się w téj tajemniczój piękności nowój jakiej Dieskau lub Osterhausen. W ten sposób utorowaną sobie znajdując drogę, dopytali się do wyznaczanego miejsca, o które się snadź wojewoda postarał, a przypadło tak szczęśliwie lub niefortunnie, iż wprostłoży J. K. Mości usiąść musieli.

P. Eligi, który jako żyw na podobnych uroczystościach nie bywał, skrył się jak mógł daleko w kątek, aby się z niedzielnym kontusikiem, chudo wyglądającym, nie popisywać. Elżusia usiadła na przodzie, odrzuciwszy nieco koronkowój zasłony, a gdy piękna jój twarz i figura ukazały się w całym blasku, szmer podziwienia i uwielbień rozszedł się po sali.

Teatr wspaniale był woskowemi świecami i lampami oświecony, a strojami panie przytomne gasiły wieśniaczkę, bo od brylantów i rubinów się iskrzyły; mimo to, pięknoscią marmurowój twarzy nikt się z nią mierzyć nie mógł. Tém bardziej ona była

uderzającą, iż inne kobiety wszystkie miały grube warstwy bielidła i różu na twarzach, ona jedna odważyła się taką być, jaką ją Pan Bóg stworzył. Było to niepospolitém zuchwalstwem, które za umyślne wyzwanie wzięto... Ciekawi wychylali się z siedzeń, aby nieznajomą zobaczyć... młodzież cisnęła się bliżej łoży jój, łamiąc głowę, ktoby to mógł być. Obok łoży téj pan wojewoda sobie siedzenie zamówił i zajął, a że pozdrowił Elżusię, rzucono się doń tłumnie z pytaniami. Wojewoda wykręcił się zręcznie z tego, odpowiadając, że panią tę jadącą w drodze spotkał i zna ją tylko z widzenia...

Króla dotąd nie było, a widowisko też z opery i baletu składające się dotąd nie rozpoczynało. Tymczasem istnym spektaklem dla zgromadzenia była zagadkowa owa pani, której nikt nie znał, a minuo to miała miejsce w teatrze i pańską weale postawę. Domyślały byliby może daleko wyżej sięgały niż przystało, gdyby nie schowana w kątek postać pana Eligiego, który płoszył swą skromną figurką zuchwałe przypuszczenia...

Nagle, wśród tego szmeru i ruchu, nastąpiła cisza uroczysta, wszyscy na miejsca swe pośpieszyli i powstawali..., usłyszano otwierające się drzwi, muzyka się odezwała. August II wszedł na salę.

W téjże chwili prawie zasłona się podniosła i sztuka rozpoczęła.

August II nie był już naówczas ani owym Herkulesem lat swych młodych, ani sławionym z piękno-

ści Apollinem, słońcem; z postawy i rysów dawnych pozostały mu szczątki i ślady... twarz była nalana, ciało rozrosłe nad miarę... cerę fałszywy podnosił rumieniec. Na czole krosta nie jedna wyryła fałd wieknisty, zmarszczki snuły się po gładkiem obliczu, powieki zdawały ospale spadać na oczy znużone... Wielki jednak majestat świecił z czoła pracowicie wypogodzonego, a usta uśmiechały się wdzięcznie i zalotnie. Strój świeży, bogaty, jaskrawy, resztki dawniej piękności podnosił... Zaledwie wszedł i usiadł mając po za sobą Vitzthuma, młodego Brühla, Sułkowskiego i Rutowskiego — oczyma począł wodzić po sali... lecz znajdując same znajome fizyonomie na żadnej z nich się nie zatrzymał... Dopiero widok Elżusi, siedzącej naprzeciw, nagle jakby obudził króla; poruszył się, oczy wlepił w bladą nieco twarzyczkę Piętkowej i Sułkowskiemu coś szepnął... Sułkowski wysunął się niespostrzeżony. August II nienawykły do ukrywania swych wrażeń, z dziwnym uporem przyglądał się Elżusi, która zaledwie spojrzała raz na majestatycznego króla i wzrok zwróciła na teatr... Łatwo zgadnąć, iż Sułkowskiemu polecono było dowiedzieć się o piękną nieznajomą, a ten wprost o to udał się do wojewody.

— Wiesz książę co? szepnął zagadnięty: czyby nie lepiej było, ażebyś ja sam poszedł historję tę N. pannę opowiedzieć?

— Opowiecie ją przy zdarzonej okoliczności—jeśli jest historia jaka; tymczasem proszę o imię i nazwi-



sko... rzekł Sułkowski. N. pan chce je zaraz wiedzieć.

Z tём odszedł posłany i z króciuchną a niedostateczną informacją przez wojewodę udzieloną. Nieuszło baczności widzów poselstwo z łoży królewskiej, z którego wywnioskowano, iż nieznana osoba i dla króla JM. nieznajomą była. Zdziwienie to obudziło tём większe, a domysły iż nieprzyjaciele pani Denhofowój, lub pragnący odwieść Augusta od jego fantazyek, zbyt się teraz powtarzających—nasadzili umyślnie nową tę piękność dla jakichś swoich замыслов i osnutėj intrygi.

Król w istocie mimo że teatr był pełen piękności jego dworu, wśród których jeszcze panna Osterhausen jaśniała, zdawał się całą uwagę zwracać tylko na Elżusię... Po kilkakroć poglądał ku teatrowi, i z niesmakiem od tancerek i śpiewczek ku łoży pani Zygmuntowój zmierzał oczyma...

W balecie księżniczki Aulidy, występowała słynna Duparc... niegdyś chwilowo zaszczycona wejrzeniem pańskim, którego się teraz domagać zdawała sadząc się na ruchy wdzięczne i czułe; te jednak wcale nie ściągnęły uwagi pana... Pani Piętkowa wpatrywała się z gniewem i bijacém sercem w tancerki, usiłując między niemi ogdać tę, która jój męża płochego odebrała... gdy niespodziewana okoliczność dała jój poznać Duparkę... Po wyjeździe Zygmunta między klejnocikami jejmości zabrakło osobliwego cale łańcucha z granatów, misternėj roboty, od wie-

ków będącego w rodzinie, a któremu równego trudno było znaleźć nie dla kosztowności kamieni, lecz wielce kunsztownego wyrobu. Posądzono różnych o kradzież tego precyozu, ale nikt Zygmunta o to nie pomówił—Duparca ten łańcuch z granatów, spajany złotymi węzłami, miała właśnie na szyi.

Elżunia wzdrygnęła się na to świętokradzkie użycie klejnotu babek i prababek, odkradzonego ze skarbcza domowego dla francuskiej skoczki — twarz jej oblała się krwią, oko zapłonęło ogniem strasznego gniewu... powstrzymała się jednak od okazania oburzenia, z nieimałym trudem.

Miała tedy przed sobą tę sławną piękność, dla której żony, wstydu, pocziwów sławy i spokoju domowego wyrzekł się Zygmunt, i szukała w niej tego uroku, którym mogła serce odebrać... Francuzica wprawdzie z bezwstydem wielkim i łamańcami dziwnymi wyprawiała skoki, zręczna była, zwinna, zapalczywa, śmiała, — lecz kobiece wejrzenie dopatrzyło w niej łatwo wieku, znużenia, wysiłku i dawno straconej młodości. Z pogardą patrzyła na mizdrzącą się do łoży królewskiej, do pięknych panów, do kilkuset z kolei widzów załotnicę, ukradkiem obdziałającą uśmiechami swych niezliczonych wielbicieli... Stryj Eligi, który o niczym nie wiedział, ale także ów sławny łańcuch granatów na szyi baletnicy zobaczył, ze złożonymi rękami na przebłaganie zagniewanych niebios, odmówił po cichu — Zdrowaś Marya.

Właśnie domawiał modlitewki, gdy wojewoda wychyliwszy się ze swéj łoży, począł mu dawać znaki, aby się ku niemu przybliżył. P. Eligi przyszedł posłuszny.

— Patrzaj asindziej—szepnął mu wojewoda—jak to oczy wszystkich zwrócone na pańską synowicę; król nawet od początku widowiska nieustannie patrzy na nią. Powinszować więc sukursu.

— A do czego on się nam zdał, panie wojewodo? spytał naiwnie stryj—a co nam po tém? nas i łaska królewska z tego błota, w któreśmy przez owego trutnia wleźli, nie wyratuje! To strawny człek! A co ona pocznie? Już jój nie po nim...

Wojewoda ręką kiwnął, przyłożył ją do ust i szepnął w ucho Eligiemu:

— Jejmość się pokonsuluje, a dalipan, że sobie innego i lepszego męża znajdzie, to pewna. Z jój twarzą... o to nie będzie trudno... Król przysyłał do mnie Sułkowskiego aż pytać o jejmość dobrodziejkę.

— A co nam po królu i jego ciekawości! szepnął Eligi...

Grzmot oklasków, na znak dany przez Augusta II, wynagrodził pannie Duparc ukończone straszném *salto mortale* łamańce... Tancerka kłaniała się do ziemi ręce na piersiach złożywwszy, a nóżki trzymając pod kątem prostym jedna do drugiej.

Klaskano tak, aż Elżusia, by nie patrzeć na ohydą istotę, zakryła się wablarzem... Tańce się przecież skończyły...

Nikt nie widział sceny, która w czasie tego popisu odegrała się dodatkowo za kulisami. Stał za nimi od początku opery pan Zygmunt, który towarzyszył swój Duparc do teatru i wkraść się umiał do niego. Wybrał był sobie miejsce z téj samej strony właśnie, z której siedziała jego żona, widzieć więc jój nie mógł. Dopiero pod koniec prześliznąwszy się za tylną kurtyną i przyniósłszy za kulisy drugie, aby mógł stanąć oko w oko z panną Duparc, obracającą się ciągle ku królowi, rzuciwszy wypadkiem okiem po sali—z przerażeniem ujrzał Elżusię siedzącą w łoży i pana Eligiego wtulonego do kąta. Pierwsze wrażenie jego... pierwsza myśl była—uciekać... Sam się z niój rozśmiał, ale twarz Elżusi zaczarowała go, wrósł w miejsce w którym stał, patrzył i ruszyć się nie mógł. Nie było sposobu omylić się, to była ona — dwóch takich na świecie nie znaleźć... Ona, ale jak zmieniona! jak straszna i groźna!! Miłości resztki i gniew płomieniem uderzył w twarz męża... Zaczął się rozpatrywać po sali... wszystkich oczy zwrócone były na nią. Do gniewu dołączyła się już zazdrość.

— Widzicie, szepnął mu Francuz Laflûte pokazując Elżusię—ma to być, jak powiadają, nowa królewska kochanka. Sam na moje oczy widziałem, jak do niój posyłał król JM. Sułkowskiego z jakimś szeptem. Patrzcie, patrz... ależ szatańsko piękna i wygląda na prawdę z tą dumną białą twarzą na królewską kochankę!! Nie raczyła się nawet ustroić,

przyszła w powszedniej sukni, bez rózu i bielidła, tak pewną jest siebie. Nie wiecie kto ona taka? mówią, że Polka?

Zygmus odwrócił się od francuza, którego miał ochotę kropnąć i nie odpowiedział nic... Zagryzł usta, zły był wściekle... — Na jego żonę mówiono, pokazywano palcami jak na kochankę króla! Myśl ta piekła go ogniem szatańskim.

Ale miałże prawo się upomnieć u niej o miłość? nie—chyba o imię które nosiła? a imię to on sam zwał i zbrukał. Miał prawo poniewierać się ze śmieciem... wolno też jój było szukać pociechy na taburecie przy tronie. Zygmus patrzył, patrzył, wrzał i byłby może skamieniały do końca przedstawienia tak pozostał, gdyby go Duparc nie klapnęła po ramieniu. Odwrócił się, spojrzał na wytynkowaną i wykrzywioną tancerznicę, której z gorąca bielidło osuwało się kawałami, a z blizka twarz na maskę wyglądała—i wzdrygnął się. — Oko jego padło na łańcuch z granatów, który właśnie dziś włożyła... i domyślił się że Elzusia tę zgubę poznać na niej musiała... Zdrajcą więc był i złodziejem w dodatku...

Duparc klepała go po ramieniu, stał niemy, zły, drżący, nie śmiejąc już spojrzeć na nią. Francuzica wzięła to za wybuch zazdrości z powodu słodkich oczu, które robiła do króla.

— Czegóż tak stoisz osowiały! Zły jesteś? rozumiem! rzekła śmiejąc się — lecz to darmo, król to król... jemu się wszystkie hołdy należą... a jeśliś

o niego zazdrosny dodała—toś.. śmieszny! Minęły te czasy, gdy mi się on w Brukselli uśmiechał tak mile, a potem przyjmował tak wspaniale tu w Dreźnie... Teraz już o liche powiększenie mojej pensji doprosić się nie mogę... Ach mniejsza o to! Miałam też piękną w życiu godzinę...

Zygmus nie słuchał, zatopiony był w myślach, z pod oka spozrzał czasem na Elżusię... Ha!.. powtarzał—kochanka króla! to ślicznie! to ślicznie! Tego jeszcze u Piętków nie bywało!...

Duparc pociągnęła go silnie, poszedł za nią z głową spuszczoną, zamyślony.

Po teatrze zamówiona była wieczerza w owym mieszkaniu Francuzki, do którego Dziembę wciągnięto... mieli tam właśnie iść razem. Zygmunt zwykle ochoczy i wesół, powlókł się struty i gniewny. Francuzka cieszyła się jego zazdrością jako dowodem pasyi dla siebie. On co innego już miał w głowie. Na progu zamku czekał nań Dziemba, który do teatru wpuszczony być nie mógł. Wieczór już był późny i ciemny... Ulica malowniczy przedstawiała widok, gdy każdy prawie powóz miał ludzi z pochodniami, co go poprzedzali. Miasto nie było oświecane nocą, wszyscy więc goście światło na drogę mieć musieli... Stali ci ludzie z pogaszonemi na pół, z pozapalanemi gdzieniegdzie już żagwiami, a pomorańczowe ich światło jaskrawo oślacało twarze służby, konie, powozy i drążników... Gdzieniegdzie ściana

muru jasna występowała, a po niej migały zolbrzymiałe cienie kręcących się dworzan i czeladzi pańskich.

Wśród nich Dziemba otulony płaszczem czekał na Zygmunta, który go pochwycił za ramię.

— No, zawołał — ona już tu jest!

— Widziałem jak ją nieśli do teatru! rzekł Dziemba... i chciałem panu tę przyjemną nowinę zwiastować!

— Jejmość znać czasu dobrze użyć umiała — szydersko ozwał się Zygmunt — ho! ho! nie tak prostoduszna jak się zdaje! Zna już króla JM. i zna ją król JM. Wytykano ją palcami w teatrze, zowiąc kochanką N. pana! Słyszysz! A zkądby inaczej miała leżeć od dworu w teatrze!...

Zygmunt zgrzytnął zębami.

— Ale jeśli tak jest! no! to ja jej pokażę, jak pocziwe imię szargać po sypialniach pańskich...

Podniósł pięść do góry: — Zobaczymy! zawołał. — Co innego mężczyźnie, co innego kobiecie. Wolno mnie. . nie godzi się jejmości... Zobaczymy! Dowiesz mi się do jutra pod gardłem, gdzie stanęli — rozumiesz!!

Dziemba ledwie przez pół istotnie tę paplaninę zrozumiał; chwycił tylko rozkaz wywiedzenia się o mieszkaniu. To spełnić było jak najłatwiej, gdyż wkrótce ruszyć miały lektyki, a idąc za tą, która przyniosła panią Zygmuntową... do gospody wprost mógł trafić. Stał więc przy drążnikach, a Zygmunt

ze złością pognał do francuzicy, którą w téj chwili już nienawidził... Szał go jakiś opanował, chciał pić, bić, mordować... waryować, tłuc cały świat na miazgę... w głowie wirował gniew z zazdrością i pragnieniem zemsty!

Gdy się teatr skończył... a Eligi podał rękę jejmości do wyjścia, w progu łoży spotkali wojewodę, który ją bardzo uniżenie pozdrowił.

— Cieszę się, że panią widzę szczęśliwie do portu przybyłą—odezwał się wojewoda—a mam nadzieję, że tu też wedle myśli wszystko pójdzie... Czego z serca życzę! Pozwolisz mi asindzka, bym jej jako sąsiad złożył uszanowanie...

Elżusia dygnęła—nie można było tego pozwolenia odmówić...

Wszystko się ruszało z teatru, jedni ciągnęli na górę, na pokoje, gdzie wieszera być miała w małym gronie wybranych—drudzy wracali na miasto—ale całe niemal towarzystwo chciwie przypatrzenia się zbliżka pięknej nieznajomiej... stało n wyjścia. Musiała więc, zakweliwszy się w przodzie przejść Elżunia przez szeregi ciekawych ustawione rzędami aż do bramy, usiłując jak najbliżej się przecisnąć, ażeby pochwycić choćby błysk jej czarnego oka. Odetchnęła lżej gdy się znalazła w lektyce, a w chwili późniejszej w mieszkaniu swoim.

Pierwszy to raz w życiu wieśniaczka przeniesiona została nagle do stolicy i w najświetniejsze jej towarzystwo... Taki był jednak charakter Elżusi, że to



na niej wielkiego nie uczyniło wrażenia — patrzała na świetność z okiem prawie obojętném. Król dla niej był ciekawością... porównywała go do widzianego na talarach i znalazła do talara dosyć podobnym... Blask, muzyka, stroje... cały ten przepych nie zdziwił jęj — domyślała się go takim właśnie, jakim znalazła... a znajdowała nieponętnym. Najboleśniej a najsilniejsze wrażenie uczynił na niej ów łańcuch z granatów na szyi francuzkięj tancerki... i postać wyszarzanęj tęg istoty, której została poświęconą. Pytała się sama siebie, co mogło pociągać Zygmunta więcej do tęg staręj balleriny, niż do niej... która go kochała tak poezciwie, tak gorąco?..

Kochała — gdyż czuła, że zwanego człowieka jużby teraz umiłowac nie potrafiła. Chciała prawie uwierzyć w jakiś szal i truciznę zadaną, bo naturalną passyą taka być nie mogła. Plakała gorzkiemi łzami i śmiała się śmiechem serdecznym, tak że ją wodą trzeźwić i rękę jęj lewą przewiązać musiała służąca... Stryj stał z załamanemi dłońmi i wołał coraz:

— Paniel zmiłuj się nad nami! A! to skaranie boże!

Już miano posyłać po lekarza, gdy Elżusia nagle jakby siłą woli otrząsnęła się z gniewu i żalu, wstała, obmyła wodą twarz i poczęła chodzić po pokoju zamysłona...

Zygmus pojechał na wieczerzę do Francuzicy, gdzie liczne zgromadziło się towarzystwo, było i tanecznie kilka, i kilku młodzieży senatorskiej, która tu z niemi szczęśliwą zrobić uniała znajomość i kilku Francuzów wędrownych, i parę małych dyplomatów... Wieczera jak zawsze składkowa być miała, a Duparc do niej dostarczała za swą część mieszkania i sprzęty.

Zygmus, który bardzo w podobnych wieczorach smakował, bo na nich też i grubo grywano, tym razem wszedł na próg tak pochmurny, iż gospodyni musiała mu aż czynić wymówkę.

— Masz być taki—rzekła—to idź do licha, do domu, prześpij się, wysap, wyżłóś, a potem powrócisz. Ja twarzy posępnych nie lubię... Idź do dyabła!

Zygmunt nie odpowiedziawszy nic, zawrócił się do jadalnego pokoju, trafił na butelkę wina, nalał szklanicę ogromną, jedną i drugą wychylił, i czekając skutku padł na krzesło. Złość wszakże silniejsza była od wina... napić się nie mógł. Głowę łamał co zrobić z tą kobietą. Duparc bawiła weselszych gości śmiechem i dowcipami. Ogólna rozinowa toczyła się o czarnej nieznajomój, którą już wszyscy przyznawali królowi. Zygmus musiał słuchać krytycznych uwag nad jej pięknoscią, postawą, chodem, domysłów, ucinków, które mu serce darły... Rozповідаło kłamliwie okoliczności, w jakich król miał ją poznać w Warszawie, i jak jej teraz przybyć tu rozka-

zał. Zaprzysięgali niektórzy, iż to była stara, odnowiona tylko znajomość...

Zygmunt wciąż dumał co z nią począć. Passya dla Francuzki chwilowo go opuściła... nie spodziewał się nigdy żeby takie za sobą pociągnąć miała następstwa... Mówił sobie, że przesycony nią do domu powróci, całusem sprawę zagodzi—i pójdzie wszystko po staremu. Z razu nie zdało mu się, żeby Elżusia mogła zbroić coś nawet dla łask królewskich—teraz powoli przychodził do tego, iż wszystko było możliwe. On ją porzucił, mogła ona też powiedzieć sobie, iż jęj się z pod jarzma wyrwać wolno i bujać po świecie... Co tu począć? powtarzał... Z razu na myśl przychodziło, rzucić tu te amory zgniłe, zabrać żonę i powracać do domu; — ale — dyabeł w nim palił jeszcze, odzywała się passyjka, szkoda było łajdakięgo żywota wśród rozpasanej młodzieży, szkoda Duparc,—a na wsi takie nudy!!—Pomyślał potém by zebrać garść ludzi, żonę schwycić i z Dziembą ją do domu wyprawić, a samemu tu zostać.—Gdzież znaleźć pomocników? a w domu, też Okónie, napadliby i odebrali... Zresztą wiedział o tém, że z Elżusią wcale łatwo nie było. I ona się tak gołą garścią wzięćby może nie dała...

A możeby się pójść stanąwszy oko w oko rozmówić! i...?? Ale do czego prowadziła taka rozmowa? do zajadlejszej kłótni jeszcze? Myślał długo i poszedł po radę do butelki powtórnie... Za czwartą szklanką pożądany nastąpił skutek... w głowie zro-

biło się jaśniej, na sercu lżej... przybyło odwagi, odbiegło trochę gniewu... Duparc wydała się ładniejszą znowu... a żona—pal ją dyabli! — rzekł w duchu.—Tylkobym jój chciał dokuczyć... bo tego warta. Cheiało się jéjności szkosztować zakazanego owocu? nie dosyć! przysłała mi go jeść pod nosem, ażebyin na to patrzył! To co się zowie miło!... cha! cha!

Pociągnięto go do wiecerzy... poszedł. Duparc, ulitowawszy się nad nim, dała mu całusa... ale go otarł zaraz... i siadł od niój z daleka. Była pewna, że zazdrośny o króla, i śmiała się z radości. Tymczasem posadziła przy sobie nowego wielbiciela, który już od trzech dni o względy jój się starał. Był to młody Fleming, ledwie wypuszczony w świat... bez brody i wąsów, ale już w mundurze i z kieszenią dotąd nabitą. Miał tylko jedną babkę sztaruszkę, która go niezmiernie kochając, na wszystkie mu dostarczała fantazyc. Duparc, dobrze się wprzód dowiedziawszy o nim, zaczynała przychylném nań patrzeć okiem. Zygmunt zresztą, od niejakiego czasu, był całkowicie wyczerpany... pieniędzy pożyczał, pora go się pozbyć było. Fleming zaręczał, że nad kilkanaście dukatów pożyczonych nie ma nie Polak w kieszeni...

Duparc wierzyła temu bardzo; jedno ją tylko od zupełnego zerwania wstrzymywało, że podobni Zygmuntowi, z dała przybywający panicze, słynęli w Saksonii jako bogacze... a chwilowy niedostatek mógł nie nie znaczyć, bo z dóbr nowe przyływały za-

soby... Zawsze niedostatek ten dawał do myślenia, że funilia nieznosna mogła pod pozorem marnotrawstwa obciąć źródło dochodów...

Nie wiedziała jeszcze co pocnie... bo znown Fleming jako Niemiec nie wiele obiecywał, choć jako młodzieniec bezwąsy... wielkich był nadziei... Wahała się jeszcze... Wszystko przemawiało za tём, żeby Zygmunta albo grzecznie, albo awanturą się pozbyć... trącił już długami i golizną... zaczynał być razem śmiesznym i grubianinem... Pieniądze mu nie przychodziły!! — Gdyby jój zrobił scenę z powodu Flemminga? gotowa była kazać go wyrzucić za drzwi... Tym czasem Zygmunt pił okrutnie, a sceny żadnej czynić jakoś nie myślał...

Wieczera w ogóle mniej była wesoła niż zwykle... Wstali wszyscy od stołu, nie więcej ożywieni niż do niego zasiedli... W drugim pokoju zaczynała się gra... Jak tylko złoto brzęknęło, co żyło potoczyło się ku niemu...

Zaczęto stawiać.

Zygmunt machinalnie szukał po kieszeniach. miał jeszcze kilkadziesiąt dukatów... trzeba było spróbować szczęścia... rzucił na stół połowę, — przegrał... Postał chwilę .. wyciągnął resztę... nie długo czekał, i tę mu wzięto.

— Słuchaj no—rzekła zbliżając się Duparc:—postaw na moje szczęście, to wygrasz..

— Nie mam już pieniędzy...

- Jakto można nie mieć pieniędzy? *mais c'est ridicule!* odezwała się Francuzka... to masz w domu...

— Nie mam i w domu... odparł Zygmunt.

— A kiedyż ci przyjdą?

— Nie wiem czy mi rychło przyjdą...

Duparc spojrzała na niego ze wzgardą.

— Cóż będziesz robił?

— He? spytał Zygmunt: będę pożyczkał...

— A potem?

— Nie będę oddawał.

— A dalej?

— Albo ja wiem! ruszył ramionami Piętka... paldyablił

Duparc zrobiła minę surową: wszystko to mocno się jój nie podobało.

— Jakże waćpan chcesz bywać *w porządnym* domach, nie mając pieniędzy?...

Zygmunt popatrzał na nią: — Czy to się nazywa porządnym domem? spytał szydersko... ha! ha!..

Duparc zmarszczyła brew strasznie...

— *Sapristi!* zawołała—waćpan mi prawisz imper-tynencye?

Zaczął się śmiać Zygmunt, odszedł parę kroków i siadł w krzesło; Francuzica poszła za nim, uważając rzecz za nadto dobrze pocztą, żeby ją porzucić w pół drogi.

— Ja tego nie zniosę—dodała...

— Czego? człowieka bez pieniędzy? spytał Piętka

Popatrzeni na siebie. Zygmunt znajdował ją znowu szkaradną czarownicą, ona go niebezpiecznym hołyszem... Zatrzymała się zamysłona przed nim...

— Prosiłabym pana—rzekła — abyś przestał do mojego domu uczęszczać!

Piętka patrzył długo, długo na nią, mierzył ją od stóp do głowy... nie powiedział ani słowa... ręce trzymając w kieszeniach, poszukał kapelusza, nałożył go na głowę... i krokiem powolnym wyszedł... Patrząca za nim Duparc trochę była niespokojna. Licho go wie! minę ma takiego wielkiego pana... że gotów jutro mieć pieniądze! Szkodaby go było jakiej Niemce oddać do wyssania...

Ale już za uchodzącym słyhać tylko było ciskane drzwi, od których drżały szyby po oknach. Śmiech graczów zagłuszył wszystko... Duparc pobiegła do młodego Flemminga, i garść dukatów wzięwszy z jego kieszeni, rzuciła ze śmiechem... na szczęście—obojga!..

Dukaty na teraz wygrały!

---

Z jakimi myślami nazajutrz wstała piękna Elżbieta—stryj Eligi odgadnąć nie mógł. Po wczorajszym śmiechu i płaczu, twarz miała uspokojoną, wyglądała rumiano i świeżo... nie było śladów wzruszenia i bezsilności.

Widząc to stary, po ucałowaniu ręki, zapytał ciuchuteńko:—Co też dalej czynić mieli...

Z razu Elżunia nie nie odpowiedziała.

— Zobaczymy, rzekła po namyśle—mój pan Zygmunt też pewnie o mnie słyszeć musiał i przez Dziembę, i choćby ze wczorajszego teatru. Wszakże się około téj tancerki kręci... a więc wiedzieć będzie o wczorajszém przedstawieniu... myślę, że i o innie... Zastosujemy się do tego, co on pocznie i czego się o nim dowiedzieć potrafimy... ;

Eligi złożył ręce, głowę na piersi spuścił:—Wola twoja...

A tu już do drzwi się dobijano... Wojewoda prosił ażeby mógł być dopuszczon przed oblicze pięknej pani.

Otworzyły się podwoje... Stryj wyszedł naprzeciw... Wystrojony przepysznie z czapczką pod pachą, od której kita brylantami błyszczała... wsunął się pan wojewoda, prawiąc komplementa od progu...

— Cieszę się, że acani dobrodziejka tak po podróży ślicznie wyglądasz! Los szczęśliwy uczynił mnie tu jój, mogę powiedzieć, opiekunem... nie dziwże się pani, gdy się ośmiele jój spytać, w czembym mógł nsłużyć...

Elżunia wskazała krzesło, spojrzała na Stryja i poczęła:

— Sądzę, że pan wojewoda ledwie się domyślasz powodu mojego przybycia tutaj... Nie przybyłam z dobrej woli, przygnało mnie wielkie strapienie domowe, na które, rzeczywiście jako niedoświadczona, rady znaleźć nie mogę. Mąż mój, zbiegł mi tu



za jakąś płochą kobietą... nawet imienia kobiety może nie warta... W pierwszym przystępie żalu i gniewu pognałam za nim... dziś żałuję, bom raczej powinna była podziękować Panu Bogu, iż mnie od niego uwolnił. Sprawa moja jasna jest... chcę być uwolnioną od tego człowieka, a korzystam z bytności tutaj i z łaskawej interwencji waszłej, prosząc byście mi pomogli w konsystorzu do rozwodu... u króla JM., by też za mną przemówił do biskupa słowo...

— Sprawa czysta, jasna, o pomstę do Boga wołająca! przerwał z uniesieniem wojewoda: a kto panią widzieć miał szczęście, ten winowajcy przebaczyć nie może.... Z najmiłą chęcią przyczynię się do uwolnienia pani z tych więzów... Król JM., który wczoraj jeszcze zwrócił na nią uwagę... pewien jestem... weźmie to do serca...

— Będę panu i królowi JM. bardzo wdzięczna... dodała Elżusia.

— Czy wiesz pani o mężu gdzie jest? spytał wojewoda.

Tu być musi, bo i Francuzka tu jest, a nawet jeśli się nie mylę, występowała wczoraj na teatrze...

Wojewoda rad, że mu się zwierzano, i że powódnicę będzie do częstszego odwiedzania pięknej pani, począł się rozpytywać o szczegóły. Zabawił jeszcze chwilę, ucałował białą rączkę z namaszczeniem wielkiem i wyszedł bardzo uszczęśliwiony...

— Co ja słyszę? zawołał Eligi—po wyjściu jego— a to Elżusia chce iść do rozwodu?

— Cóż mi innego pozostało?...

— *Casus fatalis!* mruknął stryj—*casus fatalis!*..

— Wszyscy przecie będą wiedzieli, dla czegoś rozwodu żądała! Kochać go nie mogę! Szanować mi niepodobna! przebaczyć trudno!... Nie!

— Rozwód! rozwód! powtarzał stryj—a potem co? nazad do Wólki? do jegomości?... ni panna ni mężatka! ni gotowane ni pieczone! Jezu Nazareński, moja dobrodziejko! co asindzka nawarzyłaś?..

— Kochany stryju — odparła spokojnie Elżusia, ani mnie powrót do Wólki, ani nawet klasztor nie straszy—gorzej życie z człowiekiem, który wstydu nie ma i sumienia! Ślubowałam jednemu, drugiemu nie będę—póki ten przy życiu, bom mu do śmierci przysięgała,—ale z nim żyć!! Nigdy! nigdy!

Stryj odmawiał na intencję odwrócenia wszelkiego złego modlitewkę,—popatrział na synowicę i zamilkł... Do drzwi pukano znowu... Elżusia spojrzała... w progu stał wystrojony jak na wesele pan Seweryn Trzaska.

— Nie mogłem tego przemódz na sobie—począł z za drzwi już,—ażeby pani dobrodziejce, będąc raz tutaj, a wiedząc o jej bytności, mojej atencji nie złożył.

Elżusia lekkim skłonieniem głowy go przywitała mileząco... stryj ukłonem niskim... nie odebrał żadnej odpowiedzi.

— Podróż spodziewam się... poszła szczęśliwie?...

— Dosyć—szepnęła Elżusia— a panu?

— Dojcehałem dobrze, a co tu zrobię — nie wiem jeszcze!—Westchnął,—Pani tu bawi?...

— I ja muszę powiedzieć: nie wiem jeszcze...

Trzaska stał w środku pokoju, bo go nawet nie proszono siedzieć. Jéjmość zapomniała może, a stryj nie śmiał...

Na szczęście zapukano raz jeszcze...

Eligi pobiegł otworzyć—za progiem z miną zbolalą i skromną, dziwne odbijającą od olbrzymiej jego postawy... stał zafrasowany widocznie Borodziez.

Ujrzała go Elżusia, ruszyła z lekka ramionami i zarumieniła się...

— A pan tu co robisz?

Borodziez wszedł...

— Najosobliwszy skład okoliczności, bo bydlą na Szlążku kupić nie mogłem... i pomyślałem sobie dostać owiec saskich, ma to być wielka osobliwość—odezwał się obwiniony.—Otóż będąc już tutaj...

Elżusia surowo nań spojrzała.

— Waćpan gotoweś tu owiec nie dostać, pojedziesz gdzie dalej, a w domu będą myśleli, żeś przepadł—rzekła szydersko.

— E! nie ma tam w domu komu się o mnie frasować! dodał Borodziez...

To mówiąc, oba z Trzaską zaczęli koso na siebie spoglądać, tak niespodzianie się tu znalazłszy.

— Co on tu robi? pomyślał Trzaska.

— Po co ten tu włazł? myślał Borodziez.

Skłonili się sobie z daleka i zimno.

— Panowie się znają? spytała Elżusia.

— Znajomość z gospody—rzekł Trzaska, spotka-  
liśmy się na drodze...

— W Szlążku? zapytała Elżusia...

Borodziez poczuł, że tu się jego kłamstwo wydać  
może, zakaszał i poszedł pilno do stryja... Trzaska  
zmierzył go oczyma dziwnemi. Poczuli w sobie współ-  
zawodników.

— Jako sąsiad—odezwał się Borodziez pokornie,  
zagadawszy cicho wprzód do stryja,—jako stary słu-  
ga ich domu przeznaczonego, pozwól pani, bym jój i tu,  
na obczyźnie, usługi moje ofiarował...

— Dziękuję pannę—ale czegoż ja tu mogę potrze-  
bować, mając koehanego stryja? — Elżigia się skłonił.  
Niech pan owce kupuje i do domu powraca... same  
żniwa! a czyż to się gospodarzowi odjeżdżać ich  
godzi?...

Borodziez westchnął:—El tam, te żniwa! toć i wło-  
darz im podoła—a jak mi trochę snopów, choćby  
i kop ukradną... mniejsza z tém, z głodu nie umrę!

Zamilkli.—Trzaska widząc, że na ten raz się nie  
wiedzie, począł żegnać; Borodziezowi też niewypa-  
dało zostać, bo i jemu nie najlepiej poszło... i on tak-  
że się kłaniał. Elżigia obu skłoniła głową, ale zi-  
mno i surowo na nich patrząc, tak, że obadwaj  
chłód w sercu poczuli. Stryj do progno doprowadził...  
Wyszedłszy do sieni spojrzeli sobie w oczy.

— A cożeś to asindziej mi powiadał?... począł Trzaska.

— A dla czegożeś się mi pan nie przyznał? razem prawie zagadnął Borodziez...

Spojrzeni się znowu na siebie.

— At, dałbyś asindziej pokój—rozśmiał się Borodziez, podając rękę Trzasce... my się już rozmnieniy! Nie ma długo rozprawiać... obaśmy potracili głowy.. z tą różnicą, że ja dawniej, a asindziej świeżo... Jako stary pacyent dodam jedno, że nadziei kuracyi nie ma żadnej, a żadnej...

Pomilczeli chwilę.

— Ktoby za nią nie pojechał? i ktoby dla niej nie oszalał? dodał ożywiając się pan Gracyan.—Osoba jest jakiejś drugiej na świecie nie ma... Co pan na to?...

— Ani słowa—ale waćpan mówisz, rzekł Trzaska, iż nadziei żadnej? jakto żadnej? mąż Łotr ostatni! Jużem się tu o jego sprawkach wywiadywał i dowiedział... Spotka go zły los... to pewna— a wówczas!...

— El *prioritas* przy mnie! smutno się zaśmiał Borodziez i głowę zwiesił—tak! a co mi z téj *prioritatis*? nie miałem nigdy szczęścia w życiu! Gdyby się tak trafiło, żeby była wolną? to mi ją pierwszy z brzegu z przed nosa pochwycił! Bóg z nim! byleby ją uczynił szczęśliwą—dodał cicho — jabym na to przynajmniej chciał patrzeć, żeby jój na świecie było dobrze... Waćpan jój nie znasz — mówił ciągle ze wzrastającym zapałem — waćpan widzisz

twarz tę jasną a wspaniałą, i postawę królewską, i oczy błyszczące i usta ukoronowane powagą... ja patrzałem jak rosła, jak rozkwitała, jak ją Bóg opromieniał tą pięknością, która z duszy płynie. To niewiasta!! męztwo a czułość, rozum i serce... wszystko!... At! co to mówić! zakończył nagle ocierając oczy—ja ją kocham równo jak się boję... Straszna jest!...

Poszli tedy we dwóch z Tzaską, rozprawiając. Bystrzejszy daleko pan Seweryn, już o Zygmusiu wszystko wiedział, czego tylko doba dać się było podobna. Dodawało to otuchy jego młodszej miłości, bo czuł —jak powiadał, —że człowiek ten źle skończyć musi... O postanowieniu starania o rozwód nie jeszcze Trzaska wiedzieć nie mógł, bo i z Eligim nie mówił; inaczéj byłby z niego łatwo tajemnicy téj dobył...

W ciągu dnia wojewoda przysyłał drugie zaproszenie na teatr z tém, iż jeśliby sobie życzyła pani Piętkowa, tedy po spektaklu królowi JM. przedstawiona być może. Potrzeba było namysłu pewnego. Stryj Eligi nie pojmował nawet, ażeby podobnego szczęścia ktoś odmawiał z dobréj woli...—Trzeba jechać, mówił—trzeba się stawić—drugi raz w życiu się nie trafi ucałować ręki królewskiej. A potem powróciwszy na wieś, czy siak czy tak... miłoby było opowiedzieć, że się z królem JM. rozmawiało. Nie każdy tego dostąpi zaszczytu.

Elżusia inaczej się to pojmować zdawała, milczała — w ostatku jednak zgodziła się na to, by w teatrze się pokazać i w korytarzach przechodzącemu królowi przez wojewodę być przedstawioną.

Stryj Eligi odpowiedź napisał, zepsowawszy trzy arkusze papieru na raptularze... Dalej musiał w miasto ruszyć, aby do stroju potrzebne rzeczy znaleźć, sprowadzić i sporządzenie ich na czas zapewnić. A że wczoraj już z lektykami nie mała trudność była, więc i owe nosidła zawczasu musiano zamawiać, wszystko zaś przepłacać!

Stryj Eligi, który w podróż wybierając się nigdy nie spodziewał się takiego szczęścia dostąpić — a i w domu garderobę miał nader skromną, frasował się o swój świąteczny kontusz, który tu i za powszedni nie mógł uchodzić. Potrzeba było worka rozwiązać i dla niego, bo kurdybanowe buty były przenoszone mocno... i żupan (z fałszem) nie pierwszej świeżości... Na to wszystko radzić miał krawiec pół-Niemiec, pół-Warszawianin, który tu się był osiedlił, w celu, by nieszczęśliwym wędrowcom w pomoc przychodzić... Przed godziną teatralną, było wprawdzie gotowe wszystko, i czego pani potrzebowała i co stryjowi było niezbędne — lecz też dostarczyciele Niemcy sowicie to sobie opłacić kazali.

---

Odwiedziny wojewody, potem Trzaski i Borodzi-  
cza, oprócz innych skutków miały i ten, że zamie-

rzającego już napaść na żonę Zygmunta powstrzymały.

Dziemba, który się obawiał złych skutków, doniósł mu, że tam ludu mnóstwo było na straży i pilność wielka, że snadź spodziewano się czy lękano czegoś, bo czujnie koło domu stróżowano...

— Na złodzieju czapka gore! syknął Zygmus— a no—ja swego dokażę. Przecież z jejmością widzieć się i pogadać musimy, choćby gardłem nałożyć przyszło. Mamy z sobą obrachunek!...

Postawiony na zwiadach w kamienicy na przeciwko, doniósł potem Dziemba, iż lektyki do zamku zamówiono, i że pani będzie znowu w teatrze...

Zygmuntowi brakło tylko pieniędzy do wykonania doskonałego planu... chciał przekupić drażników, aby z zamku wynosząc lektykę, zamiast do gospody, żonę zanieśli do innego domu, któryby on im wskazał... Tam, chciał się — jak powiadał — rozmówić z jejmością... A mówiąc to, śmiał się piekielnie... Takie rzeczy nie dzieją się wszakże bez grosza... a właśnie go brakło. Poszedł Zygmus po żydach i lichwiarzach już mu znajomych, i z pomocą jednego kupca, którego nieco znał dawniej, dostał przecię kilkadziesiąt oberzniętych dukatów na cyrograf straszliwy.

Ze złotem obaj polecili do drażników, bo wiedzieć nie było można, któremu panią nieść przypadnie. Opierali się oni, wymawiając odpowiedzialnością swoją, ale w końcu złoto zachwiało ich i złamało.



Zygmunt im ręczył, że pani którą nieść mieli, żaden się nie dzał gwałt, bo ona o tém wiedziała. Stryja mieli samego w pustej jakiejś dzielnicy miasta wyrzucić i uciec...

Wszystko to zostało osnute tak szybko i zręcznie, że gdy godzina teatru się zbliżyła, Zygmus już na mieszkaniu najętém, na pirneńskim przedmieściu... drzwi i zamki opatrywał.

Teatr znowu był pełen i pani Zygmuntowa nie mniejszą niż po raz pierwszy obudziła ciekawość. Skoczki popisywali się także, lecz panny Duparc tego dnia na scenie nie widziano; powiadano, że zachorowała.

W chwili wyjścia, wojewoda przyszedł do Elżuni, podał jęj rękę i zaprowadził na galeryę, którą król J. Moś miał na pokoje powracać... Pani Piętkowa nie doznała wcale tego wzruszenia, jakieby podobne szczęście w każdój innój wzbudziło; szła bardzo śmiało; a gdy w dali ukazał się August II otoczony świetnym dworem, strojny i jaśniejący klejnotami, w które ubierać się lubił, patrzała nań niezachwianém okiem... więcej ciekawa i zdumiona niż wylękała. Wojewodę August postrzegł z daleka i głową mu skinął... Tego dnia cierpiący był na nogi, które już wówczas zaczynały nabrzmiewać, z czego później ostatnia choroba się wyrodziła; opierał się na lasce, i twarz zdradzała ból ukrywany, uśmiechał się jednak, mimo lat grać chcąc zawsze rolę zalotnika i siłacza. Piękna twarzyczka Elżusi zwróciła jego

oko zdające się w niej lubować; wzdychał patrząc na nią, jakby żałował lat upłynionych... Gdy August II podszedł... a pan wojewoda nisko się kłaniając przedstawił swą klientkę, król zapytał, trochę złamanym językiem, czémby mógł jój służyć?

Elżunia zarumieniła się, podniosła oczy, które były łzami zaszły, i poczęła mówić, ośmielając się za każdym słowem.

— N. Panie! przybyłam prosić W. K. Mości o protekcję i sprawiedliwość — zostałam przez mego męża zdradzoną dla nikiemnej zalotnicy... potrzebuję zerwać ten węzeł, który mnie łączy z człowiekiem splamionym i bez serca.

— Jakto bez serca? przerwał król żartobliwie, miał go widać aż nadto, kiedy niém tyle osób obdzielał?

— N. Panie, u nas na wsi wszystko się dzieli oprócz serca małżonków, które albo całe do siebie należeć muszą, lub ceny już żadnej nie mają, odpowiedziała Elżunia. Myśmy ludzie obyczajów prostych i nazywamy każdą rzecz po nazwisku... Mój mąż jest marnotrawcą i rozpustnikiem.

Król, który nie zupełnie sam czysty był w sumieniu pod tym względem, skrzywił się nieco.

— Nie należy być tak srogą i nieubłaganą, rzekł. Młodemu się wiele wybacza... mąż pani wrócić może..

— Do domu, ale nie do mnie — zawołała Elżusia energicznie... Przy dawnych ucztach N. Panie, gdy kto nieczysty rękę włożył do półmiska, drudzy już

z niego nie jedli. Ja jestem tego obyczajui! — Proszę więc W. K. Mości o protekcję, aby mnie do pożycia z nim nie zmuszano.

August II słysząc zapadł i widząc gniew z jakim te wyrazy wymówiła, — przypatrując się ognia pełnym oczom Elżuni, uśmiechał się, niby przypomnieniom dawnych czasów. Któż wie? Cosel może przyszła mu na myśl i jój niepohamowane gniewy a groźby...

— Zaprawdę — pani wybaczoną być może taka surowość, bo kto na nią spojrzy, winowajcy nie przebaczy... ani go nawet zrozumie!! Czy mąż pani ślepym nie był? zapytał król uśmiechając się.

Elżunia spuściła oczy smutnie.

— Komukolwiek przysięgł, N. Panie, z dobrą i nieprzymuszoną wolą, winien był jako człowiek uczciwy dochować przysięgi — jakbykolwiek wyglądała ta, której ślubował! rzekła pani Piętkowa.

— Ach! ach! opierając się na lasce począł August, który snadź w téj rozmowie smakował: przysięgi serdeczne rzadko kiedy się dochowują, bo nad sercem, piękna pani — władzy nie mamy!

— Nie idzie mi już o serce jego, zawołała Elżunia — ale o uczciwość publiczną taką dom okryć i mnie sromota!

— Al! pani jesteś surową! nadto surową! nielitościwał śmiejąc się z przymusem jakimś mówił król — młodym się wiele wybaczac powinno.

— Tak, póki są młodzi, N. Paniu! kto się żeni ten młodym być przestaje!

Król oczy tylko silniej otworzył i brwi podniósł najjaśniejsze do góry — dworzanie zaś zdumieni i zgorszeni tak przewrotną nauką, mieli miny przełękłe... Spoglądając na siebie, jakby pytając, z kądem się taka kobieta tutaj wziąć mogła, obawiali się, by August II nie obraził się mową tak śmiałą. Byłoby to może ten skutek wywarło, gdyby z innych ust pochodziło:—twarzyczka Elżusi nie dozwalała gniewać się na nią—była nadzwyczaj piękną.

Dokończywszy, skłoniła się nisko; król chciał iść, wstrzymał się, szepnął coś marszałkowi dworu, marszałek przyszedł z tém poselstwem do wojewody, a ten wytłómaczył pani Piętkowój, iż N. Pan życzy ją sobie widzieć na dworze swoim, i na jutrzejszym balu w zamku.

Ponieważ August jeszcze jakby oczekując odpowiedzi, stał i patrzył—Elżusia zbliżyła się ku niemu.

— Darujesz rzekła N. Panie, że dziękując za jego łaskę, rozkazom zadość uczynić nie będę mogła. W mojem położeniu nie przystoi pokazywać się publicznie... a smutną twarzą i humorem popsułabym tylko W. K. Mości zabawę.

Dygnęła i cofnęła się po tych słowach. Śmiało to odmówienie dziwić nadzwyczaj się zdawało i króla, i marszałka i wojewodę, i tych co je dosłyszeli—król się jednak nie obraził, pochlebiło mu to, że go mimo lat i pedogry za niebezpiecznego uważano. Skłonił głowę z bardzo wdzięcznym i przymilającym uśmiechem, ręką ją pozdrowił raz jeszcze, i opiera-

jąc się na lasce poszedł dalej. Za nim cały dwór począł ciągnąć majestatycznie, i nieprędko wojewoda mógł, podawszy rękę swój protegowanej, zaprowadzić ją do miejsca gdzie stały lektyki. Stryj Eligi, niemy i bierny świadek całej sceny téj, karku tylko sobie nałamał ukłonami, a teraz cisnąc się zdążał za synowicą, szabelkę ściskając w ręku — z wielką w sercu boleścią. Był od króla o kilka kroków tylko, a do ręki jego docisnąć się nie mógł i mozolnie usmażonego łacińskiego komplementu nie powiedział!

Lecz, stało się! nie rozpaczał: nowiusieńkie buty kurdybanowe i łacina owa na drugi raz jeszcze przydać się mogły. (Iniewał się tylko trochę na synowicę, która tak pięknego zaproszenia królewskiego przyjąć nie chciała!... Powtarzał też po cichu, usprawiedliwione teraz poniekąd wykrzykniki: — Herod-Baba!

W bramie, kędy stały lektyki, zalegał do koła tłum ciekawych, noc była pogodna i piękna. Ci, co do zamku wcisnąć się prawa nie mieli, chcieli być przynajmniej świadkami jak goście z niego odpływali, przypatrując się strojom i twarzom. Pomiedzy ciekawych nie przypadkowo, ale z rozmysłem wcisnęli się Trzaska i Borodziech, nie spuszczać z oka lektyki pani Piętkowój. Stanęli zakrywwszy się, aby ich nie spostrzeżono, jak mogli najbliżej... Przyczyną téj zasadzki było, że Trzaska tegoż dnia w go-spodzie przez przepierzenie wysłuchiwał całej narady

między Piętką a Dziembą, umawiającymi się o porwanie jejmości. Wiedział więc Trzaska, że tragarze byli przekupieni i że lektykę na pirneńskie przedmieście nieść mieli,—a zarazem, że Piętka i Dziemba we dwóch tylko z lektyki Elżusię pochwycić się spodziewali, nikogo więcj nie mając do pomocy.

Trzaska natychmiast skoczył do Borodzicza, opowiedział mu wszystko, i we dwóch także byli pewni tamtym dwu podołać, a panią swą obronić. Stanęli więc dopytawszy lektyki, pewni, że im się ona nie wymknie... Ale w chwili wsiadania Elżusi, nacisnął się tłum, zepchnięto ich trochę, tak, że ledwie Borodzicz na palcach się spiąwszy, dojrzał gdy już wieko zamykano téj, do której jejmość wsiadła, a gdzie był p. Elig. W pierwszej téż chwili nie mogli się tak łatwo wydobyć ze ścisku i podążyć za drażnikami. Dopiero nieco dalej biegiem już zaczęli ścigać lektykę. Lecz im oni skorzej za nią szli, tém tragarze lepij kłusując uchodzili.

Zaraz za bramą zamkową, wyminąwszy gąszcz ludzką, ci co niesli Elżusię, porozumiawszy się znakami ze stryjaszka drażnikami, rzucili się w lewo i puścili uliczką po pod mury w dół: stryja zaś Eligiego poniesiono żwawo na prawo w ciasne przejście ciemne..

Trzaska i Borodzicz co chwila potrącani, biegli jak mogli zadyszani za lektyką, nie dościgając jój jeszcze, bo coraz nowe znajdowali przeszkody... Ludzie niosący umyślnie zdaje się puszczali się w najkrętsze uliczki i łamane jakieś przejścia, tak, że Borodzicz

i Trzaska ledwie mogli na oko ich złapać... by lektyki nie stracić.

Wreszcie dopędzili tak pirnckiego przedmieścia i szerszej nieco ulicy, w której księżyc padał. Borodziez ujrzał zaraz na progu jednego z domostw, stojących we drzwiach Zygmunta i Diembę... Byli sami i bez broni... drążnicy zwolnili kroku tak, że Trzaska miał czas nadbiedz i Borodziez, który już szablą dobył, z przełaju przeciw lektyce zająć... Tylko co ją postawiono na bruku i wieko podniesiono, a Zygmunt z Diembą przypadli do otwierających się drzwiczek, tuż na karku już mieli Trzaskę i Borodzieza...

Elżusia wysiadając zobaczyła męża i z podziwu krzyknęła, ten ją już pochwycił za ręką, a Dziemba miał wziąć za drugą, gdy Borodziez nie czekając dłużej płazem go po grzbiecie tak smagnął, iż Julek odwrócić się nagle zmuszony, pośliznął się i padł pod nogi; Trzaska uderzył prawie równocześnie Zygmunta...

Drążnicy widząc to, pasy nawet porzuciwszy zbiegli, aby się skryć co najprędzej. Dziemba też przestraszony uderzeniem, zerwał się, i nie czekając więcej, wpadł do domu, którego drzwi za sobą zatrzasnął.

We dwóch Borodziez i Trzaska chwycili teraz pana Zygmunta, którego im łatwo było przytrzymać, tak, że kroku ruszyć nie mógł; kłął tylko i rwał się a odgryzał napróżno.

Elżusia już była wyskoczyła z lekyki, rękę trzymając u pasa, za który w czarnej pochwie zatknięty miała zawsze pugiuał. Poznała po głosie męża i swoich niespodzianych obrońców, lecz cała ta przygoda dziwną niezrozumiałą się jój wydała.

— Co to jest? zawołała — gdzie ja jestem? jakim sposobem tu się znajduję?... Co on tu robi?

Wskazała palcem męża.

— Niech się pani nie lęka — przypadając nieco ku niej, o ile ręka dozwalała, rzekł Borodziez — był to spisek łotrowski na panią, który pan Trzaska odkrył przypadkiem... Lndzie z lekyką byli przekapieni przez Zygimusia... Dzięki Bogu w poręśmy się znaleźli...

Zygmunt rwał się i szamotał ciągle, piniąc z gniewu. Elżusia z brwią namarszczoną, groźna postąpiła ku niemu.

— Czegożeś to odemnie chciał żeś musiał aż gwałtu użyć i zdrady, aby się widzieć z żoną? zawołała... Mogłeś przecie gdybyś miał odwagę, czoło pokazać, przyjść w biały dzień... Wiedziałeś, że tu jestem, ale nie wiesz po com przybyła... Przybyłam pierścień twój ślubny rzucić ci w oczy. Daj go tój, której łańcuch brababki powiesiłeś na szyi, ukradłszy go z domu. Wstyd i hańba...

— Tobie to mnie wyrzucać tobie! zawołał z kolei Zygmunt: coś za sobą cały regiment gachów przywiodła, żeby cię od męża bronili!! tobie, co się królowi wdzięczysz, aby po Duparc wziąć dziedzictwo!..



— Milcz! krzyknęła Elżusia — mnie nikt prócz ciebie, jednego wejrzenia nie zarzuci! Moje sumienie czyste!

— Al na miłego Boga — przerwał Borodziec: zlitujcie się państwo! To ulica! Już się okna zaczynają otwierać, ludzie gromadzą, straż nadejść może. Gdzieindziej słę z tyn jegomością rozprawi. Tu nie miejsce... Weźniemy go z Trzaską, zawiążemy głęę i zaprowadzimy pani do prog... niech się tam tłómaczy...

— Ja tłómaczyć się! przed kim? przed nią? Cóż to? czy wy mnie sądzić myślicie? zawołał Zygmunt nymyślnie głosu nie szczędząc. Żona mnie będzie dekretowała, a gachy wyrok wykonają! He! he! niedoczekanie wasze!

I krzyknął zawołując Dziemby, ale ten z za drzwi pokazywać się nie myślał, pamiętał na plecach ciężkie płazowanie Borodzieza.

Elżusia gniewna, ale poważna patrzała na męża.

— Niepotrzeba na ciebie wyroku, rzekła—tyś sam wyrok napisał na siebie—tyś sam, Pan Bóg go wykona! Proszę panów puścić go, chce iść za mną, niech idzie posłyszeć słowo ostatnie, a nie — niech wraca do ulubienicy... ja za nim gonić nie będę, a lękać się, nie lękam... Nie wart, żebyście sobie ręce o niego walali!

Usłyszawszy te wzgardliwe wyrazy, Zygmunt puszczony odskoczył, chwiejąc się i zataczając kroków kilka...

— Jędz! krzyknął wściekły... i któż się tu zdziwi zem od téj kobiety uciekał! I ja też za waćpanią nie pogonię... choć mam prawo jako mąż, zamknąć cię, ukarać, mścić się... Z nią się ja kiedyś rozprawię, dodał; ale kto śmiał tknąć płazem i rękę na mnie podnieść, ten mi musi odpowiedzieć za to... Słyszycie waćpanowie?!

Borodziez i Trzaska stanęli oba...

— Do usług jestem, ja pierwszy com waćpana pałaszował—rzekł Trzaska.

— A ja com za kark schwyił, także—dodał Borodziez... Rozprawim się.

— Rozprawim...

— Nie dalej jak jutro! zawołał Zygmunt: gdy jejmość dobrodziejkę odprowadzicie do domu... Służę tu na radę... albo wprost do Bażantarni z pistoletami.

— Czego tu radzić? po co? przerwał Trzaska... Jutro na ósmą w lasku pod Bażantarnią...

— Jutro...

W czasie téj rozmowy wrzawliwój, urywanój i pośpiesznój, Elżusia stała z rękami załamanemi, gniew jój we łzach się niemych rozplynał...

— Z jejmością rachunek zrobim gdzie indziej, dokończył szydersko Zygmunt; a że nie minie, to nie minie...

To mówiąc począł się do drzwi dobijać, za którymi stał Dziemba. W téjże chwili stryj i wojewoda od strony zamku z pochodniami śpieszący nadbiegli...

Lektyka stryja, której drażnicy ułękli się i wydali swych współtowarzyszów, nie zaszła dalej jak do gospody... Tu pan Eligi dowiedziawszy się o spisku, poleciał do sąsiada i cały dwór rozbudził... Ludzie, co go nieśli, na pirneńskie wskazali przedmieście... dokąd sam wojewoda, Rzesiński, pachołcy i co żyło w gospodzie się zbiegło... Zygmunt miał ledwie czas widząc ten tłum do domu się skryć i drzwi za sobą zaryglować... wojewoda bowiem po drodze, z zamku kilku prowadził żołnierzy. Wszystko to już się okazało niepotrzebném... lecz zgiełku i gwaru narobiło w mieście takiego, iż mieszkańcy sądzili, że się pali.

Panią Piętkową wsadzono do lektyki i w tryumfalnym pochodzie odniesiono do domu... Stryj Eligi płakał i modlił się—Elżnina z zaciśniętymi usty chodziła zamyślona...

— Herod-baba! szepnął stary z kąta — Herod-baba!!

---

Bażantarnią zwał się lassek, z którego później przepyszny wielki ogród królewski zrobiono... Jak cała okolica ta niegdyś starą puszcza okryta, w której odwieczne dęby panowały — Bażantarnia miejscami gąszcze miała nieprzetrzebione jeszcze, z pośrodku których majestatyczne kolumnami strzelały buki, sosny, graby i lipy... Gdzie niegdzie zielona łączka śmiała się szmaragdowym kobiercem wśród

pośępnego lasu gęstwiny. Był to bór jeszcze pomnący Łużyczan czasy, gdy niemiecki zabór nie tknął nadłabańskich brzegów. Już naówczas z rozkazu Augusta w pośrodku rozpoczęto myśliwski pałacyk budować i zdobić, już stały domki dla różnych osób stawiane które, w tych cieniach ukryć się starano. Po bokach wszakże... puszcza była prawie nietknięta i drożynami wijącemi się kapryśnie poprzecinana. Dość tu było i aż nadto miejsca na rycerskie szermierki dworzan Augusta, zresztą do bojowania nie skorych... Pojedynkowano się dla popisu z konieczności, by honor zaspokoić i pochwalić się zręcznym pchnięciem, ale nigdy śmiertelnie. Zuśmiechem jechał każdy na spotkanie, a weselszy jeszcze powracał.

Nikt też nie zważał na to, gdy nazajutrz rano przez zaroszone trawy i krzaki kilku ichmościów z pistoletami i szablami weisnęło się na oddaloną łączkę za Bażantarnią. Pierwszy, który się tu zjawił był Zygmus, do pistoletów i pałasza tak pochopny jak do innych szaleństw... a teraz pragnący zemsty i rozżłoszczony śmiertelnie. Strzelał on dobrze a bił się przedziwnie. Nie zliczyć było poobcinanych przez niego. Dziemba mu towarzyszył, niewyspany, żółty, smutny i mruczący, że go całą noc zmora dusiła. Zygmunt darować mu nie mógł wczorajszego ujścia z placu... łajał go, ale że innego nikogo nie miał, posługiwać się nim musiał. Za drugiego družbę słu-

żył Niemiec, który biernie się zachowywał i z tyłu trzymał.

Wkrótce po nich Trzaska, Borodziez i dwóch ichmościów ze dworu wojewody, Rzesiński i Kownacki nadjechali konno z dwoma czeladzi, dla trzymania koni. Tętent z daleka ich oznajmił, Zygmusiowi, oczy zajaśniały i ręce zadrgały. wyprostował się, potarł czoło.

— W to mi graj! zawołał i świstać począł.

Tymczasem pistolety opatrywał i skałkę krzesiwem nabijał...

Tamci zsiadli z koni... pozdrowiono się z daleka, Rzesiński poszedł do Dziemby, poszeptali coś z sobą.. Trzaska się wysunął pierwszy... nie dając Borodziezowi wystąpić—o mało się o to nie zwadzili.

Gdy się szlachta chciała dla nabrania apetytu i puszczenia sobie krwi ściąć trochę w szabelki, szli wówczas pieszo przeciwnicy na siebie,—ale na prawdziwe spotkanie, na życie lub śmierć, o wielką honoru obrazę,—do boju „na rękę“ wyzwany wyjeżdżał konno z pistoletami, dopiero gdy strzały wymieniono napróżno, walczoneo siedząc na koniach, jak na wojnie, orężem białym, póki sił stało. I tu więc przeciwnicy wystąpili na koniach... Zygmunt miał karego wychowanka, wychudzonego drogą i skąpym owsem saskim, ale zwinnego i ognistego... Trzaska szpaka żelaznego, przysadzystego, grubego, — konia niepokąznego, lecz z którym dobry jeździec co chciał mógł zrobić.

Stanęli z dala i mieli jechać ku sobie, strzelając gdy im fantazya przyjdzie, bo spotkania ówczesne tak niewolniczo jak dziś ograniczane nie były.

Na bladėj twarzy Zygmunia znać było zajądlność wielką, hamowaną tylko, aby zemście nie stanęła na zawadzie.

Trzaska był na oko spokojny, chłodny, lecz z pod brwi skry mu się sypały, gdy na przeciwnika spoglądał...

Konie naprzód stępo iść zaczęły ku sobie, oba dobyli pistoletów, Zygmunt pierwszy mierzyć zaczął... za nim Trzaska... Trzymali się oba na celu wiodąc konie, które uszami strzygły—i łbami rzucały, gdy Piętka pochyliwszy się nieco strzelił... podniósł się na strzemionach, by z za dymu zobaczyć czy trafił, ale Trzaska nieruchomy siedział na koniu. Czaple tylko pióro od czapki nstrzelone precz poleciało. Strzelił i pan Seweryn, kula świsnęła mimo uszu Piętki, który się w głos rozśmiał... Stali od siebie na kilkanaście kroków, i jakby się zmówili, dobyli razem z olster pistoletów na nowo, rzuciwszy wystrzelone... Konie przystanęły, kary się zarył tylnemi nogami, prychał i naprzód iść nie chciał, parę razy spał się dęba, opadł, łeb łmiędzy nogi spuścił i krwawemi oczyma przed siebie patrzył.

Dwaj przeciwnicy mierzyli znowu... i Zygmunt z Trzaską strzelili prawie razem... koń Piętki zwinął się i padł na przednie nogi, a pan jego zeskoczył... Trzaska zachwiał się i padł... ranny był w bok...

Zygmuntowi nie się nie stało; cało wyszedłszy, konia nogą kopnął i śmiać się począł.

— A toć to nie koniec! pochwycił biegnąc Borodziecz... na miłość bożą—ja swojego nie daruję. My z sobą dawno mamy na pieńku, panie Zygmuncie, a i za przyjaciela Trzaskę... coś się mu należy.

— A! proszę! proszę! zaśmiał się Piętka: choćby trzem jeszcze to służyć...

Tym czasem odnoszono Seweryna, który słowa nie pisał, ani jęku nie wydał... Krew mu się lała z boku, chustą ją tylko zakładał.

— A no, nie! zawołał ranę na pręcie opatrując Rzesiński—bo naówczas szlachcie każdy cyrulikiem był do ran, tyle ich opatrywać musiano:—nie!... trochę mięsa kula wyrwała, ale poszła sobie precz.. byle krew zatamować... zgoi się to za parę tygodni!

Podano konia drugiego Zygmuśowi z pod Dziemby.

Chciano w głąb zanieść Trzaskę, aby go na murawie położyć wygodniej, ale się nie dał:—Niech że się ja popatrzę! zawołał—toć mi się chyba należy.

Właśnie ci do strzemion się mieli — Borodziecz człek pobożny, przed koniem krzyż zrobił, i sam się przeżegnał, na kulbakę skoczył i już pistolet podniósł... Zygmuś coś pogwizdywał...

Koni obu ani było napędzić, czy je strzały nastraszyły, czy wrzawa, zachwały się, rzucały w stronę, na siebie iść nie chciały. Borodziecz ostrogi wpił w boki swojemu, dwa razy z nim skoczył i osiadł w miejscu... Zygmuśowy głową nazad skręcił—ani

sposobu go zbić na drogę... W czasie tego borykania z końmi, Trzaska krzyczał zniecierpliwiony:—Puszczaj mu cugle! nie zrywaj!

Gdy Borodziez usłuchał, koń wreszcie trzęsąc się cały skoczył naprzód... Zygmunt swego głowę mu w górę poddarłszy zmusił też ruszyć z miejsca... wzięli się zaraz do pistoletów.

Zygmuncie, zawołał Borodziez —westchnij do Boga... czuję, że twoja ostatnia godzina wybiła...

Słów tych domawiając nim tamten śmiechugłotnego dokńczył, strzelił pan Gracyan... Zygmunt siedział na koniu... ale też przewalił się na krzyże, do góry ręce mu się podniosły i osunął się na ziemię, a koń wyrwał się z pod niego i czwałem popędził w las... Przyskoczył zaraz Dziemba i Borodziez sam i Rzesiński do Piętki, któremu już krew usty buchała...

Kula przeszła płuca, weszła gdzieś snadź aż pod krzyże i tam utkwiała. Rana była śmiertelna... Piętka jednakże dyszał, oczyma obracał i niecierpliwie ręką za piersi się rwał... Widok jego wszystek gniew, jaki gdzie jeszcze w piersi wrzał, uśmierzył; przystąpili wszyscy razem do ratunku... do narady co zrobić z jednym i drugim...

— Tylko wy o mnie wcale nie myślcie—rzekł stolnikiewicz — ja tam o swój bok się nie troszczę... doleżę do miasta jakkolwiek to się i wyliżę. Gorzej z tym... bo go pono prędko trzeba nieść, aby ksiądz go choć na śmierć wydysponował...



— A mówiłem! ręce łamiąc dodał Borodziez— czułem, że mi przeznaczono go zabić — i wiem czemu!! wiem czemu!! Od swego losu nikt się nie wywinie... Nie mogło inaczej być!...

Dziemba i Kownacki pobiegli do dworku leśniczego, aby noszów dostać lub materaca dla Zygmunta...

Czas naglił... ratunek może był jeszcze jaki, lecz na to trzeba było doktora, któryby ranę opatrzył kulę wyjął, i krew płynącą zatamować umiał. Jeden z czeladzi siadł na koń do miasta, aby doktora przywieźć.. tymczasem krzątano się w miejscu z jaką taką pomocą. Chory był nieprzytomny, kiedy niekiedy wyrывał się z piersi jego jęk stłumiony, zębami zgrzytał, a odzież rwał... porywał się i opadał bezsilny...

Trzaska tymczasem chusty zebrawszy jakie mógł, sam już się przepasywał, aby krew uchodzącą zawiązać.

Borodziez był ciągle przy Zygmuncie... stał, patrzył nań i łzy mu się kręciły. Tak godzina upłynęła prawie, z miasta nie było nikogo... Trzaska zabierając jednego ze sług, powlókł się powoli opierając na nim .. reszta pozostała przy Piętce. Z tego krew płynęła niemal strumieniem, całe to miejsce gdzie leżał, trawa, kobierzec, bielizna w niej się spławiły.

Już było około jedenastój, gdy od miasta zatrękotało: jechał ksiądz Brzeski, wikaryusz królewski, na jednym wozie z doktorem dworskim konsyliarzem Szwarem.

Ledwie zsiadłszy pośpieszył ku Piętce, popatrzał nań, na krew rozlaną, i głową wahać począł.. Podniesiono rannego i suknie na nim dla pośpiechu porozcinano... Doktor macał, patrzył, myślał—ale słowa nie mówił... dopóki kuli w krzyżach gdzieś nie namacawszy, nie ciął skóry i nie wyjął jęj... Bandaże miał w kieszeni; flaszek kilka i różne ingredyenty... W czasie tych operacyj Piętka oczy otworzył, jęknął... zresztą z zaciętemi usty mileżał.

Borodziez radby był spytać doktora lecz konsyliarz Schwarz mówił tylko po niemiecku, a do rozmowy wcale nie zdawał się być pochoptny. Ksiądz Brzeski chcąc korzystać z pierwszój chwili... ukląkł z drugieój strony rannego i z cicha ku uchu jego szeptać począł modlitwę.. aby w nim myśl pobożną obudzić. Z wolna otworzyły się na ten szmer powieki, popatrzał na księdza długo i rękę uniósł chcąc się przeżegnać... niedokończył znaku krzyża... oczy się zamknęły, ręka bezsilna opadła... oddech w piersiach słyszeć było jeszcze i choć twarz śmiertelna okrywała bladość... żył wszakże. Ksiądz Brzeski spojrzał na konsyliarza takim wzrokiem, jakby się pytał—słów niepotrzebowali—doktor Szware głową, oczyma i ramionami pokazał, iż nie stanowczego powiedzieć nie może.

Była więc iskierka nadziei.

Sam doktor na przygotowanym ułożył go materacu, przepisał jak ludzie nieść mieli z ostrożnością—

i smutny pochód dobiwszy się do szerokiej drogi najprostszą skierował się ku miastu.

---

Noc całą spędziła Elżusia chodząc po pokoju, modląc się, myśląc i nosząc z uczuciami, które się w niej zmieniały gniewem, żalem i boleścią zmarnowanego żywota. W uszach jej brzmiało wyzwanie, które słyszała; wiedziała dobrze, iż skutków jego powstrzymać nie potrafi... a obawiała się sama nie wiedziała czego.

Brzydziła się mężowi wiarołomnym, od którego na wieki się odłączyć postanowiła; przecież myśl, że zabitym być może, przejmowała ją trwogą... lękała się o stolnikiewicza, o Borodzieza, swojemu nieszczęśliwemu losowi przypisując i tę dolę, że życie ludzkie na sumieniu mieć może. Stryj Eligi z razu nie o wyzwaniu nie wiedział; dopiero rano nie mogąc usnąć, kazała go do siebie prosić Elżusia i opowiedziała mu wszystko. Przestraszony stryjasek padł na krzesło ręce łamiąc. On już nie wiedział gdzie iść, co robić i jak zapobiedz spotkaniu, które nie mogło być próżném, sądząc po zajadłości przeciwników.

— Matko Bozka, opiekuj się nami! zawołał: otoż! otoż! w cośmy to wleźli! Potrzebneż to było?

Elżusia zmilezała.

— Stryju Eligi, rzekła poczekawszy—idź proszę,

przynieś mi wiadomość—niech wiem co się stało—  
ósma dochodzi...

— Ale dokąd iść? alboż znam? wiem? Bażantarnia!  
Czy ja wiem gdzie te saskie bażanty...

— Powóz weź, przewodnika—co chcesz! idź! błagała Zygmuntowa.

Stary oprzeć się nie mogąc naleganiu, wziął smutny czapkę i wywłókł się z domu. Sam nie wiedział jeszcze ani kogo użyje, ani jak się dostanie gdzie mu trzeba—snuł się ulicą zrozpaczony i machinalnie modlił.

W tem tętent go rozbudził. Jeden z czeladzi wojewody wysłany po lekarza i po księdza mijał go właśnie.

— Stój! zawołał Eligi—co się tam stało? jeździłeś z Rzesińskim?

— A tak, panie.

— Cóż się stało?...

— No nic—rzekł chłopak—pokrwawili się brzydko... Ten pan co go nazywali Wiór czy Trzaska... w bok postrzelony.

— Bardzo?

— Nie mu nie będzie!... co mu ma być?

— A więcéj? zapytał Eligi.

— Więcéj, to ten drugi, mąż pono jejmości waszég... jak mu tam Łydka czy Pięta?

— Piętka—cóż Piętce?

Chłopak głową pokiwał.

— Tego to kula wskroś przeszła pono, aż mu kędyś w krzyżach zawięzła. Ten jeśli się wylize, powinien dać na mszę...

Eligi ręce załamał, stał... ale już posłańca nie było... Wrócił więc ku domowi z wolna, nie mając potrzeby szukać Bażantarni. Nie pilno mu było z tą wiadomością do synowicy, błędził więc po rynku, po bocznych ulicach, i tyłem domu poszedł naprzód dać znać wojewodzie. Po twarzy nieszczęśliwej stryjaska poznał wojewoda, że mu coś smutnego przynosi.

Eligi wyszeptał co słyszał naprzód, a potem dodał:

— Co mi, pan łaskawy radzisz? mam jój pójść powiedzieć?

— Lepsza prawda, niż oczekiwanie! rzekł wojewoda—tego, z pozwoleniem, łotra niewielka szkoda...

— A no zawsze on kiedyś był jej mężem szepnął Eligi;—ale kiedy jaśnie pan powiadasz, że potrzeba jój oznajmić—pójdę...

Jakoż poszedł. Widząc wstępującego na próg, Elżusia przyskoczyła ku niemu.

— Mów! mów! co co wiesz... Zabity?

— Nie, ale podobno niewiele mu się należy—wybąknął Eligi, patrząc w jój twarz bledniejącą,—przestrzelony na wylot.

— Kto go zabił? spytała Elżusia.

— Miarkuję, że Borodziez... Trzaska też mocno ranny...

— Gdzie są?

— Muszą być około téj Bażantarni... posłano po doktora i po księdza...

Pani Piętkowa rzuciła się szukając kwefu i płaszczyka.

— A to dokąd? dokąd? zawołał Stryj.

— Tam, gdzie teraz miejsce moje... Żywego w oczybym nie widziała, przy umierającym być powinienam...

Stryj Eligi stanął jak wryty...

— Kto te baby zrozumie? rzekł w duchu... Wczoraj tak—dzis inaczej... Ruszył ramionami.

— Wstrzymajże się asiudźka... niewiadomo dokąd jechać? gdzie? po co? nie ucierze teraz!...

Nie my na to nie odpowiedziała synowica, z gorączkowym pośpiechem porwała bezprzytomna kwefy, chustki, co znalazła pod ręką.

— Koni! zawołała! koni! Idź stryj... po powóz po konie! Jeśli ich nie znajdziesz — pójdę pieszo... Ja tam być muszę, tam teraz miejsce moje.

Wielec skłopotany, nie już nie mówiąc, Eligi wyszedł pięścią bijąc się o czoło.

— Teraz koni! teraz jój trzeba koni! gdzie ja jój koni dostanę?

Rozpaczliwemu położeniu nieszczęśliwego w istocie starszka przyszedł w pomoc, widząc go tak pomieszanym, gospodarz domu, obiecując powóz i konie... Tych bowiem, któremi przyjechali użyć nie było można, połowa była rozkuta, jeden ochwacony...

reszty zaprządz do ciężkiej kolebki nie sposób. Obietnica powozu nierychło się jednak ziściła—dobra godzina upłynęła, nim stanął pod oknami... Elżusia wsiadła doń milcząc i rozkazując jechać drogą ku Bażantarni. Nie długo jednak jechali, bo tuż za miastem spotkali ludzi, powoli na noszach dźwigających rannego... Szedł przy nim Borodziez, doktor i ksiądz Brzeski. Stryj pierwszy postrzegłszy gromadę, konie zatrzymać kazał. Wysiedli. Na widok Elżusi Borodziez szybko się cofnął... Postąpiła ku rannemu, którego ludzie złożyli na ziemi, spojrzała nań i zbladła...

— Mospanie Dziemba, odezwała się cicho,—nieścież go do mojego mieszkania, rozumiesz waćpan?... Żadnej wymówki...

Spojrzała na lekarza, ten wpatrywał się w nią też z ciekawością niezmierną, ale oczyma nie o chorym powiedzieć nie chciał. Zbliżył się ksiądz.

— Mój ojciec... co lekarz powiada? spytała cicho...

— Mówi, że Bóg czyni czasem cuda... odparł wikary.

Jakkolwiek cicho szeptała Elżusia, chory oczy otworzył, powiódł niemi do koła, zatrzymał je chwilę na żonie i drgnął cały... Otworzył je powtórnie... jakby wzrokowi nie wierzył i zamknął znowu nie dając już znaku czucia. Ludzie podnieśli nosze... i zwolna szli ku miastu... Elżusia nie odstępowała od nich... i razem z nimi pieszo, w milczeniu, zakwiefona... nie okazując nic po sobie, choć się pod nią

nogi chwiały... doprowadziła chorego do gospody...

Tłum ludzi, cisnących się na to smętne widowisko, towarzyszył im aż do wrót samych.

Przy łożu unierającego, uczucia, stosunki, plany i myśli, zmienilo się wszystko... Rozgniewana kobieta ustąpiła miejsca żonie, która czuła się w obowiązku dotrwać przy nieszczęśliwym do końca.

Oddano najlepsze łoże nieprzytomnemu i nieotwierającemu już oczu Zygmuntowi... którego ranę na nowo płynącą krwią opatrzył raz jeszcze lekarz. Rana, utrata krwi, boleść odjęły mu przytomność, tak, że mało dawał życia znaków... niekiedy tylko otwierał oczy, które nie zdawały się widzieć i rozpoznawać przedmiotów, i powieki ociężałe opadały znowu, jakby do snu wiekuistego. Twarz jego miała już tę bladą, trupa powłokę, którą śmierć nakłada na człowieka... a jednak życia iskierka tłała w nim jeszcze... i z nią nadziei iskierka.

Lekarz przepisał wszystko, co przy rannym zachować należało... zostawił do pomocy umiejętnego felczera i popatrzywszy z ciekawością na twarz Elżuni, która wyglądała teraz ze swą pięknością jak starożytna głowa Meduzy—odszedł. Został ks. Brzeski czekając chwili gdy sił i życia powróci tyle, ażeby mógł odchodzącego wędrowca na podróż ostatnią opatrzyć pociechy słowem i przejednania. Elżusia siadła w nogach przy łożu i pozostała na straży—stryj Eligi ze zdumieniem i pokorą kręcił się tylko około progu drugiej izby—nie śmiejąc wejść a w du-



szy narzekając już na dobrowolnie kupiony przez synowicę kłopot, jaki z trupem mieć musieli. Dziemba siadł przy progu i płakał cicho... Cisza, zwiastunku chwili ostatniej... zaległa mieszkanie, którego okna pozasłaniano od światła. Co kilka minut felczer przychodził badać zaledwie czuć się dający puls rannego i słuchać jego oddechu... oczekując rychłego rozwiązania, które się zdawało nieuchronnym.

Jednakże aż do nocy życie w nim tlało... a lekarz, który nadszedł i dość zdziwiony znalazł jeszcze dyszącym Zygmunta, choć nadzieję miał małą, aby coś pomódz mogło, na nowo ranę opatrzyć i w usta coś wlać kazał. Po przyjęciu tego napoju kilku ruchami zwiastował się jakby jakiś powrót do czucia i życia: chory westchnął: usta otworzył, oczy kilka razy zwrócił na przytomnych i zwolna usypiać zaczął.

Doktor Szware zasiadł przy łóżu, więc się pewno zajmując fenomenem tej siły żywotnej niżeli samym chorym; widoczna było, iż zamierzał próbować, ażeby mu się nie udało ocalić rannego... posyłał po nowe leki i sam dłużej niż zamierzył, pozostał rozmyślając... Wśród głębokiej ciszy, powtórzono lekarstwo i czekano skutku... a skutkiem tym był tylko głęboki sen dosyć spokojny, z silniejszym nieco pulsem i oddechem.

Tak przebyto noc całą. Stryj Eligi, który umierających nie lubił, a umarłych się nawet obawiał,

późno już wyszedł nieco orzeźwić się świeżem powietrzem. Niedaleko od bramy zastał jakby na czatach stojących Trzaskę i Borodzieza, którym rad był serdecznie. Podeszedł więc do nich, i razem pociągnęli naprzeciwko do winiarni... Tamci chcieli się dowiedzieć o Piętee i samćj pani, a Eligi potrzebował poskarżyć się na dołę swoją. Trzaska miano okrutnej rany, którą mu zalepiono i zabandażowano, ani w łóżku ani w domu wytrwać nie mógł. Palił go niepokój jakiś.

— No cóż się u was dzieje? zapytał Borodziez—żyje?

— A żyje! a żyje! i teraz moja synowica siedzi przy nim tak pilno strzegąc poruszenia każdego, jakby wczoraj sobie z nim oczu wydrzeć nie chcieli! No! niechże tu kto babę zrozumie! Ale—to z tego wszystkiego nic nie będzie! daremna rzecz! lada moment skona! życia odrobina się w nim ledwie kołacze... Dopieroż miła sprawa z trupem w domu!

Trzaska jęknął, biorąc się za bok...

— Wszystko—rzekł—dziwowiska i przygody osobliwe!

— Osobliwe, dodał Borodziez... I cośmy się mieli pozbyć trutnia, to mu przebaczenie pono wyrobimy...

— A jeśli pociągnie—mówił Eligi — jeszcze gorzej... bo nas wymęczy... wynudzi, a żyć nie może—to darmo, kiedy mu kula prześwidrowała wewnątrzności na wylot!

— Ba! ba! rzekł Borodziez—na złość nam wszyst-

kim może się wyskrobać. Natura twarda dusza siedzi w nim mocno...

— Krwi tyle uszło! mruknął Eligi...

— Widziałem ja nie takie wypadki... dodał Borodnicz—gdy kto na świecie dokuczliwy a nie potrzebny, pewnie życia mu przydłuży los!..

— Wojewoda powiada że nie może żyć! 'począł Eligi,—doktor głowę kiwa bardzo... nie może żyć! byle tylko nocą nie umarł, żeby przy trupie nie siedzieć!

Poinruczeli tak czas jakiś — Borodnicz ze stryjem napili się po szklance wina i rozeszli.

W całym mieście wypadek stając się głośnym, niemałe czynił wrażenie; król go sobie ze szczegółami wojewodzie opowiedzieć kazał... i posłał pod wieczór z kondolencją do p. Piętkowej, za co stryj Eligi zapłacić musiał, bo posłańcy tego rodzaju darino nie przychodzą. Dowiedziano się i w teatrze o śmierci Zygmunta, bo wszyscy pewni byli, że tej nocy dokończy. Duparc załamala ręce, pokiwała głową i za cały nekrolog wyrzekła po cichu: *Il na'vait plus le sous...* Smutno jęj jednak tak było tego wieczoru, że musiała wesołego szukać towarzystwa, aby czarną melancholię rozproszyć.

Na dworze ubolewano iż się piękna pani, o której król po kilkakroć wspominał nie rychło pewnie pokazać będzie mogła. Lecz tu także nieobecni łatwo się zapominają, a właśnie pani de Watedorff, przyjaciółka i powiernica N. Pana, wprowadziła nową

piękność dla rozerwania i nudów i zabawy Augusta II.—A król tego wieczoru nią był cały zajęty. Wojewoda tylko zachował dłużej w pamięci piękną swą sąsiadkę, i karły jego co godzina biegały się dowiadywać co się u Piętków dzieje.

Przez całą noc chory był jednakowo, przeżył do rana, doktor Szware, który przysłał się dowiedzieć także, dostawszy wiadomość, iż p. Zygmunt żył, sam do niego nadciągnął z nowemi lekami. Było znowu polepszenia trochę, zaczęto karmić bulionem chorego, wlewając po łyżeczce w usta... Pokrzepiło go to widocznie... lecz sennosć trwała ciągle.

Ku południowi otworzył oczy, trochę krwi przez poźółkłą przeglądało skórę, usta się zarumieniły... Chiał coś mówić — lecz doktor Szware pod karą śmierci zakazał najmniejszego wysiłku i polecił jak najsurowiej milczenie. Elżusia stojąca ciągle przy łóżu, pilnowała spełnienia przepisów Szwarca...

Stryj Eligi, który dla uwolnienia się co rychlój od trupa, już miał weześnie trumnę zamówić, powstrzymał się od pośpiechu—lękając, aby mu niepotrzebny sprzęt nie pozostał na jego rachunek...

Druga noc przeszła zwiększając prawdopodobieństwo jeśli nie utrzymania przy życiu Zygmunta, to przeciągnięcia resztek jego... Z każdym następnym dniem później rosło podziwienie wszystkich, a radość doktora Szwarca, który sobie to cudowne ocalenie przypisywał, utrzymując, że wyjęciem kuli życie Piętkę przywrócił. Przec cały ten czas Elżusia nie

opuściła prawie na chwilę łoża męża, który widział ją, poznał, zdawał się nadzwyczaj zdziwiony, ale że mu pytać i mówić nie pozwalano — milczeć musiał. Oczyma tylko każdy ruch i wejrzenie żony śledził. Z razu prawie rozrzewniona i czuła a zabiegliwa, Elżusia okazywała dla chorego troskliwość nadzwyczajną—w miarę jednak jak do sił po trosze przychodzić zaczął, chociaż nie rzuciła go, ostygła widocznie. Spełniała obowiązek, nic więcej nad to...

W duszy Zygmunta odbywać się musiało dziwne jakieś odrodzenie i zmiana uczuć, którą tylko oczy zdradzały. Szukał jęj niemi, bez gniewu, owszem jakby prosząc przebaczenia, złagodniał, upadł na duchu i na ukradkowe pytania Dziemby, który korzystając z chwilowej niebytności pani, przyskakiwał kilkakroć ku niemu, odpowiadać nie chciał. Dziesięć dni spłynęło na takiem milczącym opatrywaniu chorego, przychodzącego do sił powoli... Lekarz już nie przestrzegał milczenia, wzruszeń tylko lękać się kazał. Zygmunt odzywał się krótkimi słowy do służby, ani on jednak do żony, ani ona nie przemówiła do niego.

Stryj Eligi przychodził czasami, stawał zaprzeciw łoża, patrzył na Piętkę i głową kiwał. Gniewało go przecię, że trutnia ocalono; a był za tém ażeby, gdy cokolwiek do zdrowia przyjdzie, wysłać go z Dziembą na kwaterę własną. Z synowicą rozmówić się otwarcie nie śmiał, zagadnąć ją próbował, lecz że... milczała—nie nacierał. Codziennie Trzaska i Boro-

dziec przychodzili do winiarni, gdzie stryj do nich się wynknawszy, opowiadał o stanie chorego.

— Nie ma wątpliwości, rzekł Borodziez jednego z ostatnich dni drugiego tygodnia: że p. Zygmunt wyżyje. Jeśli dotąd nie poszedł *ad patres* nie będzie mu nic... Ale cóż jejmość myśli—stryjaszku?

— Alboż ja wiem? albo ja ją rozumiem? albo to kiedy mężczyzna kobietę odgadł? mówił stryj. Nie mówi nic... Z razu chodziła bardzo pilnie koło niego teraz nagląda tylko. Wiem to, że ją raz próbował pocałować w rękę, i że mu wyszarpnęła i uszła. Nie gada do niego nic, a na zapytania odpowiada tylko gdy konieczna wymaga potrzeba.. Któż tu ją zgadnie!

— Ona mu teraz wszystko przebaczyć gotowa! dodał Borodziez.

Stryj głową pokiwał... przecząco.

— Dobrzeby tylko było, rzekł, żeby się to raz czy tak czy owak skończyło!... dałbym na mszę świętą z własnej kieszeni.

— I ja też westchnął Borodziez...

Trzaska jeszcze swą ranę upartą leczył, ale nie wiedząc po coby tu dłużej siedział, a lękając się aby stolnikowa nie była o niego niespokojną, powoli o odwrocie zamyślał. Wojewoda, który kilka razy nawiedzał Piętków, upartszy nieco, pobyt swój bodaj dla pięknych oczu przeciągał wzdychając. .

Jednego dnia, gdy już Zygmunt coraz się lepiej mieć poczynął, i na łożu mógł siedzieć, a choć blady

i wątki, powracał widocznie do życia—pani Elżbieta stała o podał z książką... byli sami... zdało mu się, że rozmowę zawiązać potrafi.

— Wszakże mi mówić wolno? zapytał...

Żona spojrzała nań i nie odpowiedziała mu nic.

— Chcesz czego? rzekła po długim milczeniu.

— Chciałbym—chciałbym pomówić...

— Lepiej jest wstrzymać się od tego—przerwała kobieta—doktór się każe wystrzegać...

— Ależ to zawsze trwać nie może! ja się czuję dosyć silnym... Cóż dalej z nami będzie?

— Z nami? spytała Elżbieta—jako z nami? Myśl co poczniesz z sobą—ja o sobie pomyślę...

— Przecież Elżunia, która mnie nie opuściła umierającego, nie opuści przychodzącego do zdrowia...

— Dopóki pomocy i opieki potrzebować będziesz, rzekła spokojnie Elżbieta.

— No—a potem?

— A potem—zobaczymy—ciecho dodała Elżunia; to jednak dziś powiedzieć ci muszę, iż o życiu z sobą mowy być nie może.

— Dla czego?...

— Dla tego, że ja litość dla ciebie mam, ale miłości ku tobie i szacunku, nie—bo ci nie wierzę.

Zygmunt zamilkł.

— Toć przecież ukarany zostałem—odezwał się, a nikogo dwakroć nie karzą!

— Nie będzie to dla ciebie karą—przerwała Elżunia, ja do rodziców powrócę—a żyć z tobą nie mogę.

— Ale cóżem ja popełnił za zbrodnię?

— Nie mówiny—dość i tak na dziś—zakończyła Elżusia;—ja nie odpowiadam więcej.

Zygmunt zsunął się na poduszki i zamilkł, ale na-  
zajutrz wypatrzywszy chwilę, począł znowu:

— Elżusia przebaczy?

Nie było na to odpowiedzi.

W parę dni potem lekarz widząc znaczne polep-  
szenie, pozwolił wstać i nieco się przechadzać... Wi-  
dząc, że życia jest pewien a starań już niepotrzebuje,  
Elżusia zawołała stryja do bocznego pokoju.

— Kochany stryju, rzekła—powinieneś mi dopo-  
módz i od przykrego mnie obowiązku uwolnić.

— A cóż tam? co?

— Zygmunt jest zdrowszy, należy mu oznajmić,  
aby sobie mieszkania innego szukał.

— He? spytał stryj—a to po co?

— Bo ja go tu nie chcę mieć.

— A jakże będzie? zapytał znowu zdumiony p. Eli-  
gi, a po części zgorszony.

— Jak będzie?—niech sobie idzie czy jedzie gdzie  
mu się podoba... a my wrócinny do Wulki...

— A dalej?

— Ja zostanę przy rodzicach...

Eligi ręce obie podniósł do góry.

— Co tobie jest? a tożes go pielęgnowała, rozpa-  
dała się, ratowała... przebaczyła.

— Ja? przebaczyłam? kiedy? oburzyła się pani  
Zygmuntowa. Jam nie przebaczyła i nie przebaczę.



Spełniłam powinność chrześcijańską, tém większą, że człowiek ten był mężem moim... ale na tém koniec—tego dość. On moim mężem nie będzie.

Oślupiał pan Eligi...

— Pan mu to powiedz jak chcesz, dodała—ażeby coś z sobą myślał; a nie, to ja się ztąd wynoszę.

— Jakże ja mu to powiem?

— Tak jak ja to wam mówię...

Poskrobał się w głowę stary.

— Wpadłem dopiero w labety! zawołał — ołom wpadł! A! gdybym był mógł przeczuć to wyjeżdżając...

Ledwie tych słów domawiał, ręka pani Zygmuntovej sparła się na jego dłoniach.

— Dość, rzekła surowo — dość — niepotrzebą już nic.

I wyszła do pierwszej izby, w której Zygmunt siedział przy oknie.

— Doktor pozwolił się przechadzać, chociażby nawet po powietrzu, rzekła;—sądzę, że użyjesz swobody téj i zechcesz się przenieść na własne mieszkanie...

— Jakto? wypędzasz mnie?

— Wyjeżdżam...

— Dokądże?

— Do rodziców.

— Więc będziesz nieubłaganą? zawołał Zygmunt

— Nie potrzebujesz mnie waćpan błagać—odpowiedziała Elżusia;—jesteśmy sobie obcy—raz zdra-

dzona, wiarę straciłam, a ta się nie odzyskuje... Żyć z sobą nie będziemy, bo nie możemy. To moje słowo ostatnie...

Zygmuntowi z gniewem wróciła dawna żywość.

— Waćpani mnie wypędzasz to dobrze, zawołał... ale jakże sama do domu powrócisz?... Przecież kolebka moja? konie moje, ludzie m oi...

I rozśiniał się szydersko.

— To prawda—odparła zimno Elżusia—ale posag mój! gdzieś on przecie znaleźć się powinien. Tymczasem na rachunek jego powóz i konie wziąć mogę...

— Ani słowa—rzekł Zygmunt, nie chcąc jej przywodzić do większego gniewu.

Pomyślał chwilę.

— Zatem kiedy się main wynosić?

— Im prędzej, tém lepiej—rzekła Elżusia...

— Jutro?

Skinienicm głowy odpowiedziawszy tylko, wyszła do drugiego pokoju.

Zygmunt, którego skutkiem wzuszenia siły opuściły, położył się na łóżku; chciał dla okazania, że go to wszystko mało obchodzi, zaświstać piosenkę jakąś, lecz tchu mu zabrakło i kaszlać począł.

Tego dnia Elżusia się już niepokazała... Nnzajutrz zawoławszy Dzinbę, Zygmunt począł się niby do wyjazdu sposobić, sądząc jeszcze, że go w ostatniej chwili odwołają. Dowiedział się od stryja dopiero, iż Elżusia pojechała na cały dzień w okolicę... i nie wróci aż wieczorem. Rozdrażniony, doprowadzając

wszakże do skutku obietnicę, zabrał się razem z Dziembą i wyniósł z mieszkania.

Gdy się to stało, stryj pobiegł zaraz na codzienną schadzkę, dać o tém znać Borodziezowi i Trzasce. Ostatniego już tu nie zastał... bo znudzony wyjechał do domu. P. Gracyan tylko wierny służka, trwał na swém stanowisku.

— Wiesz asindziój co się stało? wiesz co się stało? zawołał stryj wpadając do winiarni. Zygmutusia już nie ma? Żona wczoraj abszyt dała!

— A wy? cóż z wami?

— *Practer propter*, o ile ja wiem—ruszamy pono do Wólki. Stałem podedrzwiami gdy roz mawiali... Wręcz mu objawiła — Ja z tobą żyć nie będę.— Upomniał się o powóz i konie, ona o posag! a dziś ruszył jak zmyty.

— Dokąd?

— Albo ja wiem. I pytam się ja asindzieja? dodał Eligi—po cóż go było chuchać, ratować, doktora płacić, bulioniki mu gotować, noce nie dosypiać—aby go potem na zieloną paszę puścić? He?

Borodziez ruszył ramionami.

— Teraz—rzekł—Eligi wszystko powraca *ad status quo ante bellum*... a cośmy się najedli biedy, to przy nas zostaje... Otoż to mospanie, baby! otoż to baby!

Machnęli obaj rękami, napili się wina...

— Aj! aj! westchnął stryj: z boku wyjęta kobieta bokiem wyłazi! Szczęśliwy jestem że się nie ożenił!

owoż panu winszuję, żeś niebezpieczeństwa uniknął! Żebyś teraz dostał się do brata do Wólki szczęśliwie — oho! drugi raz mnie żadna w podróż nie namówi. A toć panie jeszcze heroina, i zacna, i cnotliwa, i piękna, i dobra sobie niewiasta, a taka z nią bieda — powiedz mnie, cóżby to ze złą było?

Uśmiechnął się Borodziez.

— Mnie się zdaje — rzekł, wracając, *ad medias res* — że ja tu może potrzebny wam bardzo niejestem... należy mi do domu powracać!

— Jak sobie asindziej chcesz, a no — lepiej poczekaj nieco — rzeczy się wyklarują, jutro może inny wiatr zawiać. Zygmuśowi też bardzo dowierzać nie można, zły odchodził.

Tak się rozstali. Zygmus w istocie odszedł ze swoim Dziembą nie tak zły i gniewny, jak zdesperowany i smutny. Obrzydło mu było samemu życie, które wprzód prowadził; w czasie choroby myślał o prześląganiu Elżusi i o pocziwym, spokojnym żywocie na wsi... wdzięczny był żonie za jej dobroć i pieczołowitość czasu niebezpieczeństwa, odezwało się w nim dawne serce ku niej, żałował za grzechy... Zdawało się, że i ona także przebaczy i zapomni, widział nieraz pół przymkniętymi oczyma łzy na jej powiekach, smutek w jej rysach... był prawie pewien, iż wszystko zapomniane zostanie... teraz — wyrzucony i popchnięty, nie wiedział czego się chwycić. Błądził pierwszego dnia przechodząc się sparty na ramieniu Dziemby około Zwingru, gdy wśród

drzew nad sadzawką wesołe towarzystwo, do którego niedawno jeszcze należał, nastreczyło się jego oczom. Zygmuśowi wspomnieniem dawnych szarów serce się odezwało—a mimo to poczuł jakąś wzgardę dla tych jakby upojonych i nietrzeźwych ludzi—pierwszy raz jasno zobaczył, że połowa z nich pijana była życiem, a druga trzeźwa udawała nieprzytomność, aby zagłuszyć smutek, lub z wesela tamtych—korzystać. Między innemi szła wystrojona Duparc, która—był czas, zdawała mu się i piękną i rozkochaną w nim... Zwieszona na ręku młodego Flemminga, śmiała się suchym śmiechem, w którym fałsz przebrzmiewał—a po dniu zobaczył ją poczwarnie brzydką, po raz to pierwszy w życiu! Wszystko w niej jak ten śniech fałszem było i udaniem.

Z daleka już Duparc postrzegła Zygmunta i poznała, chciała nawet zawrócić, aby się z nim nie spotkać, lecz manewr na ciasnej uliczce byłby nazbyt widocznym... Szli więc tak naprzeciw siebie... Zygmunt się uśmiechał ironicznie. Niepodobny był dziś, wybladły, zniszczony, zesłabły, do owego pałającego młodziana, który zadziwiał wybrykami swemi wszystkimi... Kilka osób z grupy towarzyszącej baletniczce przyspieszyło kroku, aby rekonwalescenta a raczej zmarłychwstałego powitać... Duparc poglądała nań z zimną ciekawością. Bała się, ażeby natrętnie znów do niej nie przystał i Flemminga jej nie odpędził. Wiedziała że ten już nie ma nic... a tamten miał coś jeszcze...

Gdy się z sobą zmierzali, Duparc zawstydzona jakoś zatrzymała się.

— A! rzekła udając podziwienie — toście nie zabicil a myśiny po was już w kieliszki dzwonili, i odtańcowaliśmy po was *Requiem*, i odśpiewali... *Bonne nolle*. Co za niespodzianka!

Popatrzała nań.—Niepotrzebnieście wstawali zawcześniej, wyglądacie jeszcze jak do trumny... nie z was ludzie jak my zrobić nie mogą. Życzymy do łóżka... do łóżka...

W Zygmuncie zawrzało. Ja sam czuję, żem się do was dziś nie zdał—rzekł—i wierz mi, Duparc—czynisz na mnie wrażenie jakie robi potrawa temu co się jój najadł niepomomiernie...

To mówiąc odwrócił się i na Dziembie oparty poszedł dalej. Francuzka pięść pokazując mu odwróciła się:— *L'impertinent!* — Piętka bowiem dosadniej daleko wyraził się niż my tu tłómacząc myśl jego...

I to było ostatnie spotkanie Zygmunta z kobietą dla której szalał tak że jój swe szczęście, sławę i spokój poświęcił. Tém nudniejszym wydał mu się świat cały...—Gdybym trochę pozdrowiał, rzekł do Dziemby—jadę do domu, nie mam już tu co robić.

Ale, krom tego, że wyzdrowieć musiał, trzeba było Zygmunutowi myśleć o spłaceniu długów aby go z miasta wypuszczono. Na to nie widział prawie sposobu... Zawlokłszy się do izdebki swój, posłał zaraz po stryja Eligiego.

Stryj, którego poprosił grzecznie Julek, nie miał iść wielkiej ochoty, poszedł się więc spytać synowicy czy mu posłuchać każe. Elżusia powiedziała.—A idź stryju...przecież cię nie zje...

Posłuszny stary powlókł się z Dziembą. W ciemnej stancyjce, na łóżeczku wązkim, w betach, znalazł Zygmunta drzemiącego snem niezdrowym... Siadł przy rozbudzonym na drewnianym stołku.

— A co mi asindziej—każesz? spytał.

— Jedzicie do... Wólki? rzekł Zygmunt. Jejmość mi mówiła... Jedźcie sobie—mnie już nic do tego, jak ona powiada,—a no, i jabym do domu rad powrócił, a nie będę mógł.

— To czemu?

— Nie mam grosza, a długi są... Ha! co chcesz stryjaszku—przepraszam, że cię tak nazywam—młodość nie radość! Hulnęło się, trzeba za głupstwo zapłacić... grubo! grubo! bo i krwią się płaciło. Sasi mnie tu zamorzą, jeśli grosza nie będzie.

— A jak! grosza dostaniesz... to wiesz co zrobisz? ośmielił się szepnąć Eligi — he? Pójdiesz do tych djablie i będziesz hulał znowu?

— Hm! może to być! rzekł Zygmunt — ale widzisz stryjaszku na świecie tak nudno, że dalibóg temu dziwować się nie powinniście.—Więc cóż?

— Więc co? powtórzył stryj...

— Jakaż rada wasza? spytał Piętka, czy wreszcie tu na Frydrychsztacie położyć się na sen wiekuisty z kamieniem pod głową?

Ruszył ramionami stryj Eligi.—Albo ja wiem.

— No, to obadwaj niewiemy nie — trzeba ażeby ktoś trzeci nam powiedział coś—pani Elżbieta z Okónów Pienkowskich Piętkowa rady nam swój udzielić nie zechce...*tandem* co, ex-stryjaszku Eligi?

— *Tandem*, panie ex-synowcze—ja nie wiem; ale czegoż chciałeś odemnie?

— Oponujesz nie dosłuchawszy...

— Mileczę.

— Trzeba przecię, żeby mnie kto z niewoli téj nie babilońskiej, ale saskiej wykupił. Mam długi w Krakowie, mam długi tu... mam wszędzie, bo i na wiosce się znajdują... jest tego wcale przystojna sumka..

— A no—ja grosza złamanego nie mam... odezwał się stryj; a gdybym miał to bym go jegomości nie dał.

— Ja to wiem, dokończył Zygmus—jednakże ja tu z głodu umierać sobie nie życzę. Jejmość mnie nie chce?...

— Nie chce...

— Do domu wracać nie ma po co... Słuchajże ex-stryjaszku Eligi... Stary twój brat ma pieniądze... wiesz...

— A gdyby miał?

— Niechże sobie wioskę kupi... dam mu ją za co ocenicie... Macie tam ludzi ucziwych, to ten sam zbójca Borodziez, Mioduszewski... i były mój teść... ale—ale? jest tu Borodziez? przerwał.



— A no, jest... to co?

— No nic—wy bo ex-stryjaszku jesteście po troszę ciapu-grochem...

— E! e! porwał się Eligi—co to znowu!

— Siedź do końca i słuchaj.—Oceńcie wioskę, popłaćcie długi, dajcie mi resztę na rękę żywcem, i bywajcie zdrowi...

Eligi popatrzał na niego z podziwieniem.

— A tam ojciec asindzieja mieszkał i matka?

— Choćby i dziadek! co mi tam!—rzekł Zygmunt... Kupcie sobie wioskę—i bywajcie mi zdrowi...

— A asindzież co poczniesz?

— Ja? zaśmiał się irocznie przewracając w łóżku Zygmus—ja? Ja mam ex-kochany stryjaszku tysiące dróg przed sobą do wyboru... najprzód na ementarz na Frydrychsztacie... powtóre mogę wejść do baletu J. K. Mości, przetańcowałem przecie wioskę i żonę? hę?... potrzebie przyjmie mnie pruski król do wojska dla wzrostu... poczwarte, mogę lektyki nosić... i ubrać się kanarkowo co mi będzie do twarzy... popiąte...

— E! e! przerwał stryj—bo kpisz!

— Ale nie—wszystko to być może; zresztą co wam do tego, co zrobi z sobą Piętka... zabierzecie wioskę... jejmość się wyda za którego gacha... będzie żyła po katolicku, trzymając męża na łańcuszku... i dobrze!.. Stryj temi żarcikami czując się obrażony, powstał mnąc czapkę pod pachą.

— Więc po co żeś mnie asindziej tu wezwał? za-  
pytał.

— Abyście mnie wykupili a sobie wioskę wzięli.  
Sprzedajcie ją naostatek komu chcecie! Wszakci  
i jejmości posag się wam należy, dla tego samego  
musicie ją tradować—ja nie przeczę...

— Ja—dodał—jeśli mnie czarni nie wezmą z tego  
postrzału—kąt i robotę sobie znajdę... Bywaj zdrów  
ex-stryjaszku! To mówiąc odwrócił się na łóżku ple-  
cami do Eligiego, co stanowiło ostatnie niebardzo  
grzeczne pożegnanie... Eligi popatrział, plunął, ra-  
mionami ruszył i poszedł rzuciwszy drzwiami...

Już się na wschodki puścił, gdy Dziemba wybiegł  
za nim prosząc jeszcze do pana; stryj pomruczawszy  
wszedł...

Zygmunt leżał na łóżku jak wprzód, głowę tyl-  
ko odchylił na izbę.

— Mój ty ex-stryjaszku — odezwał się słodszy  
głosem — jak też mnie kochasz, bo nie wątpię że  
kochasz... przyszlój mi Borodzieza, powiedz mu, że  
mi to winien. Na całym świecie gdy kto komu strzeli  
tak w piersi, musi mu potem przyjsć winszować, że  
się wyskrobał... Powiedzieć mu że go prosił

Głową tylko kiwnął Eligi i poszedł tym razem nie  
zatrzymywany do Elżusi.—Niezupełnie wiernie, opo-  
wiedział jej jednak o co chodziło Zygmunтови.

Spytała:—A cóż on z sobą myśli zrobić?

— Plótk mi baje—kto spamięta! odpowiedział Eli-

gi,—chce pono tu służby wojskowej, albo w [Prusiech szukać. Plecie jak na mękaeh!...

Zamyśliła się Elżusia:—poszléjcież mu Borodzieza, a powiedzcie, żeby potém przyszedł do mnie.

Tego dnia wszakże Borodzieza nie znaleziono, dopiero nazajutrz gdy do winiarni przyszedł, powiedział mu stryj czego od niego żądano i że potém prosi go Elżusia do siebie. Uszczęśliwiony Gracyan wyrwał się zaraz pod Trębacza, aby co rychlój zobaczyć swoją królową.

Zygmusia znalazł w koszuli, wybladłego, schudzonego nad miską strawy brzydkiej (gęstwiny mięsa wieprzowego z włoszczyzną), kłapiącego łyżką po jadle, którego w gębę wziąć nie mógł. Dziemba też z nim z jednej misy jadł... nieprzebierając bardzo. Lepszego nie było za co kupić; szczęściem, że i to na kredyt dać chciano.

Gdy Borodziej wszedł, Piętka nie wstając podał mu rękę—uściskali się w milczeniu.

— Patrz Gracku mój — rzekł — jakie te bestye Niemcy rzeczy dają ludziom jeść, pod pretekstem że na kredyt lepszych nie mogą. U mnie wieprze wynysłniejszą strawą z osypką karmiono! Ani przełknąć! A no—co robić! nastał post po zapustach...

Odwrócił się ku niemu.

— Nielitościwieś mnie prześwidrował tą kulą, mówił dalej—jeszcze ją czuje jak przezemnie leciała... Zawsze to jednak była przyjacielska ręka—życia mi odrobina została... Wiesz — Garcku? ja może chyba

Kapucynem zostanę. Goły jestem, nikt mnie już nie chce... Broda wyrośnie, pacierzy się nauczę... a u Kapucynów choć przynajmniej stokfisz i piwo dobre... jak ci się zdaje?

— Mnie? mnie? odparł powoli cedząc słowa Borodziez—mnie się zdaje żebyś, najprzód poczekał aż wyzdrowiejesz zupełnie, to ci inna fantazyja powróci. Do Kapucynów zawsze czas, a nawet na starość broda ci lepiej rosnąć będzie.

— Ha! no, poczekam! Ale żart na stronę—odezwał się Zygmus obracając ku niemu. Przed wami sekretu ja nie mam, choć wy dalipan moją żonę daleko lepiej kochacie niż mnie—cóż robić? ja wam też przyjacielem byłem i jestem.

Podali sobie ręce.

— Czego chcesz odemnie? zapytał Borodziez.

— Prosiłem Eligiego, ale to safandula — odezwał się Zygmus—rozplacze się, rozmaże, pomodli i stehórzy, a nie nie robi. Mam długi, mam dużo długów. Jejmość ze mną żyć nie chce, posag jój potrzeba oddać. Tu mnie za gardło cisną ci Niemcy, trzeba się uwolnić, zatem wioska sprzedana być musi. Niech ją kupuje kto chce... Okonie czy inna jaka ryba, to mi wszystko jedno... a wolałbym, żeby Okonie, bo ja ich trochę jadłem... niech oni mnie też trochę zjedzą. Ot co, sprzedajcie mi wioskę, a przyszléjcie pieniądze, jeśli Boga kochacie! Ja tu z głodu zdechnę...

— Ale ty też! ofuknął Borodziez sięgając pod pas

i dobywając worka. — Maszci ot masz... z głodu nie umrzesz.

Zygmuntowi łzy stanęły w oczach.

— Bóg ci zapłać—a masz ty sam o czém do domu wrócić?

— Mam, mam, zawołał Borodziech — oddaj psom tę wieprzowinę z mydłem, a każ sobie coś ludzkiego przynieść, zaraz ci szpary odejdą! Hej Dziemba!

— A! stój, wara! — krzyknął Zygmunt — jakby Niemcy zwąchali, że mam grosz; toby mi go wycisnęli zaraz i zostałbym znowu na téj wieprzowinie z mydłem; pójdę ja jeść gdzieindziej, póki pieniądze nie nadpłyną, żebym długi pospłacał. Ale na miłość bożą — Borodziech, wioskę sprzedać! sprzedać! sprzedać! Jejmość zemnążyć nie chce, jabym też sam gdzieśmy z nią razem żyli, niepotrafił. Nie chcę! pójdę w świat! kat bierz wioskę...

Gadając tak chodził w koszuli po izbie. Patrząc nań, co się z tego ślicznego człowieka zrobiło, jak tylko na kościach skóra wisiała—Borodziech mało nie płakał.

— Zygmus kochany! bądź lepszéj myśli, nie desperuj. A! no, ciebie nie moja kula i nie ta nędzna sprawa do tego przywiodła, tylko desperacya. Nie godzi się, póki człek żyw, tracić nadziei.

— Jakiéj nadziei?—rozśmiał się Zygmunt... wołałbym dziś sztukęnięsa przerastała niż nadzieję—Co ty mi tam pleciesz!

Spuściwszy głowę Borodziech słuchał smutny...

— Otoż tak—dodał Zygmunt:—wioskę mi sprzedajcie; powiem, żeście mi byli przyjacielami. Ja wam wierzę jak bratu... dam wam plenipotencję jaką chcecie do sprzedaży, przed saskim harcapem... czy peruką... Co osądzicie, że warta, niech da kto chce... Długi popłacę... i...

Zamyślił się ponuro stanąwszy pośrodku izby.

— To tam reszta się potém obmyśli—dodał. Z łaski waszój będę miał co jeść póki mi nie przysłecie pieniędzy... długi popłacę—powtórzył.

— Ileż tam tych długów? spytał Borodziez.

— Ba! żebym to ja wiedział — rzekł Zygmunt—większa ich część po pijanemu się robiła, a zapisywać wydatki czy rachunki? od tego innuie pan Bóg strzegł. Tego nigdy w życiu we zwyczaju nie miałem—to niemiecka inwenecja!

— Przecież — *practer propter*? powtórzył Borodziez...

— *Practer propter* tyle że... Słuchaj Dziemba? jakżeś ty tu przybył, czy były długi?

— Zdaje mi się, że nie, boć były pieniądze—odezwał się Dziemba z kąta—

— Ale ba! pieniądze pożyczone!! a od tego czasu jak przybyłeś, co przyrosło? ty nie liczyłeś?...

Julek ramionami ruszył: — Nie liczyłem, zastałem tu pod Trębaczem, że konie żłoby gryzły, a chłopak płakał głodny... a potém... Były pieniądze u pana, i dopożyczały się, a mnie co do pańskich wydatków?...

— Któż tu teraz odgadnie co ja mam długów? rzekł Zygmunt. Jeden tylko sposób: gdy pieniądze przyjdą, każę przy bębnie ogłosić, kto ma kwitek niech się stawi...

— Ty bo wszystko w żarty obracasz... począł Borodziecz— a tu seryo trzeba pogadać... Moglibyśmy może długi popłacić, jabym waści wziął z sobą, i tam w miejscu sambyś się rozporządził jak chcesz...

— Do domu ja nie pojadę — noga moja tam nie postanie—zawołał Zygmunt. — Głupstwem to nazwięj—nie mogę patrzeć na to miejsce—nie miałbym siły... przenocować pod tym dachem... niemógłbym, bobym zdechł — nie! nie... Jedź ty i rób co żyw chcesz...

Przechadzając się ciągle, i pokaszlując, i spluwając czasem na podłogę... na której Borodziecz z przestachem krew zobaczył — Piętka poszedł do kąta gdzie stał Dziemba, pocałował go w czoło, wziął za ucho, i otworzywszy drzwi wyrzucił za próg. Wrócił potem do Borodziecza...

— Ej! słuchaj, Gracku... jeszcze mi zrób łaskę jedną a największą... wszystko ci daruję!... Mam kamień na piersi, zrzuć go z piersi mojej!

Pocałował go w policzki z obu stron.

— Gracku... będziesz mi ojcem i dobrodziejem...

— No cóż? no, mów a mówże! zerwał się Borodziecz.

— Wstyd a spowiadać się muszę... (uderzył się w piersi): E! tyś człek poczciwy zapłaczesz a nie

przeklniesz... Byłem podły uciekając z domu, słuchaj dobrze—leciałem jak pijany z passyi za tą czarownicą francuzką, która mi się dziś wydaje obrzydłą. Co ty chcesz! Dali mi napoju jakiegoś... Zwaryowałem. Dość żem brał dla niej com mógł, pieniądze... klejnoty... Słyszysz... ukradłem u żony w tym przystępie fiksacyi stary łańcuch z granatów. Cena może niewielka... ale pamiątka droga!... Popełniłem czyn, którym się brzydzę... Dałem go téj dyablicy... mnie go trzeba wykupić za co bądź! Każę go okadzić, omyć, poświęcić... a trzeba go żonie oddać.

— A jakże go dostać? jak? łamiąc dłonie wykrzyknął Borodziez.—Jam prosty człek, ja tego nie potrafię... ja do téj kobiety przystępu nie znajduję, i boję się, i brzydzę...

— To prawda! hm! Gdybym ją na ulicy spotkał z nim, zdarłbym z niej... A no, darowałem! nie godzi się... a odebrać go muszę! trzeba! Mogę umrzeć, nie chcę tego mieć na sumieniu. Borodziez, ratuj, błagam cię.

— Wiesz co—chmurno odparł Gracyan—to daremna, ja tego nie potrafię. Co mogę, na to się ofiaruję—ale taka sprawa... Zygmus kochany, jakże ty mnie możesz chcieć do tego użyć?

— A kogoż?

— Użyj żyda, babę, dyabła... ale mnie?

— To prawda, tyś uczciwy człowiek, tybys w to błoto nie dolazł! westchnął Zygmunt... Dajmy pokój..



To mówiąc, worek Borodzieza leżący na stole wziął w rękę. Ile tu tego jest? zapytał.

— Było sto pięćdziesiąt czerwonych złotych, coś się tam zjadło... ale ile, nie wiem.

— Policz że... dodał Zygmunt.

Wzięli się do liku...

— Sto trzydzieści zostało—trzeba ci kartkę dać? rzekł Piętka.

— Chybabyś mnie obrazić chciał—odparł Borodziez...

Uścisnęli się.

— O łańcuchu z granatów nie mówcie nikomu ponuro zawołał Zygmunt—ja go odzyszczę...

— A jak?

— To moja rzecz...

Rozprawiali jeszcze z godzinę... o mroku dopiero, obiecując wrócić nazajutrz, wyszedł Gracyan z raportem śpiesząc do jejmości... Smutno mu na duszy było po téj rozmowie.

Elżunia przyjęła go jak zawsze, poważnie a chłodno.

Borodziez, który oczu jéj i twarzy dość napatrzeć się nie mógł, korzystał ze zręczności, rozwlókł się, rozgadał, nie śmiał jednak nic wspomnieć o łańcuchu. To jedno zataił, bo się sam za Piętkę wstydził, a więcéj go już obarczać nie chciał.

— Więc wioskę swą chce koniecznie sprzedać, dokończył Gracyan — i plenipotencyę mi na to gotów dać.

— To ją waćpan weź—zawołała Elżusia,—lepij że ją uczciwy człek mieć będzie, niżby potem kto miał pochwycić, podszedłszy go... Jedź pan. Jutro zrobimy co będzie można.

Westchnęła Elżusia.

— Któż to wie—nieśmiało wybąknął Gracyan,—jeszcze państwo się pojednać możecie i żyć, i żyć szczęśliwie.

Elżusia obróciła się ku niemu.

— To pan mnie nie znasz? rzekła. Zygmunt mnie zdradził — przebaczyć nie mogę... poświęcił mnie com go kochała, com go wybrała, wierzyła, ulicznicy takiej... nigdy! Nie wraca miłość do serca, gdy raz ze łzami wypłynie...

Borodicz popatrzał na straszną kobietę i nie odezwał się słowa...

— Ale on — on bardzo nieszczęśliwy! szepnął cicho.

— I jam też nieszczęśliwa bardzo! odpowiedziała Elżusia.

Chwilę jeszcze zabawiwszy... a napróżno starając się weselszą rozpocząć rozmowę, zbywany milczeniem Borodicz się wyniósł — smutny za siebie i za Zygmunia...

Stryj go odprowadził aż na ulicę.

— Mówiłem asindziejowi... Herod-baba!... Dobranoc!... Gracyan pociągnął do domu.

---

Już zmierzczało gdy Borodziez wyszedł z pod Trębacza. Wyprawiony za drzwi Dziemba, widząc wychodzącego, natychmiast do pana powrócił. Zastał go gorączkowo przerzucającego ubranie w tłomokach...

— Żywo, Dziemba, po cyrulika, żeby mi brodę ogolił! na jedną nodze! żywo!...

Julek trochę się zatrzymał.

— Ej! panie — rzekł — pan chory... krwią plujesz....

— Co ci do tego czem ja pluję! ofuknął Zygmunt — idź mi po cyrulika — zaraz! — ani słowa!... Słyszysz!

Dziemba wybiegł. Tymczasem Piętka co najlepszy strój wydobyl z tłomoka i wszystko do ubrania przygotował...

Balwierz, który na dole miał golarnię, nadbiegł z miedniczką, ręcznikiem i wodą... Zapalono świeczkę, którą Dziembie trzymać przyszło. Zygmunt milczał ponuro... Ledwie uwolniony od balwierza... skoczył się ubierać... Dziemba mu pomagał, wzdychając ciągle.

— Ech! panie! panie mój! rzekł w końcu — mało co ducha w panu zostało... Kaszel coraz się wzmaga, gdzie teraz myśleć o zabawie i figlach. Jeszcze się panu gorzej serce zakrwawi, a doktor mówił...

— Idźże mi ty precz razem z doktorem! zakrzyczał Piętka gwałtownie, chowając worek Borodzieza do kieszeni. — Jak ty nie będziesz milczał...

Julek ręką machnął tylko...

— Ty jesteś tchórz... pamiętasz, jak mi tam dra-  
pnałeś z pod nóg Borodziezowi, zamiast coś go był  
powinien chwycić za nogi i obalić.

— Jeszcze znak od jego płażów noszę...

— Aleś tchórz, to i mnie zajęcym tchem chcesz  
zarazić—dość, milczeć i zamną w trop.

Choć trochę się chwiejąc na nogach, Piętka  
płaszczyk narzucił, wyszli. Milcząc tak powoli do-  
stali się na stary rynek. Było już ciemnowo i późno,  
bo ubieranie się przeciągnęło... Piętka zmierzał do do-  
mu, który Duparc zajmowała, i dokąd pierwszy raz  
Dziembę zwabiono... popatrzał w okna, znał dosko-  
nale obyczaj domowy, domyślił się, że tancerka mu-  
siała być u siebie, nie występując tego dnia w teatrze,  
i że niewiele osób u niej, bo tylko w kilku się oknach  
świeciło.

Z dawnych czasów pozostał mu znak, jakim się do  
drzwi zamkniętych dobijać było trzeba, aby być  
wpuszczonym. Tylko wtajemniczeni posiadali tego  
Szczamu wiadomość.—Trzy razy żywo, czwarty nieco  
później zastukał do bramy... Po chwili otworzono  
mu ją...

— Ty, Dziemba, staniesz mi u wrot na strażypóki  
nie wyjdę, szepnął mu... a—nie śpij.

Szybkiem krokiem, o ile osłabienie dozwalało,  
wszedł na wschody Zygmunt, otworzył drzwi sali,  
w której paliło się kilka świec — nikogo w niej nie  
było. Głosy dochodziły go z gabinetu, na prawo. Na

stukot otwierających się drzwi przełękłona nieco okazała się blada twarz panny Duparc—wylekła się jeszcze bardziej i oburącz za drzwi chwyciła postrzegłszy Piętkę, który od choroby i wzruszenia jak trup wyglądał. Oczy mu tylko na białej twarzy płonęły gorączką...

Duparc niewiedziała co począć... zwróciła się nazad do gabiny tu, którego drzwi chciała zatrzasać potem wbiegła do pierwszego pokoju, zagniewana i zaperzona.

— Ale któż tak ludzi nachodzi! zawołała... Przecieśmy się pożegnali z panem, raz na zawsze!

Zygmunt z wielkim wysiłkiem zdobył się na uśmiech... rękę trzymając w kieszeni brzęknął złotem, które w niej trzymał.

— Moja droga Duparc! rzekł błagając—darujże mi! zinienilo się moje położenie... Paktol mi wczoraj wpłynął do kieszeni, a z kimże go dzielić, jeśli nie z tobą... Bez ciebie nie ma zabawy, radości nie ma! życia nie ma....

Niedowierzająco jakoś patrzała nań Francuzka. Brząkał ciągle złotem, i dobywszy garść, na dłoni wyciągnął je przeciw światła...

— E! zapomnijmy o wszystkim zawołał.—*Soyons bons amis comme jadis...* Kogoż tam masz w gabinecie? ja nie jestem zazdrosny...

Ruszył ramionami...

— Zupełnie zazdrosny nie jestem! Bylem mógł się

wesołego twego szczebiotania nasłuchać... — Któż tam jest w gabinecie?

Duparc zręcznie się ndobruchała.

— To... ten młokos natrętny, szepnęła cicho... ten Fleming...

— Cóż on mnie przeszkadza?... Zjemy sobie wieczerzę we trojgu... a wszakże która z twoich przyjść musi... *Fanchonette*...

Francuzka się wahała... Zygmunt rękę jój podał.

— Bez gniewu zawołał — myśmy starzy znajomi... przyjaciele...

— Ten młokos! taki zaz drosny, poczęła cicho ruszając ramionami Duparc, i odprowadziła ku drzwiom. Udaj, że wychodzisz... proszę... wiesz drzwi gabinetu... odpocznij tam... za godzinę będziemy sami, przyjdzie Fifina tylko i Laroche. Wieczerzę zjemy razem... lecz młokosa odprawić muszę...

Zygmunt począł się niby żegnać, a Francuzka odprawiać go głośno i niecierpliwie... Wyszedł wreszcie zamykając drzwi za sobą... i tuż wsunął się do znajomego gabinetu. Jedna lampa w alabastrowém naczyniu oświecała ten kątek cały ałtarem wybity i sofami okolony... Zygmunt położył się i wyciągnął bez ceremonii... czując potrzebę spoczynku.

W pół godziny może weszła na palcach Fifina... Była to jedna z tancerek panny Duparc: wdziękami, aztuką i sławą niżej daleko od niej stojąca, istota tęskniąca do swój wioski, wciągnięta w życie, które

chwilami upojeniem, chwilami było zgryzotą i męczarnią. Coś litościwego i dobrego kryło się pod niepozorną tą postacią, której brakło uroku i zręczności... Zygmunt się zerwał. Fifina przestraszyła... lecz poznała go prędko. Położył palec na ustach.

— Co pan tu robisz? A! ja nieszczęśliwa! jak okropnie wyglądasz...

— Jakże chcesz?—uśmiechnął się Zygmunt—inaczej wyglądać nie mogą ci, co z grobu wychodzą.

— Duparc ma gościa! ona... was przyjąć nie może.

— O! bądź spokojna... widziałem ją i otrzymałem pozwolenie... oczekiwania na Jój Królewską Mość.

Fifina spojrzała na bladego, biednego i z trudnością oddychającego przybysza... pokręciła głową.

— Biedny człowiek! szepnęła... Ale po cóż wracasz do tego... piekła?

— Masz słuszość! tak! Fifino...—lecz... lecz musiałem...

Spojrzał na nią: dziewczynie łzy kręciły się w oczach, ocierała je fartuszkiem.

— Prawda — rzekł żywo — litujesz się nademną, lecz gdybyś wiedziała... co mnie tu sprowadza, krwawaby ci łza pociekła.

— A wiedzieć tego nie mogą? z trochę kobiecej ciekawości siadając przy nim szepnęła Fifina...

— Tyś dobre dziecko—rzekł Zygmunt — pomóż mi, pomóż... a będziesz wiedziała wszystko.

— Lecz czy ja pomódz wam mogę?

— A! pewnie.—Zygmunt wziął ją za rękę—i ściśnął—Fifina zadrżała.

— Coż to jest?

— Tyś dobre dziecko! powtórzył Piętka... ty znasz Duparc... ty wiesz jak trafić do jój głowy... bo—do serca drogi nie ma, gdzie samego nie ma serca... Fifino pomożesz mi?

— To coś okropnego?

— A! nic! nic... lecz dla mnie idzie o życie lub śmierć... Znasz ten łańcuch z granatów, który jój dałem przybywszy? Jam go ukradł u żony... muszę go odzyskać, lub gorzej będę niż złodziejem... Na tym łańcuchu wisi życie moje? Jak go odzyskać? jak? mów!

Fifina patrzała mu w oczy prawie przeleżała gwałtownością z jaką to mówił. Piętka przykląkł przed nią:

— Poradź mi! pomóż mi.

Dziewczę oczy sobie zakryło dłońmi... zamyśłone.

— Jak go odzyskać? Duparc przywiązuje cenę do niego. Jest starożytny i piękny. Sam król widząc go na niej pochwalił—nie pozbędzie go tak łatwo!!

— Na coby go zamieniła? mów! pomyśl wołał Zygmunt — czego ona teraz chce? o czém marzy? Duparc ma fantazyje ma dziwactwa. Rzuca to dziś za czém wczoraj przepadała...

Fifina wstała i zaczęła się zadumana przechadzać po gabinecie.



— Nie nie wiem! nie mi na myśl nie przychodzi... czekajmy jój! może się zręczność nadarzy... ja z serca pomogę...

To mówiąc wymknęła się szybko, dając znak Zygmunтови, aby na miejscu pozostał. Posłyszała ona wprzód od niego, że Flemming żegnał się czule i wychodził...

Przededrzwiami gabinetu dochodziły wyrazy, któremi Duparc tłumaczyła mu się, że potrzebuje wczesnego spoczynku.

— Nie uwierzysz... głowa... straszliwie boli mnie głowa... muszę się położyć... bo jutro całych sił mych teatr wymaga... To *pas*, które tańczą tak trudne...

Szept młodego chłopca, śmiech, potem jeszcze słów kilka urwanych, i Fleming zaczął schodzić na dół... Brama otworzyła się i zamknęła za nim... Dopiero gdy był już na ulicy, Duparc zapukała do drzwi gabinetu...

— Wyjdźże nieszczęśliwy więźniu — zawołała ze śmiechem — *nous allons souper*. W téjże chwili zjawiała się Fifina... a za nią szedł Laroche, domowy przyjaciel panny Duparc, który zwykle za brata jój uchodził. Do wieczery zawnazę było gotowe wszystko... Zygmunt wychodząc z kryjówki, musiał znów udawać wesołość.

Gdy go Laroche przy świetle zobaczył, przełakł się.

— Cóż to jest! zawołał... tobie nie na wieczery

ić, ale do łóżka potrzeba!... Musieli ci dobrze krwi utoczyć.

— A, jesteś niegrzeczny jak zwierciadło! przerwał mu Zygmunt. — To właśnie powód, dla którego ja teraz przez cały dzień jeść i pić muszę...

Duparc zaczęła się trzpiotać około niego, przyspieszając wieczerzę. Niekiedy nańspoglądała ukradkiem i zdawała się przerażona widokiem tego trupa mającego zasiąść do wieczerzy.

Zasiedli wszyscy... rozmowa ożywiać się zaczęła... Piętka choć mu lekarz zakazał trunku, nalał sobie szklankę wina, potrzebował przytomności, dowcipu, siły, której nie czuł w sobie... Duparc piła, ażeby się nie lękać współbiesiadnika. Laroche pił bo bardzo wino lubił... Fifina nie tykała inaczéj szklanki jak na pół zmieszawszy z wodą.

Podano bażanta, którego Flemming przysłał z rana.

— Zjemy tego Flemminga! zaśmiała się Fifina, spoglądając znacząco na Duparc...

— Dla czego ty to mówisz w liczbie mnogiej?— przerwała gospodyni—mnie się zdaje, że ja mu podołam sama.

— A! pieczonemu! może! ale żywemu? któż to wie? Wiesz Duparc... takich młodziuchnych bażantów ty nie umiesz jakoś przyswoić...

— A! czyś ty zręczniejsza odemnie?

— Kto to wie?

Nie zważano wcale na Zygmunta, o którym obie panie wiedziały, że się nie formalizował.

— Żartujesz Fifino—mówiła Duparc popatrzawszy na nią—młodziak za mną szaleje!

— Za tobą! doskonale! i rozśmiała się Fifina — a gdybym ja ośmieliła się utrzymywać toż samo?

— Tobys kłamała, kochana Fifino...

Dziewczę ramiona białe podniosło...

— A gdybym miała—dowody!

Duparc zerwała się rozplomieniona, odsuwając krzesło.

— Ty mnie chcesz do passyi przyprowadzić twe-  
mi żartami.

— Cicho! cicho... schwyciwszy ją za rękę poczęła Fifina—mówię to przez życzliwość dla ciebie... a za-  
tém cierpliwości, i pomówmy na seryo.

Laroche, który rozma wiał z Piętką, wtrącił się do rozmowy.

— Fifina dziś do poznania się emancypowała...

— Na każdego przychodzi godzina... odparło dziewczę... No, pijmy! jedzmy... a ja wam powiem bajkę o bażancie...

Wszystkich oczy obróciły się na nią.

— Duparc—nie prawdaż?—przysięgłaby, że młody Flemming za nią przepada... a przecież... ja go jedném palca skinieniem odebrać jój mogę.

To mówiąc schyliła się do ucha zaczerwienionój z gniewu i zadziwienia, poczęła coś szeptać śmiejąc się, dobyła z za gorsu karteczkę, przesunęła ją

przed jój oczyma, i klaskając w ręce wróciła na swe miejsce...

Duparc była rozpromieniona... Laroche przysłuchiwał się ciekawie usiłując odgadnąć o co chodziło .. Piętka śledził każdy ruch Fifiny i słowo, przeczuwając, że ona może coś na jego korzyść uczynić.

— A cóż? a cóż? poczęło dziewczę—nie prawdaż, że pani moja w srogiem niebezpieczeństwie? Otóż tak—dodała podpierając się pod boki—jestem wspa-  
niałomyślna—co mi dasz—a zrzekę się go dla ciebie... Oddam ci całego—*pieuds et poings liés*... Co mi dasz?

— Sprzedasz mi go? zapytała Duparc.

— Może—albo przehaudlnię...

— Co chcesz za niego? zawołała stara tancerka... no? targujmy się?

— Mogłoby to być... doprawdy bardzo drogo! odparła Fifina.—Sama uważaj, taki młody, taki głu-ptasek, co to z niego wyciągnąć można?

— Nigdy nie sądził—rzekł Laroche dolewając wina sobie i Zygmuntowi—żeby ta Fifina taka była mądra...

— Widzisz! rozśmiało się dziewczę...

— Mów co chcesz? powtórzyła Duparc...

— Powiadam ci mogłabym zażądać bardzo wiele... Naprzykład serwisu porcelanowego, który masz od króla... srebra, które ci młody Brühl darował.

— A! bezwstydna doprawdy!

— Tak, mogłabym nawet żądać obojga... i tegoby

nie było za wiele,.. ty mu piękniejszych piórek uskubiesz, temu bażantowi złotemu! Babka ich dostarczy.. ale ja mam fantazyę—dam ci go tanięj.

— Za co? za co? spytała Duparc.

— Głośno powiedzieć nie mogę — poczęła Fifina

— Mów na ucho...

Dziewczę pochyliło się ku niej, a okiem pobiegło ku Zygmunтови, jakby mu chciało dać znać, że się jego sprawa toczy. Duparc rozśmiała się i ruszyła ramionami.

— Nie mogę, rzekła; wybierz co innego...

— Ja czego innego nie chcę! — *c'est à prendre ou à laisser?* Daję ci kwadrans czasu do namysłu...

Tanecznica obejrzała się w koło, wzrok jęj padł na Zygmunta, który szczęściem wesolą rozmową bawił Larochea, szydząc z ostatniego pojedynku. Może jakieś podejrzenie miała—lecz to się rozwiało zaraz, zwróciła się do Fifiny.

— Ale mi oddasz karteczkę?

— W zamian za to... com mówiła i—jutro jadę do Lipska... jeśli chcesz! a po jutrze, będę na drodze do Brukselli...

Jeszcze się namyslała Duparc, gdy Laroche trącił ją ręką i szepnął:

— Trzeba się jęj pozbyć bądź co bądź; zaczyna być nadto przebiegłą...

Obie kobiety spojrzały na siebie i wstały od stołu.

— Przepraszam... wracam w tęg chwili — skacząc

i podrygując szepnęła Duparc. Jedźcie panowie i pijcie za czworo...

Pozostali jednak Laroche i Zygmunt, ani do jedzenia ani do picia nie mieli ochoty. — Pierwszy z nich zajmując stę interesami panny Duparc, podrażniony się czuł tym targiem i wymaganiami, drugi niespokojny czekał — na czém się to skończy. Domyslał się, że Fifina zażądała łańcucha granatów, a nie wiedział co od niego zań wymagać będzie. Nawykły w tém towarzystwie do cynicznego zdzierstwa, liczył już z góry — czy mu starczy na opłatę Fifinie.

Po chwili kobiety wróciły obie, Fifina miała na szyi ów klejnot, który Zygmunt tak odzyskać pragnął. Duparc szła trochę skłopotana.

— Pan mi tego za złe nie weźmiesz, zawołała do Zygmunta... żem musiała jego podarkiem zaspokoić tę utrapioną Fifinę... prawda? Ja o panu i bez tego pamiętać będę...

— Témbardziej ci tego za złe nie poczyta, przerwało dziewczę, zdejmując z szyi łańcuch i podając go Zygmunтови — że ja... powracam mu jego własność!

Duparc pochyliła się na stół z okrzykiem wielkim.

— A toż co?

— Fantazyja! uśmiechnęła się Fifina — mam takie dziwactwa.

Z oczu Piętki, który łańcuch pochwycił, błysnęła

taka radość, iż Duparc musiała się podstępny domyślić, i groźnie spojrzała na oboje.

— Fifino—zawołał Zygmunt, nie mam wyrazów na wypowiedzenie ci mojej wdzięczności... ale nie-słusznie, szkaradnie by było, gdybym przyjął od ciebie tę ofiarę... Mów! oceń! żądaj co chcesz ode-mnie...

Dziewczęciu rumieniec okrył twarz i oczy się za-iskrzyły.

— Wszakżem ci łańcuch darowała! rzekła... nie wezmę zań złamanego szeląga... Chcę, byś wyniósł ztąd wspomnienie, że... że i taneczniczki czasem mają odrobinę serca i litości.

Laroche i Duparc znacząco spojrzeli na siebie.

— Gra rolę wielkiej pani Fifina! rozśmiał się Francuz.

Zygmunt nie mogąc wytrwać w miejscu, wstał z krzesła i pośpieszył do zarumienionej dziewczyny; ujął ją za ręce drżące.

— Niemam nic, co bym ci mógł dać w zamian — rzekł wzruszony;—ale jutro —jutro przyniosę ci jaką drobnostkę, abyś twój dobry uczynek, spojrzawszy na nią, mogła pamiętać.

Fifina miała w oczach łzy, wzięła kieliszek ze stołu.

— Za zdrowie wasze! rzekła drżąc — i wypila.

— Do jutra, droga i pocziwa Fifino! odparł Zygmunt—do jutra, przyjdę ci podziękować.

— Ale to nader dramatyczne i sentymentalne!

rozśmiała się Duparc. — Laroche, kłaśnięjmy aktorom...

Śmiejąc się sucho, klasnęli w dłonie. Zygmunt czy skutkiem wypitego wina, czy wzruszenia, zakaszał mocno, pochwycił chustkę, przyłożył ją do ust, i mimo że się starał ukryć, postrzegli wszyscy krew, która mu się rzuciła.

Fifina spojrzała nań z politowaniem.

— Idź do domu—rzekła—idź i spocznij... chory jesteś...

— A! nie! udając wesołość odparł Piętka, to zbyt życia zemnie ucieka...

Wziął jednak kapelusz, bo już tu nie miał co robić.

— Tyin razem, rzekł do Duparc—zdaje mi się że pożegnam was ostatecznie... Nicch się szczęści jak najdłużej... dla mnie tu nie zdrowo... a wam ze mną nie raźnie.. A zatem wesela i powodzenia...

Skłonił się wszystkim...

— *Sans rancune!* szepnęła Duparc trochę zmieszana.

Fifina odprowadziła go do drzwi ostatnich... Idź, idź—szepnęła—jestem szczęśliwa że cię przekonać mogła, że nie wszyscy płoszą ludzi są złemi. Są między nimi i tacy biedni jak ja, co noszę nieużyteczne serce... a lzy w śmiechu połykać muszę.

— Z tobą do zobaczenia, Fifino—dodał Zygmunt—czuję, że los ci za mnie odpłaci.

Domawiając tych słów, poczuł znowu Piętka smak krwi w ustach i pożegnawszy ścisnięciem ręki sto-



jąca w progu, zszedł powoli do Dziemby, który pod bramą stojąc posłuszny, śnił i drzemał...

Wróciwszy pod Trębacza Zygmunt obejrzał swą zdobycz i tchnął swobodniej... zawinał ją w czystą chustkę, obwiązał, opieczetował i siadł pisać — nie chcąc sam żonie odnosić łańcucha.

Godzina jeszcze zbiegła nim nienawykły do pióra... krótki list po myśli swój potrafił ułożyć. Brzmiał on jak następuje:

Mnie wielce miłościwa pani a dobrodziejko!

Z grzechów moich ani się tłumaczyć ni uniewinniać nie będę—krewkość ludzka, ułomność—jedyną obroną. Na poprawę bodaj czy już czasu stanie, a no dopókim żyw, co będę mógł uczynię, bym winy które w części zmazane być mogą — wynagrodził. Na spowiedzi nakazuje się kradzionych rzeczy restytucya—ja sam się przed sobą spowiadając nakazałem też zwrot pamiątki, którą w chwili odurzenia pochwyciłem. Odsyłam łańcuch, a dołączam prośbę, aby mi przebaczonem było, że się po świecie błąkał jak ja, z tą różnicą, iż on z téj podróży wyszedł cały, ja zaś poszczerbionym i t. d.

Nazajutrz rano Dziemba z listem i łańcuchem wyprowadzony został do jejmości. Zastał, że się tam pakowano powoli do drogi... Elżusia odczytała pismo —i przyjęła posyłkę nie mówiąc z razu słowa... a że Dziemba uparcie się choćby pokwitowania dopominał, przywołała stryja Eligiego i prosiła go, ażeby za nią kilka słów poświadczających odbiór napisał... Stryj

siadł do téj pracy, którą w wielce urzędowój formie, nie mało się namozoliwszy zredagował: „Dnia — miesiąca roku... niżej na podpisie wyrażony przez JM. Panią Elżbietę z Okoniów Pienkowskich Piętkowę, ku temu upoważniony, w imieniu jéj, a w jej prezeneyi, niniejszém poświadczam, jako w dniu dzisiejszym odebrała do rąk swych staroświecki łańcuch z granatów, czasowo w posiadaniu pana Zygmunta Piętki Oczkowicza będący, i przez niego za pośrednictwem JM. Pana Juliana Dziemby zwrócony. Co własnoręcznym podpisem stwierdzam. Datum supra — w mieście stołeczném Saksonii Dreźnie. Eligi Okoń Pienkowski. m. p.

Dobywał już sygnetu by pieczęć przyłożyć pan Eligi, gdy niedostatek laku i nieświadomość gdzieby go w tém mieście poszukiwać należało i co zań dać aby nie przepłacić — ostatnią tę formalność zaniechać zniewoliła. — Dziemba dostawszy kartkę, a od pani Piętkowój talara, którego ofiarę za niepotrzebną uważał p. Eligi — ukłonił się i wrócił do gospody... Zastał tu Borodzieza.

Zygmus rzucił się na kartkę, coś na niéj więcéj nad prosty kwit znaleźć się spodziewając, a przynajmniej rękę żony — zobaczywszy pana Eligiego pokwitowanie rzucił je w kąt za łóżko. Borodziez który każdy ruch jego śledził, postrzegł zmianę w twarzy i po śmiertelnéj bladości, wytryskujący rumieniec, mowy jednak o niczem nie było.

— Tandem, spoglądając mu w oczy kończył przerwana rozmowę gość—czem wam służyć mogę?

— Niczém inném na teraz — odparł Zygmunt, tylko sprzedają wioski jak najprędszą.—Ja tam nie mam co robić... ani poco jechać... Zostanę tu i... będę sobie kaszlał.

— Na kaszel to ja sam niewiem czy lepiej tu czy u nas—odezwał się Gracyan, ale dla świętego spokoju życzyłbym ci samemu do domu zjechać...

— Mnie ztąd niepuszczą nawet mówił Piętka— a gdyby, jakim cudem—otworzyli rogiatkę, mówiłem ci że tam ani być ani żyć już niepotrafię. Dajcie mi tedy święty spokój... a długi.

— Przecież ich tam milionów niema? dołożył Gracyan —tysiąc, dwa tysiące talarów...

— Pewnie więcej rzekł—Piętka.

— No, to trzy...

— Powiadam ci że niewiem... trzeba by kogo wziąć do liku i dalej, a potem szukać drugiego coby za mnie płacił, a trzeciego coby mnie strawne dał i na drogę... a czwartego coby w kark dawszy popchnął.

— Ja bym może starczył za tych wszystkich czterech—rzekł Borodziez. z tém, że zamiast w kark dać, wziąłbym cię pod rękę.

— Ale zkąd że ci to taka czułość dla mnie się wzięła? zaśmiał się Piętka—że moją ex-żonę kochałeś to wiem, a żeby to miało ku mnie miłość obudzić,

wątpię—chyba myślisz, że ci rychło ustąpię. A no, to może był

— Dajże ty pokój drwinom, oburzył się Borodziez — żał mi cię—a do tego przecież postrzelony przezemnie, masz prawo bym ci się wysługiwał.

— To prawda szepnął Zygmunt, jak kto zabije zająca, to go pod sercem do domu niesie. Ale daj ty mnie pokój z namięnością do podróży. Dla mnie to niezdrowa rzecz.

— A cóż tu będziesz robił? he? spytał Gracyan, znowu za temi dyablicami się włóczyć? Do kapucynów tu nie wstąpisz, bo ich na lekarstwo w całej Saksonii niema... do wojska ci też nie pora... z tym nieustannym kaszlem... kto cię tu będzie pielęgnował?

Zygmus chodził ciągle po izbie i dumał.

— Ale nie—nie! rzekł jakby sam do siebie — na wieś ci tam nie pojedę — zdechłbym, powiadam ci, z samego żalu nad własnem głupstwem mojem.

— To jedź zemną do Krakowa...

— Po co, żeby tam zdechnąć!

— A no lepiej dalipan niż tu—przerwał zniecierpliwiony Borodziez; przynajmniej kości oddasz tej ziemi co ci ich dała... Tu na Frydrychszacie co wiosna słyszę woda po nieboszczyków przychodzi, a choćby ich nie zabierała... w wilgoci takiej spać niezdrowo.

Piętka począł się śmiać.

— Że ty Gracku, takie mi rzeczy prawisz, zawo-

łał — to już koniec świata. A to też prawda że tubym leżeć sobie nie życzył, przyjdzie na sąd ostateczny wstawać, nie będzie kogo spytać o drogę na Józefatową dolinę i same niemcy... nie rozmówię się z nimi i mogę wprost pójść do piekła... żeby się z wilgoci osuszyć!

Śmieli się już oba...—Atł dodał Borodziez jedź ze mną i powszystkiemu, wioskę sprzedasz jeśli chcesz—i co dalej będzie obmyślemy.

— A no, długi? których poczet długi — zawołał Zygmunt, mnie oni niewypuszczają ztąd...

— To moja rzecz—ja trochę grosza mam, bąknął przyjaciel cicho—jakoś się to połata. Jedziesz?

— Wież mnie kiedy chcesz... Cóż z tobą robić—ale nie do domu! nie do Krakowa... wino węgierskie dobre... napijemy się do ostatniej z wiurów poduszki...

W ten sposób Borodziez wyrobił nareszcie na nin obietnicę wyjazdu po spłaceniu długów, których obrachunkiem natychmiast zająć się było potrzeba. Nie było to łatwo, gdyż Piętka dawał kwitki nie zawsze czytając co podpisuje, a lichwiarze z tego korzystali. —Gdy do rachunków przyszło... okazały się należności znaczne... ale wziawszy sobie Niemca do pomocy, Borodziez zręczny przedstawił wierzycielom, że Piętka krwią pluł, a gdyby zmarł, nierychłoby do swego przyszedł, że majątek był odłożony, daleko, a bez procesu kosztownego się nie obejdzie. Ponieważ i gospodarz z pod Trębacza świadczył o cho-

robie, a twarz o niej najlepiej powiedziała—zmiękli wierzyciele i przystąpili do układów. Borodziez zapasne pieniądze miał: płacił talarami i obrączkowém złotem. Gotówka ta wymownie doserc przemawiała... Zygmunt do niczego się nie mnięszął, patrzył sobie zdaleka i drwił z niemiuszków... Drugiego dnia Dziemba oznajmić przyszedł, że w gospodzie już jejności nie było, gdyż ze stryjem Eligim *summo mane* wyruszyła, o czém nawet Borodziez nie wiedział, pociągnął za nią i Wojewoda z karłami...

Wierzyciele jednak nie mogli być tak rychło pozaspokajani, a kłopotu było z niemi podostatkiem, musiano parę dni posiedzieć jeszcze... Zygmunt kupiwszy nie brzydki wcale naszyjnik także z granatów, zawiózł go Fifińie i pożegnał ją jak dobrą siostrę... widząc jak nad nim płakała... i jego kaszlem się trwożyła... Resztę czasu leżał lub chodził po izdebce, do niczego wielkiej nieokazując ochoty. Milczący był, a jeśli usta otworzył, nielitościwie szyderski. Dziemba takie nauki dawał, że byłoby się chłopcu żyć całkiem odcieciało. gdyby je brał na soryo... Naostatek Borodziez niemało się napociwszy, i spisawszy ogromną cedulę *summ*, które popłacił... w której ze czterdzieści razy, *ytem*... stało, za najobsobliwsze kupna i sprawunki... odetchnął oznajmując że wszystko zregulowane było, i że jechać mogą.

— Wieżże mnie, jak wola i łaska, rzekł Piętka — tylko pozwól, ażebym na wyjezdnie jeszcze jeden święty dług oddał...

— Komu? czyż jeszcze? strwożony zawołał Borodziez.

— El! to nie! ja go sam i to pięścią zapłacę, dodał Zygmunt — należy się bowiem gospodarzowi z pod Trębacza pamiątka, karmił mnie w czasie przednow-  
kn śmierdzącą świniną, bestya... tego mu darować nie mogę...

Ostatnią tę należność na wyjeźdném sumiennie oddawszy kłaniającemu się Niemcowi, Piętka siadł z Borodziezem na wóz i pożegnał niefortunne miasto, w którym pono życie całe w kilku miesiącach wyszafował... Byli na moście, gdy spotkali jakby namiętnie w téjże godzinie wyruszającą tamże całą kompanią francuzkich skoczków na jarmark do Lipska. Duparc po dniu wyglądała na harpię, a Fifina na pocziwą dziewczkę folwarczną... Laroche i jego towarzysze na komedyantów Scarron'a... Postrzegłszy Piętkę, Duparc pokazała mu koniec języka... Fifina pozdrowiła go od ust, Francuzi przypatrywali się niezwykłym zaprzęgom i strojom towarzyszków Zygmunta... Jakiś czas jechali obok, potem drogi rozeszły się jedna w prawo, druga w lewo... Piętka już się nawet nie odwrócił... Jechał chmurny a milczący, co mu się trafiało rzadko, pokaszliwał tylko i niekiedy czuł w ustach smak krwi, która za najmniejszym wzruszeniem i znużeniem na nowo się pokazywała. Borodziez miał dosyć kłopotu z przewiezieniem go do Krakowa, kilka razy w drodze stawać z nim będąc zmuszony, bo sam widział, że Piętce po-

droż nie służyła i spoczynku potrzebował. Przeciągnęło się to dosyć długo, i pierwszych dni jesieni dopiero stanęli w eichéj, dawnéj stolicy, dosyć pustyj i wyludnionéj. — Na Zygmunta już sam widok tych miejsc, które mu przypominały jego wyjazd i dawne życie, przykre widocznie czynił wrażenie. Zaledwie przybywszy położyć się musiał—a że Borodziez do domu śpieszył, pozostał tu sam z Dziembą, w stanie zdrowia o wiele gorszym niż był wyjechał. Lekarz, którego przywołano, radził spoczynek i przepisał gorzki napój jakiś, którego Piętka pokosztowawszy używać nie chciał.—Znaleźli się starzy znajomi, mógł się więc cokolwiek rozerwać, ale od wszystkich mikał. Całe dni siedział na stołku w oknie i na przechodzących poglądał... albo na Dziembę gderał. Tak zmienionego do niepoznania—porzucił Borodziez z żalem, śpiesząc do swojego gospodarstwa i wioząc pełnomocnictwo do sprzedaży... Szczęśliwie stanąwszy w miejscu, chciał zaraz wywiedziawszy się o użątku i stratach, jakie poniósł, jechać do Mioduszewskiego, gdy ten, napytawszy od ludzi że powrócił—sam konno do niego przybiegł.

Uściskali się w progu.

— Ot toście tam piwa nawarzyli? zawołał Mioduszewski...

— Czyż ja? odparł Gracyan... Com zrobił, tom musiał.—Gdzież jejmość, czy w domu?

— Jako żywol pojechała wprost do rodziców, nie chcąc progu przestąpić nawet, zawołał Mioduszewski.



— Piętka też nie myśli wracać—a wieś na sprzedaż...

— Kto ją teraz kupi!

Jęli tedy rozmawiać długo, bo było o czém, a Mioduszewski wzdychał tylko nad losem nieszczęśliwego domu.

— Myślicie, że się nie pogodzą? spytał w końcu.

— Bardzo wątpię, żeby do tego przyszło... a przynajmniej się nie zanosi — rzekł prędko Borodziez. Koło Zygmunta źle...

Namyśliwszy się niedługo ruszył Gracyan do jejmości do państwa Okoniów, kędy ją miał zastać. W istocie w ganku zapytawszy o nią, dowiedział się, że była od dni kilku... Stryj Eligi przybywszy, zwolniony od ciężkich obowiązków opiekuna przy synowicy, wylegiwał się w swém mieszkaniu, opowiadając kto się mu nadarzył, o wypadkach nieszczęśliwej podróży. Materyału do gawędy starczyło mu na całe życie. Wpadłszy do mieszkania, Borodziez zastał tylko starego Okonia, który się przechadzał po izbie, ciągnąc wąsy.

— Cóż mi tam asindziej przynosisz? zapytał.

— Nowego nie! westchnął gość chmurny; wszak pani Piętkowa tu?

— Ojciec ramionami ruszył.

— A tu! wróciła i—powiem asindziejowi, nierozumiem téj całej sprawy! Nie chce do domu! Gdzież Piętka?

— W Krakowie, bo też do domu nie chce... Na te

słowa, czarno ubrana weszła Elżusia, piękna zawsze, ale wielce zmieniona i bledsza a mizerniejsza niż kiedy... P. Gracyan przywitał ją uniżenie.

— Właśnie pytałam jegomości o Zygmunta; co się z nim stało?... Jest w Krakowie?

— Tak, przywiozłem go gwałtem, odpowiedział Gracyan—ale bardzo chorego... krew mu się w podróży rzucała często... Smutny i zbiedzony do niepoznania. Do domu go namówić na żaden żywy sposób nie mogłem... został w Krakowie, a wioskę za cobydź sprzedać mi kazał.

Okoń ręce załamał i starą głowę spuścił na piersi.

— Któż to tam kupi?

— A no, kupujcie wy, albo raczej pomóżcie jegomości do kupna... Zygmunt ceny wysokiej nie zakłada, pani ma posag, ja mojej należności zaczekam.. trochę trzeba pieniędzy dla Piętki, a inne interesa pozostaną przy gruncie.

Nie było na to odpowiedzi, bo ojcioc Elżusi nie zwykł był interesów robić pośpiesznie—namyślał się i ważył — Elżusia nie odzywała się. — Zaproszono tylko Borodzieza, ażeby pozostał dla narady.

Cały dzień zeszedł na gawędzie ze starym, który długo rozprawiać lubił o każdej rzeczy—do czego się Elżusia nie mieszała. Zaczęto rachować na papierze ile wioska była warta, za ile ją kupiono, ileby potrzeba gotówki... Zeszedł dzień na tych projektach.

Wieczorem Borodnicz znalazł się na chwilę z Elżusią sam na sam w pokoju.

— Pani moja, rzekł — czy też się już nie dasz ubłagać temu biedakowi? Żebyś go zobaczyła! żal się obcym robi, taki sponiewierany i nieszczęśliwy. życie mu obmierzło... a dalipan szkoda jego i — szkoda was...

— Słuchaj panie Gracyanie, rzekła Elżusia: nie myślcie, że ja serca nie mam, żal mi go, — ale z życia łatanego nic nie będzie. Padnie mi do nóg, przeprosi — myślcie, że się poprawi? Pozdrowieje, odejdzie i do dawnego wróci... Jam się z mojem szczęściem pożegnała, a człowiekowi co mi życie zatruł całe — ciężko, wierz mi, bardzo ciężko przebaczyć!

Rzuciła ręką...

— Jemu źle, panie Gracyanie — ale i dla mnie nie ma szczęścia na tym świecie. Jam go kochała, ja drugiego kochać niepotrafię... ja także jestem zabita...

— A! pani, szepnął Borodnicz — skruszonym i pokutującym sam Pan Bóg przebacza...

— Bo to Pan Bóg — odpowiedziała żywo Elżusia — a ja kobieta słaba, biedna i śmiertelna...

Cóż tu było rzec? Borodnicz zmilczał, ale nie ustąpił.

— Nie będę ja go tłumaczył ani uniewinniał, ozwał się — a no to jejmości dobrodziejce powiem, że w nim serce lepsze niż głowa. Do niego zastukaw-

szy zawsze się coś odezwie; panibys z niego mogła uczynić człowieka. Naukę wziął dobrą, zbrzydło mu bałamuctwo, statkować będzie...

— Wyście zacnym i pocziwym człowiekiem, odparła Elżusia — ale — dajcie już temu pokój, panie Gracyanie. Zlitowaćbym się może mogła, kochaćbym nie potrafiła... a on żałować może — a poprawić się nie zdoła! Lepiej się rozdzielić i iść każdy w swoją stronę...

— A no dokąd? spytał Gracyan.

— Mnie to już dziś obojętne — mówiła Elżusia — żyję i żyć będę, bo muszę; niewiele mnie to obchodzi... Będę siedzieć przy rodzicach — albo tam na wiosce... będę patrzeć z rana rychło li wieczór nadejdzie... na wiosnę myśleć prędko li zima i tak... zestarzeję... serce się ściśnie, zaschnie... pamięć przytępi... świat zobojętnieje... życie skończy...

Powtórnie Borodziez zamilkł... Co miał znowu powiedzieć? nastawać nie śmiał.

Rano Okoń się namyslił dla Elżusi wioskę kupić; posłano po regenta aby punkta przedugodne do transakeyi spisał — znowu dzień zszedł na różnych drobnostkach, bo stary nudziarz był. Nadszedł zaspalny stryj Eligi i synowicy winszował... a po cichu z podelba na nią spoglądając, powtarzał swoje: — Herod-Baba.

Wymęczywszy się dobrze, zajrzawszy jeszcze do domu, bo żyto sprzedać było potrzeba dla grosza, którego brakło, Borodziez dopiero we dwa tygodnie

pojechał do Krakowa. Dziembie przykazał był, ażeby jeśli Zygmunta gorzej zobaczy na zdrowiu, dawał mu znać, choćby umyślnym, lecz posłańca ani listu nie było.—Niebez „aprehensyi“, jak powiedział sam, dojeżdżał do Krakowa Borodziez—i cicho pod mieszkanie Piętki bryczce zachodzić kazał. Na palcach przeszedł sieni, po malutku otworzył drzwi... wszedł.. cisza grobowa... Nigdzie nikogo... Obracając się na wsze strony, spostrzegł w mroku nareszcie obwinętego w płaszcz Dziembę, który na troszcze siana na tapczanie chrapał. Drzwi od drugiego pokoju były zamknięte, począł go tedy budzić z wolna, by nie narobić hałasu, godzina była ledwie po zachodzie słońca, lecz sądził, że się oni z kurami spać kładą... Dziemba przetarłszy oczy, zerwał się na równe nogi, a że sen miał okrutnie twardy, musiał się dobrze wysapać, nim oprzytomniał i poznał z kim ma do czynienia.

— Gdzie Piętka? jak się ma? spytał Borodziez.

— He? pan Zygmunnt... a no, cóż? ma się dobrze.

— Jakto dobrze? lepiej? co? gdzież? śpi? spytał Gracyan.

— Jako żywo!

— A gdzież jest?

— Pojechali z panem Szembekiem na polowanie...

— Jakto na polowanie? a krwiał pluć, a chory był!

— Kiedy to co byłol zawołał trąc oczy Julek..

wszystko to przeszło. Tu, proszę pana, jakiegoś sobie oweczarza jegomość sprowadził, ten mu dał jakąś tłustość pić i smarować się nią kazał... a śmierdziało paskudztwo, jak kiedy skóry wykręcają. To proszę pana taki cudowny oweczarz, że przez sen gada co komu robić, a chyba kto już jedną nogą na tamtym świecie, to go nie wyciągnie na powrót! Jak zaczęli pana smarować, smarować i poić... tak zaraz począł do siebie przychodzić, i wszystko ustało—zdrów jak ryba... a je—proszę pana—że dalipan trzeba ino stać i patrzeć, i dziwować się.

Słuchając téj relacyi Borodziez prawie uszom nie wierzył—ale nim ją na żywym mógl sprawdzić, widział tylko, że Zygmunta w domu nie było, co już starczyło za dobry znak.

Kazawszy tedy konie wyprządz, czekał na powrót, który nie rychło nastąpił. Spał już pan Gracyan posławszy sobie na tapczanie Dziemby, który się przeniósł na podłogę, gdy zaczęto do drzwi bić—i Piętka wszedł... Już po bryczce stojącej w dziedzińcu poznał, że Borodziez przybył, i przyszedł go oburącz witać...

Przy świecy wyglądał wcale dobrze... Nie był to Zygmus dawnych czasów z epoki poprzedzającej owo historyczne głupstwo... ale komu innemu i tak wyglądać byłoby dosyć. Na twarzy dawniej wesołości nie znalazł Borodziez, ani téj rzeźkiej ochoty do życia i użycia, poważniejszy mu się wydał, ironiczny, ale dzięki Bogu, silny i znowu zdrów.

— Tom szczęśliwy, że cię takim widzę! rzekł oglądając go na wszystkie strony Gracyan, który burkę zarzucił na plecy i wstał—nigdy się nawet przyznając ci się, nie spodziewał, że tak prędko odejdiesz...

— Bo to się kochanie moje cud stał... Jakaś babina poradziła mi, widząc moją twarz, a słysząc kaszel, owczarza z pod Ojcowa.. Uparli się go sprowadzić... ten jak innie wziął jakimś paskudztwem smarować... a poić, a w cieple trzymać—no cóż powiesz? po niewoli musiałem ozdrowieć. A co mi potém! westchnął Piętka.

— Co ty człowiecze pleciesz? ofuknął Borodziez—powinieneś na mszę świętą dać i Panu Bogu dziękować. Innegoby pewnie dyabli, z pozwoleniem wzięli, tak szkaradnie krwią pluć... A no, teraz się szanuj i po polowaniach nie lataj!

Piętka ręką machnął i zaczął świstać piosnkę o zającu.

— Co ty mi tam kazania prawisz? odezwał się. Co ma być to będzie... Mów, cożeś z wioską zrobił? Sprzedałeś?

— Jeżeli wola twa niezmienna, bo cofnąć się każdego czasu możesz—to sprzedana...

— Komu?

Borodziez się zająknął: —Jejmość? wasza kupiła.

— A! a! rzekł Piętka—to i lepiej. — Gadajże coś się zgodził? coś wziął?..

— To na jutro... papiery z tłomoka dobędę i rozpowiem wszystko... Stary Okoń wasy targał, za boki się szarpał, węzłki wyciągał, a wreszcie — kupił i zapłacił.

Stał Piętka po środku izby, nawet torby nie zrzuciwszy, milczący i zapatrzony w mówiącego.

— To i dobrze rzekł — a no, lepiej być nie mogło! A po pauzie dłużej spytał: — Cóż mi się tam zostało?

— Jutro ci rachunki złożę — rzekł Gracyan: rozpatrzysz się w nich. Trzeba było krom ruchomości twoich, remanenta gospodarskie sprzedać, oceniliśmy to po ludzku... Czarno na białem spisałem wszystko...

— Ale co mi się zostało? powtórzył Piętka.

— Wiozę ci dwa tysiące dukatów z okładem, odpowiedział Borodziez — nie wiele to jest, ale pono więcej być nie mogło...

— Tego mi dosyć — rzekł Zygmunt; a no, powiem ci, żem się więcej tysiąca nie spodziewał... Bóg wam zapłać!

— Cóż ty myślisz? spytał Gracyan....

— Albo ja wiem? żyć już ci muszę, kiedy mi ten owezarz kazał, ochoty wielkiej nie mam...

Wziął pod rękę Borodzieza i wyprowadził go do drugiej izby.

— Widziałeś ją? mówiłeś z nią? cóż ona?

— Ona! rzekł zafrasowany Gracyan — ona? a no — ona... tego... ona — no tak, niezawsze jednakowo...



— Jak myślisz? można tam się zgłosić? iść przeproszać?

Ramionami tylko ruszył Borodziecz.

— Dalipan nie wiem. odparł—chyba—chyba poczekawszy. Mówiłem z jęknością razy kilka, odprawiła mnie z kwitem...

Zygmunt usta zacisnął, głowę spuścił i niepowiedział nic, uściśnął Borodziecza.

— Idź spać, rzekł—reszta jutro...

To rzekłszy odprawił go na tapezan, zamknął drzwi i pozostał sam. Pan Gracyan długo zasnąć potem nie mogąc, słyszał go chodzącego niemal do białego dnia po pokoju... Zdrzemał się wreszcie,— a gdy się przebudził, słońce już było wysoko. Piętka ubrany czekał na niego. Po dniu wydał mu się nie tak bardzo pięknym jak wezora, ale twarz miała wyraz jakiego dawniej na niej nie bywało — posępny i zamyślony, poważniejszy i bardziej męzki, postarzał widocznie. Rzadko choroba niedługa taką zmianę na człowieku wyrze. Przyczyniły się pewnie wewnętrzne zgryzoty do tego. Zasiedli z Borodzieczem do śniadania, potem do rozpatrywania papierów, rachunków i interesów. Tych jak dawniej Piętka znać nie chciał, tak i teraz roztargniony słuchał relacyi, na wszystko się godząc i przystając.

Tranzakeyi projekt podpisał bez westchnienia, i po izbie znowu rozpoczął wiekuistą swą przechadzkę.

Przez dni kilka bawiąc w Krakowie pan Gracyan, nie z Piętki dobyć nie mógł, co myśli z sobą czynić dalej. Odpowiadał mu: Albo ja wiem? zobaczymy... byle się żyło...

Kilka razy o żonę zapytał... niewiele się dowiedzieć mógł i milczał znowu. Borodzieczowi wreszcie trzeba było powracać—poszli razem pod Szczupaka na śniadanie. Piętka przyjmował — ale nie po staremu: ani ochoty, ani humoru w nim dawnego nie było. . plótkł, śmiał się, żartował, potem nagle jakby kto nań czar rzucił, bladł, milknął, wzdychał i posępny siadał w kącie. Dobywał z siebie gwałtem wesołości, a gdy się tylko zapomniał, wracał do zadumy i czarnych myśli.

— Asindziej wracasz, panie Gracyanie, rzekł przy śniadaniu: w dawniejsze moje, nasze strony — pokłonił się tam nie tylko ludziom odemnie, ale i starym drzewom... Ja ich pono nie zobaczę — a dalipan ledwie mi ich nie gorzej żal niż ludzi.

— Gdzież ty zamieszkasz? czy wędrować myślisz?.. spytał Gracyan—toż choćby ja wiedzieć muszę, na wypadek interesu.

Piętka ruszył ramionami: — Albo ja sam wiem!... Zgłoszę się do waszeci, gdy będzie potrzeba—jeszcze żadnego planu nie mam.

A po przerwie milczącej spytał:

— Nie mówiła wam jejmość czy rozvodu żąda?

— Nie było o tém mowy.

— Więc to tak sobie zostanie, dopóki Panu Bogu

się nie podoba jedno z nas od drugiego uwolnić— bo już o zgodzie mowy nie ma. I coby to była za zgoda? Wiesz waćpan przysłowie... wilk chowany, przyjaciel jednany... wszystko to licha warto?

Zapili sprawę.

— Powiedz bo mnie przecię przynajmniej co z sobą myślisz, jeśli już nie chcesz powiedzieć gdzie się osiedlisz rzekł Gracyan.

— Nie mogę ci powiedzieć o czém sam nie wiem— powtórzył Piętka.—Jak mi co do głowy przyjdzie... zobaczę... albo się do wojska zaciągnę... albo dzierzawy sobie poszukam... albo.. wiesz com ci sam mówił: kapucynem zostanę.

Rozśmiał się.

— Kapucynem nie możesz przecież być, boś żonaty.

— No, to nas rozwiodą, starszy Pan Bóg, niż pan Rymsza!!!

— I przyznam ci się, że na kapucyna nawet dziś w tobie kwalifikacyi nie widzę...

Choć śniadanie było pożegnalne, ostatnie, które się zwykło oblewać między przyjaciół, pili niewiele — ochoty nie było... Borodziez cedził, Zygmunt o szklance zapominał... a mimo to, do wieczora niemal przestękali tak, nie mogąc się rozstać. Piętka przeprowadził pieszo Gracyana, aż za Wesolą wyściskał go, łzy miał w oczach... tamten na dobre płakał... Rozjechali się, długo ku sobie rękami i chustami powiewając z daleka... Nazajutrz Piętki

w Krakowie nie było, wyjechał znajomym się nie-  
opowiedziawszy dokąd?...

Borodziez powrócił do domu... a cokolwiek się  
rozpatrzywszy pojechał do Okouia.

Jejmości jeszcze w nowo nabytój wiosce nie było.  
Ojciec go przyjął, pytając o transakcyę naprzód...  
Obejrzał podpis, oblatę osobistą dokumentu, formal-  
ności wszystkie... pochował papiery — o Zygmuncie  
ani słowa.

Weszła i Elżusia.—Po obiedzie przystąpiła do go-  
ścia, jakby go pytać o co chciała a nie śmiała—on  
też raczej się obawiał pytania niż wyglądał go, nie  
mając co powiedzieć.

— Jak się panu jeździło?

— Dosyć dobrze...

— Pana Piętkę, rzekł Borodziez — zastałem nad  
wszelkie spodziewanie lepić. Jakiś owczarz go wy-  
leczył, bo gdym z nim przybył do Krakowa, krwią  
tak pluł, że m myślał, szczerze powiedziawszy, iż mu  
się nie wiele należy. Zastałem go zupełnie zdrowym,  
choć bardzo zmienionym... bardzo ponury jest i smu-  
tny...

Elżusia słuchała ciekawie, nie odpowiedziała nic.

— Zgodził się na wszystko, mówił dalej Boro-  
dziez... Nie wiem tylko co z sobą teraz pocnie, na-  
próżno się go dopytywałem, powiedzieć mi nic nie  
chciał, ani nawet dokąd się uda.

Ukradkiem w oczy spojrzawszy Elżusi—Borodziez  
posepną twarz, ale chłodną zobaczył.—Słuchała cie-

kawie, tak jednak, jakby o kimś obcym, o cudzym chciała się dowiedzieć.

— Pani prędko wrócisz do domu?

— Ja? zawołała jakby budząca się Elżusia—ja!— a pojedę zawewne w tych dniach—nie pilno mi—nie pilno.—Słyszałeś pewnie pan, że siostra moja Katarzyna przed miesiącem zmarła — została po niej sierota, córeczka... wzięłam ją do siebie, nie będę sama...

Odwróciła się do okna... popatrzała w ogród, i wysunęła się z pokoju.

W istocie w kilka dni potem oboje państwo Okoniowie i stryj Eligi, przeprowadzali Elżusię na jej dawne, a dziś nowe dla niej gospodarstwo. Mioduszewskiego opieka nad niém tak była skuteczna, że tam wszystko znaleźli w jak najlepszym stanie. U niego samego pogniły kopy w polu, ale u Elżusi suchuteńko zebrano, zorano i posiano w porę. Okoń stary obszedł całe gospodarstwo i wrócił bardzo zadowolony z niego, z wioski, a nawet, jak się zdawało i z tego, że zięcia tu nie było.

Rozpoczęło się potem wdowie życie pani Elżbiety, bo ją powszechnie w sąsiedztwie słomianą wdówką zwano, życie osobliwsze, pracowite, surowe, jednostajne, niezmiernie czynne i bardzo smutne. W domu rzadko kto teraz bywał, gdyż jejmość niebardzo kogo chętnie, oprócz rodziny, przyjmowała... Cała była zajęta sierotką i jej wychowaniem, gospodarstwem i ogrodem. O panu Zygmuncie jakby zmarł, nie wol-

no było rzec słowa, ani go wspomnieć. Ojciec nawet i matka unikali wzmianki o nim...

Tak upłynęły trzy lata...

Trzy lata! krótki to na pozór przeciąg czasu, ale dla wielu wydają się one wiekiem, a gdy niemi się przeszłość zasunie i pokryje,—czasein śladu jej już nie ma... Coś innego na tém nasypisku nrosło...

Trzy lata upłynęło jak o panu Zygmuncie Piętee ani słyhu nie było. Historia jego z wieloma dodatkami pięknemi obiegała już z ust do ust dla nauki przyszłych pokoleń; niewiasty mężów nim straszyły... opowiadano o nim przygody tak dziwne zaprawdę, iżby ich na dwa życia szalawifów stało... na rachunek nieszczęśliwego, składano wszelkie lekkomyślne figle, jakie inni płatali od stu lat może. Borodziez może jeden zajmował się jego losem i pilno starał się o nim wiadomości zasięgnąć... napróżno. Jeździł parę razy do Krakowa, dopytując czy tam go nie widziano lub nie słyszano o nim; języka jednak nie udało mu się dostać... Przybyłych z daleka badał czy gdzie Piętki nie spotkali—Piętków innych wielu napytał, ale swojego nie.

— Jak w wodę wpadł! powtarzał Borodziez—dali pan szkoda człowieka.

Trzeci tak rok dobiegał, gdy jednego wieczoru powróciwszy z pola i w ganku kazawszy sobie dać kwaśnego mleka ze śmietaną, zasiadł pan Gracyan nad misą, dobrawszy do niej kawał pięknego razowego chleba. Dzień cały był pogodny, zachód słońca

prześliczny, cisza wieczorna uroczą... Prosta pocziwa dusza wieśniacza pana Gracyana czuła, że się cała natura modliła przed snem nocnym. Przysłuchiwał się tej pieśni niezrozumiałych słów, a tak jasnego i wyrazistego dlań znaczenia, a oczy mu łąz zachodziły.

— Nie był w życiu szczęśliwym... dobijał się już do drugiej jego połowy sam jeden bez towarzyszki bez rodziny, bo ta była rozproszona i daleka... a mimo to — dziękował Bogu i za ten żywota kawał przebyty w spokoju, bez niedostatku i troski... Jakoś mu było na sercu błogo... i w duszy jeśli nie wesoło—to pogodnie. Lipa szumiała cicho w dziedzińcu, ptaszki świergotały, a w niedalekim stawku kunkały żaby na dobranoc... Ludzie z pola wracający mimo bramy dworskiej, śpiewali... Niektórzy witali Borodzieza: Niech będzie pochwalony! on im się kłaniał i pozdrawiał...

Aż tu, gdy nad mlekiem pracuje z ubielonemi wąsami... na gościńcu zatętniało. Borodziez miał takie ucho wprawne, iż każdego z sąsiadów i przejeżdżających po dźwięku bryczki i koni chodzie się domyślił. Tym razem aż łyżkę położył, tak coś dziwnie brzęczało... a że do dworu ktoś jechał nie ulegało wątpliwości, bo tamtędy dalej drogi nie było. Wstał więc od mleka, stanął, rękę przyłożył jedną, potem obie do czoła i patrzył... Z za krzaków i płotu ukazała się bryczka, cztery tegie konie, chłopak i wóznicą na kozłach, na siedzeniu jakiś jegomość z dłu-

giemi wąsami, czapka na bakier... konie, bryczka uprząż, ludzie nieznajomi. — Już myślał, że to kto z tych krewnych zdaleka, których miał rozsianych po całym świecie, gdy bryczka się zatoczyła, mężczyzna wysiadł, rzucił mu się na szyję, rozśmiał, widząc, że go nie poznał Gracyan, a dopiero ten postrzegł w nim już prawie zapomnianego Piętkę.

— Zygmus! jak Boga Kocham! a niechże cię uściskam... Dalipan! żyw, zdrow, zkad? jak? dokąd Pan Bóg prowadzi? Otoż gość nad goście... Popatrzali na siebie ciekawie...

Borodzieczowi dużo siwego przybyło włosa, Zygmunt wyglądał niemal tak, jak go był w Krakowie pożegnał pan Gracyan, — zdawało się tylko, że się rozrósł, a cera mu pobladła. Dopiero gdy płaszcz z siebie zrzucił gość, postrzegł gospodarz mundur...

— E! zawołał—cóż to ty do wojskaś się zaciągnął czy co?

— Jak widzisz... porucznikowstwo sobie kupilem.

— I służysz?

— Cóż miałem robić? w łeb sobie palnąć? rozśmiał się smutnie Piętka—kapucynem rozmyśliwszy się nie mogłem zostać, straszne u nich posty i także ta siermięga bez koszuli... Wolałem już mundur.

Stał i patrzył Borodziecz.

— O mój miły Boże zawołał,—jakżem ja szczęśliwy że ciebie widzę! Ileż to razy tęskniłem do wiadomości o tobie—a ty niewdzięczniku, żeby słowo—żeby paręś puścił...



— Mój drogi, chciałem, żebyście wy o mnie zapomnieli; myślałem, że ja o was zapomnę... Wy—prócz ciebie—pewnieście Zygmunta pogrzebali—a ja was, i tych czasów tu przebytych, i mojego dawnego szczęścia—nie mogłem zabić! Ciągnęło mnie, ciągnęło—opierałem się jak mogłem—w końcu mnie tu jak na sznurku tęsknota przygnała...

Siedli tedy w ganku, a Borodziez około wieczery i butelki wina zakrzętnął się gościnnie.

— Mów, opowiadaj! zlituj się—co się z tobą działo? jak przebyłeś te trzy lata?... a zdrowie? mówił gospodarz.

— Zdrowie, nie to co dawniej bywało, przecież niezgorsze—o tych latach mówić nie wiele można... Stawiali nas z regimentem to tu, to tam... musztra, parady... obóz... nudy... czasem hulanka, na którą się już człowiek z politowaniem patrzył — bo czy to tak u nas bywało—ot, i po wszystkim. A no, ty mi co po wiesz? ty?

Westchnął Piętka i spojrzał ku niemu.

— Słuchaj Gracyanie—rzekł—zgadniesz to może i sam co mnie tu przywiodło. Wierzysz ty temu? Jam do téj pory téj kobiety nielitościwój zapomnieć nie mógł. Kochałem ją i kocham, widzieć jęj nie będę—chciałem przynajmniej posłyszeć, dowiedzieć się, i wyjechawszy u ciebie na Suchawę, z góry spojrzeć ku mojemu dawniej domowi—choćby serce pękło!... Powiedz ty mi co o niej? co się tam dzieje? ty tam częstym gościem?

— Ja? uśmiechnął się Borodziez—mylisz się, bardzo rzadkim, bo jejmość nierada kogo oprócz rodziców i krewnych przyjmuje. Nie bywa tam prawie nikt. Sama siedzi, a siostrzeniczkę po zmarłej Katarzynie przybrawszy, wychowuje ją i gospodarzy jak w klasztorze zamknięta.

— Aleś ją widział?

— Przeszłój niedzieli w kościele.

— A! zawołał Zygmunt—cóż dziś? piątek! Jak mi Bóg miły, w niedzielę pojadę z tobą, juściż mi na nią choć spojrzeć z daleka wolno. Jak wygląda?

— Nie zmieniła się nie—zobaczysz—rzekł Borodziez... piękna, dalibóg, chyba wypiąkniała jeszcze... smutna, to prawda, ale jój i z tém do twarzy.

— Któż tam bywa? kto? nie może być, żeby ludzi nie przyjmowała?

— Ale to klasztor, mówię ci—kończył gospodarz—nikt nie bywa krom familii, parę razy do roku ja, a czasami stary Mioduszewski. Stryj Eligi się do niej przeniósł, siedzi na folwarku, Zdrowański odmawia... stęka i nazywa ją jak zawsze—Herod-baba.

Zygmunt się uśmiechnął i westchnął.

— Dziwna to rzecz—rzekł — chciałbym ją zapamiętać, radbym znienawidzić, mam za co gniewać się na nią—a jestem zakochany jak za dobrych czasów... gdym po raz pierwszy smąc do niej cholewki, piękną rączką dostał w ucho.

I jakby chcąc się wspomnieniem otrząsnąć, wstał Piętko i chodzić zaczął.

— Jak we wsi? gospodarka?

— Idzie dobrze, rodzi jak należy, zbierają w czas... dobytek we dworze... Prawdę powiedziawszy, mówił Borodziez—niewidać na niej by z tego wszystkiego szczęśliwą była,—lecz się żyje.

Długo w noc przeciągały się przyjaciół rozmowy... Zygmunt dorwał się z rana konia, dosiadł i na Suchawę poleciał, z kąd całą wioskę sąsiednią i dwór widać było. Stał tam z pół godziny. Bóg jednak wie co myślał; powrócił nazad posepny. Znowu tedy chodzili a bzdurzyli o tém i owém, wyciągając stare wspomnienia, pocieszając się i trując niemi... Po obiedzie poszli na ganek... Gracyan popatrzał na ścieżynę idącą przez pole.

— A wiesz ty kto to tam idzie z kijem? odparł Zygmunt.

— Ani chybi stryj Eligi na maryasza. Gdy mu się bardzo znudzi, a skorci go starego miodu pociągnąć, często się do mnie przywleka... Nic-że się nie odzywaj, siedź w kącie spokojnie... zobaczymy co za minę zrobi, gdy cię zobaczy.

Był to w istocie stryjaszek, wcale nie domyślający się jaka go tu niespodzianka czekała... Przydreptał do ganku, kij postawił, wszedł, z Borodziezem się zaczął witać, i nierychło dopiero oczy zwróciwszy w drugą stronę, postrzegł kogoś siedzącego, nie poznał go i skłonił się.—Ale ciekawość wzięła starego przypatrzeć się gościowi lepiej: podniósł głowę...

przymrużył powieki... zapatrzył się oczom nie wierząc zmieszał się, cofnął i zawołał:

— To nie może być?

— Co nie może być, panie Eligi? zapytał Borodziez.

— Hm! ale ktoż to jest... w mundurze?..

— Zygmunt Piętka...

Stryj Eligi stracił zupełnie przytomność.

— Zkąd? zkąd?

Wtém Piętka do niego przystąpił.

— Cożeś to mnie pan nie poznał?

— A zkądżeś się tu wziął?

— Przybyłem w gościnę do pana Gracyana...

Rusząc ramionami i mruczając coś niewyraźnie pod nosem—stryj stał nie wiedząc czy uciekać, czy siąść, czy mówić, czy się bocyć... co począć z sobą?—Gracyan go na ławę zapraszał; siadł...

— Zagramy w marysika? zaproponował.

— E! nie - nie! nie mogę... wracam zaraz, rzekł przepłoszony stryjasek. Wyszedłem tylko tak, spacerkiem, dla konkokeyi—wracam zaraz... wracam...

Nie nalegano. Zdawało się, że stryj upioraby się więcej nie nastraszył... Wyrazy mu na ustach zamierały, patrzył jak w tęczę na Piętkę, najego mundur, buty i ostrogi... w twarzy widać było pomieszanie, trwogę... i wielkie pragnienie powrotu do domu. Jakoż wysiedziawszy pół godziny... porwał się żegnać, za kij schwycił i drapał takim krokiem pośpiesznym, jakby go kto gonił. Całą drogę powtarzał tylko sam do siebie:

— Gadać? nie gadać? powiedzieć? czy milczeć?

Zmiarkował wreszcie, że kto inny tę tajemnicę wyśpiewać może; czemuż on nie miał zawczasu uprzedzić? Spieszniej niż zwykle krocząc przez miedze i polami, stryj Eligi dobił się do domu tak zmęczony, jak już od dawna nie był. Nie poszedł już do swojego mieszkania na folwarku, ale prosto do dworu. Wieczór był prawie tak piękny jak wczora. Elżusia siedziała z siostrzenicą w ganku i opowiadała coś szczebioczącą dziecinie, gdy Eligi wpadł tak żywo, że się z ruchu jego domyślić już było można, iż coś przynosił bardzo ważnego. Ale przyszedłszy tu... zmieszał się, nie wiedząc jak do rzeczy przystąpić; zdało mu się to tak trudnem, iż zwątpił, czy wiadomość ta przez gardło mu się przecisnie.

— Gdzież to stryj bywał? spytała pani domu.

— A—u Borodziecza!

— I tak prędko z powrotem — czy nie było go w domu?

— Był... był... a jeszcze i gość...

Zaczął już tylko ręką trząść, nie mogąc dalej mówić.

— Gość! gość! powtarzał...

— Któż to taki?

Eligi wstał aż z ławy, rękę tragicznie załamał: — Gość... a no kto? kto? jak ja to mam powiedzieć?

— Któż taki u Boga śmiejąc się zawołała Elżusia.

— No, Zygmunt! Zygmus! Piętka! na rany Pański on sam!

Elżunia pobladła i uśmiech zszedł z jej ust prędko, rękę przesunęła po czole... nie odpowiedziała nic, ani spytała więcej.

— A tak! a tak! mówił szybko Eligi — on sam... taki jak był... tylko w mundurze wojskowym... z ostrogami... wasy ogromne—bledszy...

Niewyraźnym głosem po chwili dopiero Elżbieta się odezwała:

— Oóż tak dziwnego! mógł mieć interes do Boro-dzieza... albo się z nim chciał widzieć.

— A jak, bróń Boże—tu przyjedzie? zawołał stryj Eligi—to co? to co?

— On tu przyjechać nie może — odpowiedziała uspakajając się Elżunia—stryj wiesz dobrze, iż to nie może być.

— Hm! albo ja wiem co u niego może a co nie może być, jak skoro mu szpary odeszły... Waćpani tego nie wiesz, że on zawsze i wszędzie do żony ma prawo... a rozvodu ani separacyi nie było.

— On tu nie będzie śmiać przyjechać! powtórzyła Elżunia stanowczo marszcząc brwi czarne... Stryj napróżno się lękaś...

— Niech będzie tak—niech będzie tak! niech nie śmie!—rzekł Eligi. Ja, prawdę powiedziawszy leciałem tak dla tego przez pola, przez miedze... bez drogi, aby prędzej dać znać, żeby się na ostrożności mieć... bo—kto wie?

— Ale dajże pokój stryju Eligi, z gniewem prawie poczęła kobieta... widzisz, że ja się nie lękam...

— No, to dobrze! to dobrze!... szepnął Eligi — a jabym zawsze do Wólki posłańca pchnął—bezpieczniejby było, żeby brat przyjechał, i bratowa i służba... i więcej ludzi.

— Cóż myślisz, że on mnie będzie wykładał? rośmiała się Elżusia — wie dobrze, iż nie należę do tych co się wykładać dają. Dość tego—dodała—dość tego.

— I gniewna odwróciła twarz, a biedny stryjaszek zamilkł... Nie ośmielił się już nawet wspomnieć o tém przy wieczerzy, z pod oka spoglądając na synowicę bojaźliwie, a w duchu zawsze mówiąc, swoje: — Herod-baba!

Elżusia pomimo największego starania, ażeby się wydać spokojną i wcale wiadomością nie poruszoną, tego wieczoru i następnego dnia nie swoja była, bardziej jeszcze niż kiedykolwiek mileżąca, smutna, podrażniona. Stryj Eligi byłby przysiągł, że oczy miała czerwone...

Dzień przeszedł bez żadnego wypadku, bez żadnej wiadomości; następowała niedziela, a zwykle Elżbieta z siostrzeniczką bywała tego dnia na nabożeństwie w parafialnym kościele. Z rana było nieco pochmurno, zdawała się wahać, jechać czy nie, potem pomyślała może, iż ją posądzą o tchórzowstwo, konie zaszły, stryj Eligi się przystawił — pojechali. Mówiło coś, jakiś głos potajemny Elżusi, iż ona go

tam zobaczy... Któż wie, może to nie było jój obojętne? może zobaczyć go pragnęła?...

Gdy konie zatrzymały się przed drewnianym kościółkiem... u drzwi znalazła wysiadając Borodiczę, który rękę jój podał i wprowadził—Zygmunta tu nie było... Mowy o nim w kilku słowach żadnej... Gdy wzięwszy święconej wody ze stariej granitowej kropielnicy, oczy podniosła w prawo, pod chorągwią uderzył ją mundur i postawa... Nie widząc twarzy poznała Zygmunta. Stał właśnie przy tej ławce kollatorskiej oparty w której ona siadać była zwykła... Zawahała się, lecz zmienić miejsce byłoby okazać obawę... zwrócić oczy... Musiała więc iść do tej ławki, przejść obok niego... sięść tuż. Mimowolnie podniosła wzrok i spotkała wejrzenie Zygmunta, który na nie czatował. Piętka jakby obey a ledwie znajomy człowiek, nie okazując wzruszenia, cofnął się przez grzeczność o krok czyniąc jój miejsce i ukłonił się. Pani Elżbieta nie wiedziała już sama czy mu ten ukłon oddała, drżąc wsunęła się do ławki z małą Kasią, klękła, złożyła ręce, spuściła głowę i zaczęła się modlić. Nie śmiała ani oczu podnieść, ani głowy obrócić, żeby znów z nim się nie spotkać. Całą mszę przekłęzała nieruchoma prawie, nie wiedząc co się w koło działo... modliła się nierozumiejąc słów modlitwy... dreszcz ją przebiegał. Napróżno usiłowała się uspokoić, pohamować pomieszanie, które ją ogarnęło, mimo władzy jaką miała nad sobą—było to dla niej niepodobieństwem



Zygmunt stał prawie tak samo wzruszony i niepewien siebie, obawiając się zdradzić... Niekiedy ukradkiem spoglądał na żonę — znajdował ją jak skamieniałą, nieruchomą w jednej postawie... Myślał, że choć przez ciekawość spojrzy nań jeszcze — nie zwróciła się już ku niemu. Widocznie umyślna była ta nieruchomość, ta straż nad wzrokiem. Miarując że uparte stanie przy ławce będzie natrętném domaganiem się przymusowego spotkania przy wychodzeniu z kościoła — Piętka gdy suplikacye zaczynało, odsunął się od ławy i przeszedł ku ścianie, przy której stał konfessyonał. Ukryty zań mógł ją widzieć wychodzącą nie zmuszając do spojrzenia na siebie — przychodziło mu na myśl wyjść przed kościół i tam czatować na siadającą do powozu... potém się wyrzekł téj pokusy.

Suplikacye się skończyły, mo dlitwy, wszystko, zakrystyan gasił światło, parafianie wychodzili, kościółek na pół był pusty, gdy żywo wstała Elżusia z miejsca, wzięła książki, szepnęła słowo małéj Kasi i poważnym krokiem skierowała się ku wyjściu... Nie zobaczyła Zygmunta, z czego zdawała się być rada... i nie oglądając się już pośpieszyła do stojącego powozu. Borodziez zawsze jéj rękę podawał i Kasie podsadzał, uczynił to milcząc, wedle zwyczajn, skłonił się, nie powiedział słowa i odstąpił. Stryj Eligi dopiero na gościńcu odetchnął i za cmentarzem się odezwał:

— Stał koło ławki! Czy Elżunia go nie widziała? Jak Boga Kocham, stał koło ławki!

— Owszem, widziałam go i—ukłonił mi się—odpowiedziała synowica.

— Ukłonił się! ukłonił się! zawołał stryj — śmiał się ukłonić.

W milczeniu pojechali do domu...

Nazajutrz Eligi wyprosił sobie wózek i parę koni ze wsi, piekło go strasznie, żeby bratu o tém donieść co się tu działo, gdyż w Wólce weale o niczém nie wiadzano

Od dawna żaden wypadek tak pocziwego stryjaska żywo nie obszedł, jak teraz przybycie Piętki—roiły mu się po głowie najosobliwsze, nastraszliwe następstwa... drżał... truchlał. Chwilami był tego przekonania, iż wypadło zawezwać siłę zbrojną w pomoc przeciwko napastnikowi, przypisywał mu złowrogie zamiary, dziwił się że nikt tego co on nie przewidywał, i że Borodziez mógł dawać schronienie tak niebezpiecznemu człowiekowi.

Poleciał więc do państwa Okoniów i ledwie z wózka wpadł do brata.

— A co? nie mówiłem? zawołał nie witając się nawet.—On tu jest! u Borodzieza siedzi. Był w kościele, na moje oczy go widziałem... Wstąpił do wojska.

— Ale któż? któż? spytał brat przestraszony.

— Kto? któż ma być? on! on! w mundurze!

— Kto na miłość Boga?

— Piętka, ten szaleniec... Zygmunt! Jakże się brat nie domyślasz?

— A zkądże się mam domyślać? Zkądże się wziął? jak? mów!

— Nikt nie wie! jak z pod ziemi! Borodziez go trzyma... jest oczywiście w spisku.

— A Elżusia?

— E! e! Herod-baba! Ta nie! ona się i dyabła nie zleknie! Co jéj!

— To czegoż my się mamy lękać? spytał stary Okoń.

Stryj ruszył ramionami.

— Ja wam powiadam, że będzie nieszczęście. To szalona pałka, wiadomo! Z oczu mu patrzy, że on się jeszcze w nią kocha... gotów się jeszcze dopuścić nie wiem jakiej ostateczności..

— E!? bredzisz Eligi! dałbyś pokój! opowiedz-że mi lepiej co wiesz o nim... Trzy lata go nie było...

— Tyle tylko wiem, że w mundurze, a więc służy gdzieś w wojsku... a że on tu nie darmo przyjechał, to pewna...

Nadeszła pani Okoniowa, dzielająca zupełnie obawy Eligiego, rozmowa wszczęła się gorąca, zaczęto radzić, i ostatecznie wypadło by Okoń z panem Eligim na odsiecz słomianej wdowie śpieszyli. Stryj tak naglił, że tylko na prędce bigosu trochę zjadłszy, nie czekając obiadu, wyruszyli oba... nie załując ani siebie, ani koni po niegodziwój drodze.

Tymczasem żadne w istocie nie zdawało się grozić niebezpieczeństwo. Po powrocie z kościoła, Zygmunt spokojniejszy a nawet weselszy, na wniosek Borodzieza, zgodził się pojechać do Mioduszeńskiego.

Mioduszewski dawniej Zygmunta nie bardzo lubił; potem za tę swoją, jak ją nazywał „Królowę“ miał do niego okrutny żal; na ostatek—a z kości dobry był człowiek—ulitował się nad losem biedaka, i widząc położenie wdowie kobiety, ciągle wzdychał do tego żeby małżeństwo pogodzić, i żeby po bożemu żyć mogli.

— Bo co to, mospanie, mówił często jeszcze przed przyjazdem Zygmunta—bo co to za życie téj kobiety! Śliczności *osoba!* młoda pocziwa, zacna i ma tak nadaremnie więdnąć, cudze dzieci niańczyć... Szkoda jój i szkoda jego... przecież się to musiało wyszumieć i dosyćby było pukuty!

To było przekonanie Mioduszeńskiego, który się z niém nie krył wcale.

— Jedno z dwojga, albo niech się zwiódą albo rozwiodą, a takie życie ni w pięć ni w dziewięć, jedno do Sasa drugie do lasa—to obraza Pana Boga! I szkoda, mosanie, takiój pięknej kobiety, żeby się tak marnowała.

Mioduszewski wielki wielbiciel samój pani, wedle swego przekonania. działał w jój raczój interesie niż Piętki, który mu był obojętnym. Wolałby był dla jójmości kogo innego, to pewna, ale kiedy już tego

pan Bóg dał — a! no trzeba było akomodować się woli bożej.

Widział on Zygmunta w kościele i zaraz Borodzi-  
cza wziął na bok.

— Na rany Pańskie, szepnął mu: kiedy on tu już raz jest, postarajmyż się żeby ich z sobą zładzić. Co było a nie jest to nie pisać w registr... Dołożmy pracy i starania, a zbliżmy ich.

W tej myśli Gracyan zawiózł teraz Piętkę do mi-  
łego sąsiada, który, po staremu, gąsiorki z winem nagotował na przyjęcie. Wyściskali się w ganku... Piętka jednak nie miał dawnego humoru i ochoty, koło szkła nawet nie chodził tak czysto jak to daw-  
niej bywało... Mioduszewski już w myśl swoją uknuł był cały w istocie spisek. Daleka jego krewna panna Cewkówna wychodziła za mąż za niejakiego Borzy-  
szewskiego... Wesele u Cewkówo mil tęgich trzy od-  
bywać się miało, Mioduszewski naprzód pojechał na nie prosić na klęczkach panią Zygmontową żeby przytomnością swą zaszczyć raczyła i pannie mło-  
dój, która matki nie miała, chciała za matkę służyć.

Obruszyła się na to Elżusia z razu.

— Co waćpanu w głowie, panie Mioduszewski? ja nigdy nigdzie na weselach i tańcach nie bywam! nie pojedę za nic! Widok takićj jak ja kobiety, ani mężatki, ani wdowy, byłby nawet dla wielu prze-  
sądnych złą wróżbą. Zresztą wiesz, że nigdzie nie jeżdżę! nie mogę.

— Dobrodziejko, królowo, tym razem, dla biednej

sieroty musisz służyć za matkę. Takich funkeyj nikt nie odinawia, nie godzi się....

— Czarno chodzę, sukni nie mam... muzyki weselnój i widoku ludzi pod weselonych znieść nie mogę... daj mi pokój.

— Królowo moja! nie dam pokoju... będę u stop twych leżał, a na wesele pojedziesz. — Przez litość przez miłosierdzie, przez przyjaźń dla mnie tego mi nie odmówisz...

— Ale waćpan bo jesteś uparty! zawołała Elżbieta.

— W istocie uparty jestem i będę — nazywaj mnie pani, jeszcze gorzej — nie zlekuję się... musisz mi tę łaskę uczynić...

— Powiadam ci, że nie mogę!

— Królowo moja, możesz i uczynisz.

Elżusia z razu się trochę nadąsała na natręta, potem zaczęła się śmiać z niego. ale: i nie — i nie! Mioduszewski nie ustępował. Jak zaczął męczyć, po rękach całować, zaklinać, a nad sierotą się użalać, a honoru tego dopraszać... a dręczyć i nudzić... koniec końców Elżusia zgodziła się służyć do kościoła, do obiadu, a po nim miała odjechać do domu.

Stary zgodził się na to, będąc pewien, że na miejscu, gdyby koło zdejmować przyszło, nie puści tak rychło pani Zygmuntovej. Ukłękł do podziękowania, ręce wycmokał, poprzysiągł wdzięczność do zgonną i odjechał.

Myślą jego było sprowadzić Piętków oboje na to

wesele tak, ażeby o sobie nic nie wiedzieli, i pracować nad zbliżeniem ich wszelkimi sposobami.

— Reszty Pan Bóg dokona, mówił sobie — jeżeli jest wola Jego, ażeby się to na nowo skleiło.

Gdy Piętka przybył do Mioduszewskiego, szło mu teraz o to, aby podpoiwszy i rozweseliwszy wyciągnął go na słowo, że do Cewków pojedzie na wesele...

— Kochany pan Zygmunt — odezwał się po kilku lampeczkach — po tak długiej niebytności w naszych stronach, spodziewam się, że dłużej u nas zabawi?

— Nie wiem sam...

— Ale zabawisz... narzucił mu Mioduszewski — nie puścimy cię. Rozerwać się powinienes, a przyznasz, że nigdzie tak pocziwie, przyjacielsko, serdecznie się nie bawią, jak u nas... Ja naprzód pana kontiskuję na wesele mojej Ignasi Cewkówny.

— Dajże pokój z weselem — przerwał Piętka — to nie dla mnie?

— Dla czego? będzie ludu szlacheckiego siła, zdrowe węgierskie czyste wino, com go sam sprowadzał... skrzypki dobre, a i ładnych twarzyczek nie zabraknie. Spędzimy chwile ochoczo...

— Kochany Mioduszewski — rzekł Piętka — temu lat cztery byłbym biegł za okazijką podobną... uśmiechała mi się pohulanka tego rodzaju... ale teraz!

— Trzeba sobie dawne czasy przypomnieć.

— Nie mam ochoty!

— A ja od tego nie odstąpię! Jedziesz zemną lub z Borodziczem—a jechać musisz...

— To mi dobry! rozśiniał się Piętka...

— Przyjacielowi staremu, który prosi, aby krewnój jego, sierocie uczynić ten honor i domek szlachecki zaszczycić... nie odmawia się.

— Ale ja tam po co? zapytał Piętka—do kieliszka już nie jestem jakim byłem, do kobiet nie mam smaku... a choćbym go miał, tom się im na nic nie zdał, ni kawaler, ni wdowiec... nietoperz taki do tańca nie pójdę, gadać nie umiem, starzy znajomi zapomnieli o mnie... nowych stosunków robić nie myślę...

— Mów sobie co chcesz... a jechać musisz...

Jał go tedy ścisnąć, modlić, namawiać.

— A Borodziez jedzie? spytał Piętka.

— Jeśli ty, to i ja! —odezwał się zagadnięty.

Rzecz była jak ułożona — wesele odbyć się miało za dni kilka, tymczasem zabierano się polować... a Piętka chodził i poglądał na swój dwór z daleka, niemal codzień spędzając tak godzin parę.

Stryjaszek Eligi, zawsze niespokojny, dowiadywał się różnemi sposobami, czy sobie Zygmunt już nie pojechał—radby się go był pozbył co rychléj. Chłopaki, których pod różnemi pozorami posyłał do dworu, przynosili mu tę niefortunną zawsze wieść, iż o wyjeździe p. Piętki ani słychać nie było.

— Jednak on tu nie darmo pod bok nam wlaźł, i siadł i siedzi? rzekł Eligi — w tém coś jest! Coś jest!... a najlepsi przyjaciele i sąsiedzi, Mioduszewski



i Borodiecz, z nim żyją, piją, bratają się i—spiskują. Bo że spiskują, to dam sobie uciąć głowę...

Oburzało go to, że Elżusia jego rozpraw w tym przedmiocie słuchać i obawy podzielać nie chciała. Państwo Okoniowie radzi byli, że córka raz przecię znowu z domu wyjedzie i trochę się rozerwie na weselu Cewkówny.

Dom pana wojskiego Cewki był starą fazą szlachecką, niemal takim jakim wyszedł z XVII wieku:—żaden nowy obyczaj cudzoziemski, nie nowomodnego nie wcisnęło się doń oddawna. Dwór był ogromny, stary, drewniany, z dala wyglądający jak szopa, ale w środku wygodny bardzo. Sień przestronna mogła sama dwórzan i czeladzi do stu przeszło pomieścić, w jednej sali tyleż biesiadników posadzić nie nowiną było. Inne izby bez zbytniej okrasy, białe, chędogie, świeże, ale ze sprzętami domowej roboty. Stół zawieszisty, dostatni, tłusty a korzenny, prosty był i zawsze bodaj dla najdostojniejszych gości, jednaki; wino węgierskie, czyste, zdrowe a niedrogie, beczkami się sprowadzało i spijało beczkami. Wykwintu nie było w niczem, fałszu żadnego, serce na dłoni, a czem hata bogata tém rada. Stary Cewka straciwszy żonę, oddał się cały kochanej Ignasi, którą teraz wydając za męża, postanowił upamiętnić wesele jedy-naczki.—Wielkie się tam czyniły przygotowania ku temu, bo szlachty znajomych, przyjaciół i krewnych, zjechać miało osób jak rachowano ze dwieście... Czego w domu nie było, to się kupowało lub poży-

czało, aby było już i dostatnio co się zowie. Wojski rachował, że go to weselisko kilkanaście tysięcy samo kosztować będzie... Wino umyślnie kupiono i sprowadzono tyle, by na żaden sposób przy największej pijatyce nie zabrakło. Ruch był niezmierny bo na kilka dni wprzód niektórzy dalsi goście zjeżdżać się zaczęli i stół w jadalnej sali chwili nawet nie próżnował, a gąsiorki z winem w pogotowiu stały po wszystkich kątach.

Dzień się wybrał śliczny, jakby na szczęście państwu młodym... Już od rana ciągnęła szlachta bez przestanku... Dawszy słowo, za które wojski Cewka sam przyjechał Elżusi podziękować, jejmość musiała się wybrać, rada nie rada. Kurdybanowe buty stryja Elgiego przydały się tu, gdyż kazano mu towarzyszyć. Taki był natłok po pokojach, gwar i ścisk, że wielu o sobie nie wiedziało i spotkać się nawet nie mogło. Część gości wyniosła się na ganek, inni obodzowali przy stołach w dziedzińcu, reszta w ogrodzie. Ślub musiał być, z powodu oddalonego kościoła, w domowej kapliczce przystrojonej umyślnie do tego obrzędu. Odedworn do niej drogę dla państwa młodych pasowcem suknem wysłano... Nie obeszło się bez mów solennych i odpowiedzi, co ceremonię niezmiernie przedłużyło.

Przed nią jeszcze zawczasem przybyła pani Piętкова ze stryjem Elgim, choć nie zbyt wykwintnie ubrana, lecz tak piękna, że się tłumy ciągnęły, ażeby jęj pańską twarz zobaczyć. Los też jęj i znane przy-

gody, wielkie budziły zajęcie. Wedle zakreślonego programu odbywało się wszystko z kolei bardzo szczęśliwie, i Elżusia w orszaku panny Ignasi postępowała ku domowi z kaplicy gdy idąc drogą około której szpalerem stali mężczyźni, radzi się kobietom przypatrzeć, postrzegła niedaleko... w pięknym mundurze kawaleryi wspartego na szabli, pod drzewami Zygmunta którego oczy skierowane ku niej były!.. Mimowoli zarumieniła się piękna pani; nie wiedziała ona że go tu spotkać może, nie śmiała myśli téj nawet poddawać stryjowi, aby później nie budzić obawy, była jednak niemal pewna iż się Piętka jakimś sposobem na drodze jój znajdzie. Spuściła zaraz oczy, podniosła je wnet, żeby nie myślało, iż się strwożyła, i poszła dalej. Zygmunt pozostał w miejscu z kilku znajomymi.

— Co mi to szkodzi, że on tu jest? powiedziała sobie w duchu... Nie może się zbliżyć do mnie, a po obiedzie ja natychmiast wyjadę.

Nie wiedziała szanowna pani, iż woźnica jój już był upojony tak, że ani ręką ani nogą ruszyć nie mógł, a u kolebki koła brakło, które na lamus zaniesiono i na klucz zamknięto.

Mioduszewski przytém jako krewny i na wpół gospodarz, nie mogąc inaczej zbliżyć z razu małżeństwa, wyprosił po cichu u tych, co przy stole rozsadzali, aby Piętkę naprzeciw żony usadowiono. Urządzono to tak doskonale, iż jejmość postrzegła się dopiero gdy już miejsce zajęła. Uchodzić nie by-

ło sposobu, postanowiła tylko oczy odwracać. Zygmunt nie był też winien niespodziance, która dlań wiele stała się przyjemną. Mógł bez przeszkody przypatrzeć się Elżusi! a tak jój dawno z bliska nie oglądał! Obok pani Zygmuntowej siedział z jednej strony stryj Eligi, z drugiej w spisku będąca krewna Mioduszeńskiego, pani Bartochowska. Mioduszeński sam siadł przy Zygmuncie, a Borodzieczowi dał znak, aby miejsce zajął z drugiej strony. Rachowali na to, że nie może nie mówić z nimi, gdy ją będą zapytywali... a mówiąc niepodobna, by choć nie spojrziała na Piętkę... Pani Bartochowska miała go zagadywać i w rozmowę wciągnąć.

Z początku muzyka grała, i hałas był taki, że o rozmowie, mimo bardzo wąskiego stołu, myśleć nie było można. Elżusia zobaczyła męża, przy nim Mioduszeńskiego i Borodziecza,—domyśliła się od razu, iż nie przypadek to zrządził. Odwróciła tedy oczy i postanowiła manewrować niemi tak, aby na przekór napastnikom wzroku Piętki nie spostrzedz i nie widzieć go w ciągu całego obiadu. Była to jednak rzecz łatwiejsza do postanowienia niż do wykonania. Gniewała się mocno Elżusia, zarumieniała, oczy w górę podniosła, minkę zrobiła dumną i nieprzystępną. Mioduszeński poznał zaraz, że źle się święci. Stryj Eligi struchlał, zaczął gałki z chleba kręcić nieprzytomny i ku synowicy spoglądał, jakby ją do odwrotu namawiał. Gdy goście posiadali a muzyka ucichła nieco, rozmowę powoli rozpocząć było mo-

zna, i szmer cichy nappełnił izbę jadalną. Pani Bartochowska pierwsza zagadnęła Piętkę śmiało: — czy też wiele osób znajomych znalazł i jak mu się ich proste szlacheckie wesele podobało?

— Ja też do innego życia nie nawykłem, rzekł Zygmunt; a choć wojskowe prowadzić muszę — tęsknię do dawnego.

— Trzeba do niego powrócić! śmiejąc się rzekła Bartochowska.

— O! gdyby można! zawołał Zygmunt: z duszy i serca... ale nie ma do czego i kogo.

Zygmuntowa nie słuchała, choć słyszała pewnie, spuszczoną miała głowę, podniosła ją niespodzianie i o cudo! — stryj Eligi przeraził się bardziej jeszcze: — prościuteńko na Zygmunta spojrzała oko w oko.

Co ją do tego skłoniło, że tak rychło postanowienie unikania wejrzenia i rozmowy zmieniła, jeden Pan Bóg mógł wiedzieć. Piętka zadrżał. W téj chwili na szyi żony zobaczył dopiero ów łańcuch z granatów — jakby godło przebaczenia... Był to zapewne przypadek, iż go na ten dzień włożyła — dla niego wszakże miał on wielkie znaczenie — otucha wstąpiła w serce, oko mu się rozjaśniło.

— Ciężkiem bo to życie wojskowe czasu pokoju, dodał Piętka. Co innego gdy wojna. Człowiek naówczas o wszystkiem zapomni, zapali się, zdzieczeje... obchodzi go to jakby partya warcabów lub szachów.. goni nieprzyjaciela, uchodzi, zabiega; każdy dzień mn coś nowego przynosi... nie ma czasu tęsknić

i nudzić się... Czasu pokoju na leżach, w obozie, po miasteczkach, gdy musztra skończona, hasła podawane, porozstawiane strażę—co robić?

Pani Piętkowa zdawała się słuchać z zajęciem usłuszechnęła się jakoś, i stryj Eligi o mało pod stół się nie skrył z aprehensyi,—odezwała się.

— Przecież po takich miasteczkach gdzie kawaleria stoi, znajdzie się zawsze towarzystwo wesołe? jest sąsiedztwo... o zabawę nietrudno kto jój szuka...

Piętka się nie spodziewał wcale głos ten słyszeć; z razu zanikł zdziwiony niezmiernie, lecz taką go to napęłniło radością, iż rychło przytomność odzyskał.

— Nie każdy zabawy szuka — rzekł cicho. — Młodzię chciwa jój — zapewne, starszym ona nie w smak...

— A kto nawykł do niej... spytała Elżusia.

— Ten się nią przesyci i odwyknie, gdy na samą zabawę czezą jest skazany, rzekł Piętka... Dobra ona jako przekąska, ale pokarmu nie zastąpi.

Przytomni równie byli tym początkiem rozmowy i zbliżenia zachwyceni jak Piętka, któremu twarz się w chwilę zmieniła i rozjaśniła. Mioduszewski patrzył znacząco na Borodzieza, ten na niego, Eligi zupę jadł choć jój już dawno na talerzu nie było. Pani Bartochowska widząc że się jój tak nad wszelkie spodziewanie udało; pospieszyła z dalszą zaczepką znowu do Piętki wystosowaną.

— Czy pański regiment stoi niedaleko? odezwiała się obracając ku niemu.

— W Wielkiej Polsce—rzekł Zygmunt—ale mnie choć z takiej odległości tęsknota do stron rodzinnych przygnała. Walczyłem z nią lat trzy, a choć żołnierz dałem się jej zwyciężyć... Wziąłem urlop, aby choć kilka dni tu przebyć i z zapasem świeżych wspomnień na dawne życie powrócić.

— Ja znowu powtarzam, dodała Bartochowska:— a po cóż powracać?

Elżusia podniosła oczy na niego... Piętka tak się w nie wpatrzył, iż Bartochowskiej odpowiedzi nie dał, dopiero gdy jejmość oczy spuściła, spytał przeprasząc o co go pytała....

Śmiać się poczęła pani Bartochowska. Elżusia oczy spuściła i zarumieniała się... Początek był nadzwyczaj szczęśliwy, pocziwy Mioduszewski rozochocony omal półmiska z bigosem nie wyrzucił. Zaczęło się śmiać... i—pani Piętkowa rozśmiała się także—czego od dawna nie bywało.

— Obiad się przeciągnie, półgłosem rzekł Mioduszewski—a kto miał niegodny zamiar nciekania do domu po nim, będzie ukarany... bo noc ciemna, ludzie pijani pewniusićko—i chyba pieszo.

— Pijesz pan coś do mnie pewno—odpowiedziała Elżusia z nienacka... ale my z temi drogami, choćby i po nocy, jesteśmy oswojeni, to nas nie straszy...

— Chyba konie same pójdą! rozśmiał się stary: bo

o furmanie wątpię, by dziś kogo innego prócz Morfeusza woził...

— A cóż państwu z tego, gdyby się kto z nas nieużytecznych widzów pozostał?—dodała pani Piętkowa: tak z nami jak bez nas... Do tańca nie pójdziemy, a bez smutnej twarzy, wesołym będzie lżej.

— Dziś bo smutnej twarzy tu nosić się nie godzi —przerwał Mioduszewski...

— Zkądże wziąć wesołą? odparła Elżusia...

W czasie tej rozmowy, która się tak jakoś wiązała szczęśliwie, Eligi zadumany opuścił sztukemięsa, za niedbał bigos, i wydawał się zupełnie bezprzytłoczonym. Po ostatnich słowach Elżusia zwróciła nań uwagę.

— Czemu stryj nie je? spytała go.

— Zapomniałem! naiwnie rzekł Eligi...

Borodziez, koło którego półmisek właśnie przechodził, wziął talerz nieszczęśliwego i nałożył musporo bigosu około którego wprowadzie na pozór krzątać się począł stary, ale co chwila zominął się i na Zygmunta to na jejmość spoglądał.

— Patrzą na siebie jakby nigdy nie mówili w duchu. Elżusia się śmieje! temu się oczy iskrzą! Co to jest?

W istocie nie było nic, tylko pani Zygmuntowa znajdowała nieprzyzwoitą milczeniem i kwaśną okazywać minę, choćby człowiekowi, z którym się rozstała, a Zygmunt nie pochlebając sobie, ażeby to jakie następstwa mieć mogło, korzystał z pogodnej



chwili. Rozmowa stała się ogólniejszą, zagadywano i odpowiadano ze stron różnych.

— Prawdziwie to szczególny traf że nas tu tak dobrze około pani naszój, królowo moja, posadzono! zawołał korzystając ze szmeru Mioduszewski.

— Szczerze, panie sąsiedzie—odezwała się na to Elżusia marsząc brew i spoglądając nań ostro—czy to tylko traf? Czy nie było w tém jakiej bardzo omylić mogącej rachuby?

— A któżby, królowo moja — wdawał się tu dziś w rachunki! ramionami ruszywszy odparł stary;— jeden Pan Bóg tylko robi i odrabia co wola Jego— ludzie najczęściej się myślą, i dla tego ich rachinistrzowstwa nie po tém! Ktoby tam rachował: Elżusia niewidocznie pogroziła mu—Mioduszewski ogromną pięścią uderzył w piersi jakby chciał powiedzieć:— Przysięgam asindźce, żem temu nie winien.

Mimo groźby mógł wszakże uważać, iż tak bardzo się nie gniewała. Kiedy niekiedy spoglądała na Zygmunta, który ani zbytnią wesołością, ani wymuszonym smutkiem nie przesadzał. Siedział poważnie, a mówił swobodnie...

Jał igo tedy umyślnie pytać ten zdrajca Mioduszewski o różne rzeczy, tak, aby odpowiedzi uszu jejmości dochodziły.

— I cóż pan, panie Zygmuncie, dalej myślisz? czy już tego regimentu dożywotnie się trzymać.

Ja? ja bo nie nie myślę—rzekł Piętka: wpakowałem się w mundur, wpisałem w registr, a teraz mną

już losy kierują, i mam ten święty spokój, że o niczym nie myślę... Popychają mną—idę... aby dalej. Wojsko jak klasztor, człowiek wchodząc traci wolę, a czasem znużonemu lepiej z tym gdy jęj nie ma... Idź tam, ruszaj tu—rób to... człowiek się czyni machiną i dobrze mu z tém...

— Aleś sam powiedział, żeś zatęsknił? spytał stary.

— To prawda, i w moim terażniejszym stanie grzech... mówił Zygmunt. Człowiek wojskowy tęsknić nie powinien... nie chceć... niczego nie pragnąć... aby dalej do końca... Życie idzie nudnie powoli niby z tą jednostajnością jednak tak jakoś lata uchodzą, że się nie postrzega.

Elżusia choć mówiła niby z panią Bartochowską, słuchała jednóm uchem.

— Przecież do obucha tak służyć, a w tym chomacie chodzić nie sposób—mówił ciągle Mioduszewski, trzeba będzie kiedyś pomyśleć o czém inném?

— Do czego! rzekł Zygmunt—może też Pan Bóg da wojnę... a wówczas prędzej się skończy to nudziarstwo...

— Jaby co innego życzył—przerwał sąsiad: jak tylko wam tęskno, to już dowód, że mundurn macie dosyć—trzeba myśleć o zmianie. Weź waćpan'gdzie koło nas dzierzawę.

Bartochowska wnięszała się w rozmowę...

— A tak! rzekła—mamy kilka wiosek w sąsiedztwie...

— Ze mnie to tam niewielki gospodarz — mówił Zygmunt— a przyznam się państwu, ani dla kogo, ani dla czego pracować nie mam—po co!

— Przecież, cicho wtrąciła Elżusia: praca to taka rzecz, co sama przez się życie słodzi... najlepsze lekarstwo.

— To prawda! odparł Zygmunt; ale i do niej sił potrzeba, a człowiek jest czasem jak zegarek, w którym sprężyna pęknie i isé nie ma czém.

To mówiąc westchnął, i byłaby może rozmowa tak pięknie poczęta szczęśliwszy obrót wzięła, gdyby w téj chwili jak na złość, podniosłszy się ktoś z honoracyorów, nie okrzyknął wymownie zdrowia państwa młodych... Palnął tedy i mózdzierz pod oknem z hałasem takim, że jedna szyba przestraszona pękła, kilka pań krzyknęło, a cały stół zawtórował wiwatowi, jużby i trąby sądu ostatecznego słyszeć nie było, gdyby w téj chwili zagrzmiała.

Podnieśli się wszyscy... Mioduszewski okrutnie, zły... Zdrowie państwa młodych! Zdrowie!

Od tego kielicha poczęły się inne, boć zaraz pana wojskiego pito, potem podkomorzego, który pierwszy toast wnosił, potem kolejną do nieskończoności biesiadujących pań i panów... A wszystkim tym „przezdrowiom“ towarzyszyły przemówienia, okrzyki, śmiechy i wrzawa taka, że o rozmowie myśleć nikt nie mógł. Co kto miał pilniejszego, kładł sąsiadowi wprost do ucha. Czas ten jednak nie został stracony, Zygmunt kilka razy spojrzał na Elżusię,

która wcale wzroku jego nie unikała—trafiło się nawet, iż ona z pewną ciekawością popatrzała nań parę razy. Toasty jeszcze w ściśniętém kółku trwały, gdy panie i młodzież zaczęły się ruszać od stołu... Została Elżusia ale nie odchodząc mrugnęła na Mioduszewskiego, przechyliła się do niego przez stół zawołała:

— A moje konie?

— Dalipan, pani dobrodziejko—królowo! nie wymagaj rzeczy niepodobnych! Chybaby cię kto z nas powiózł, a i o tém wątpię, żeby się powiodło, bom sam na moje oczy widział, jak po jedném kole od każdej kolebki pobrano i na lamus niesiono.

Elżusia uderzyła w ręce...

— Zlituj się, królowo moja — przecież nie będzie ani grzechu, ani zbytniej nudy, gdy posiedzisz i popatrzysz na tańczących, a że polskiego musisz pójść z wojskim, to nie nie pomoże...

Pani Zygmuntowa ruszyła ramionami z niecierpliwością wielką—i odeszła—nie było rady...

Wkrótce też zaczęto co najprędzej stoły uprzątać, miejsce robić, podłogi umiatać, aby tańczącym pole przygotować, bo już skrzypki na podniesieniu zieloną choiną ostawioném strojono. Służba nawykła była do pośpiechu, duchem więc gotowo stanęło... wszystko. Szczególniej do tego pierwszego poważnego polskiego tańca, pokoje, ile ich było, w koło musiano na drodze oswobodzić od sprzętów, bo zwyczajem było cały niemal dom obejść kręcąc się i zawracając,

tak, że nieraz w przeciwnych kierunkach para ostatnia z pierwszą się rozmijać musiała...

Na dany znak muzyka poczęła od ucha... państwo młodzi w pierwszej parze... ruszono... Zygmunt dostał jakąś panią mało znajomą, i ani wiedział gdzie i jak stanął. Z panną młodą niemal każdy tańczył z gości dostojniejszych, poszło więc odbijaniego, z wielką po toastach i winie wesołością i okrzykami. Ani się opatrzył Piętka, jak mu ktoś jego parę odjął, a on do następnej przeszedł... Był to dzień zaprawdę szczęśliwy dla niego, a może też przyjaciele pocziwi trochę temu szczęściu dopomogli... Ledwie rozmowę począł Zygmunt z ową panią, już znowu go odbito, posunął się do następnej, a była to pani Bartochowska, w dobrym humorze i nad podziw wesoła.

— Patrzaj pan, o dwie pary za nami, jejmość idzie, byle jeszcze odbito, będziesz musiał ją wziąć. Spodziewam się, że ci się nie zachnie, a jak ręki jój dostaniesz, poradzimy na to, ażebyście z sobą chodzili jak najdłużej. Masz pan dobrych przyjaciół.

Ledwie wyrazów tych dokończyć mogła, gdy Zygmunt już poszedł od niej odsadzony... i postrzegł, iż za nim w parze była z Mioduszewskim jego żona. Serce mu zakolało mocno. Co też to będzie? co to będzie?

Niemąło oczu patrzyło także z ciekawością na to widowisko, bo było nie lada i różni różnie wróżyli, po marsowém wejrzaniu Elżuni, która też przewidzieć

mogła co ją czekało. Jednakże nie zdawała się bynajmniej tém zmieszaną. Szła w majestacie piękności swój, nieporuszona, poważna, pełna uroku, tak, że co koło niej i za nią było młodych a całe niezspetnych kobiet, gasiła...

Gdy poprzędzający Zygmunta mężczyzna przyszedł mu jego parę wziąć, a on ustąpił by następującego odprawić od pani Zygmuntowej, trochę mu się w oczach zaćmiło. Śmiały żołnierz stracił odwagę... a nuż jejiność wyjdzie z rzędu i ręki odmówi? Płomieniem oblała się twarz, wyciągnął drżącą dłoń... ręka Elżusi spoczęła na niej równie drżąca... Czuł w niej bicie jój serca... Śmielszy nieco, podniósł ku niej wejrzenie pokorne...

— A! pani — rzekł nieśmiało — jakże już dawno, jak dawno nie spoczęła ta rączka na mojej! Nie wierzę mojemu szczęściu... boję się go za rychło utracić... a drugi raz w życiu taki taniec mi się nie nadarzy...

Elżusia surowo nań spojrzała...

— Te ręce, — panie Zygmuncie, nigdyś kapłan związał u ołtarza... a twoja wola ten łańcuch starzała... Tyś chciał.

— Byłem obłąkany, — byłem grzeszny, odparł Zygmunt który szedł nie wiedząc już co się w koło niego działo i gdzie był; — lecz Pan Bóg mnie srode pokarał za to. Cierpię też — a nie mówię, bym niezasłużenie bolał...

— A nie sam pan cierpisz, spuszczając głowę odpowiedziała Elżusia—myślisz, że moja dola szczęśliwsza? złamane życie...

— I nigdy mi nie przebaczysz? spytał ośmielając się Piętko. Na Boga! na Boga!... a też i zbójcom odpuszczają winy... i najstraszniejsze zbrodnie zmazuje pokuta?

Elżusia zwróciła ku niemu twarz spokojną... popatrzała nań długo, zdawało mu się, że się coś szkliło w źrenicy, że drżały wargi jakąś odpowiedzią— a ta odpowiedź nie przyszła — milczała... nie zaprzeczyła — nie przyrzekła... szła dalej... milcząca ciągle.

— Więc gdy mnie trafia szczęśliwy zbliżył do was, odezwał się po długim próżnego oczekiwania przestanku Zygmunt—a widzę, że dłużej tu zostając tyłkobyem sobie boleści bez nadziei przysporzył—pozwól mi pani, prosić o przebaczenie za przeszłość raz jeszcze... i pożegnać cię na zawsze. Pojadę jutro — miałem trochę nadziei przybywając w te strony... straciłem ją—po cóż męczyć się dłużej?...

— Jakąż pan mogłeś mieć nadzieję? zimno spytała kobieta...

— Żeś pani zapomniała i przebaczyła! że... ale po cóż to powtarzać raz jeszcze.

— Ja nie widzę w czémby krótka nasza rozmowa położenie i uczucia pańskie zmienić mogła? Wszakże nie powiedziałam nic? Nie chciałam panu uczynić najmniejszej przykrości?...

— Więc pozwalasz mi pani?...

— Ja nie nie pozwalam i niczego panu niebronię! żywo przerwała Elżusia... Tyle oczu na nas patrzył dodała... przerwijmy rozmowę przykrą dla nas obojga... Taniec się kończy...

— Ale po tańcu — czy mi się choć zbliżyć wolno?

— Mówiłam panu, nie nie pozwalam — niczego nie bronię... praw żadnych nie mam...

— Masz je pani, bom ja od trzech lat je złożył w twe ręce całe... wyłamywać się nie myślę. Miałas pani tego dowody...

Elżusia głową potrząsała milcząca.

Taniec przedłużał się jeszcze, oczy niemal całego zgromadzenia na nich były zwrócone... Elżusi twarz pałała... Zygmunt bledniał, czerwienił się, mieszał, z dala stojący stryj Eligi mówił już trzecią zdrowaśkę... a Mioduszewski poglądał niespokojny. Tymczasem szereg tańczących w którym był Zygmunt z Elżusią wszedł do pokoju gdzie właśnie starszyzna około beczki z kielichami gospodarowała — tu wrzawa panowała taka, iż niewiem czy blisko siebie idący usłyszeć się mogli... przerwać więc musiano rozmowę, a że młodzież domagała się czegoś skoczniejszego, poloneza wreszcie dokończono i każdy z ichmościów panią swą na miejsce odprowadził. Zygmunt też podał rękę Elżusi, a że siedzenie było daleko dosyć, całą tak salę z nią przejść musiał. Scisnęli się wszyscy na to patrzeć... szmer podziwienia i śmieszki dały się słyszeć do koła.



W chwili gdy do krzesła ją odprowadził Zygmunt i zawahał się czy ma przy niém stanąć—Elżusia żywo się odezwała:

— Proszę choć na chwilę dać mi ochłoniąć i odejść.. proszę... proszę.

Piętka natychmiast posłuszny wysunął się, dobrze to sobie w pamięci zapisawszy, iż — „choć na chwilę“ powiedziała Elżusia. Wytłómaczył to sobie w sposób bardzo prosty, iż po chwili téj nie będzie mu wzbroniono powrócić.

Tyle szczęścia tego dnia się nie spodziewał, to też do drugiej izby wszedłszy, Mioduszewskiego widząc w progu, pochwycił go w ramiona i z wdzięczności a radości o mało nie udusił....

— Wszystko to dobrze—zawołał Mioduszewski.. ale nic z tego nie będzie jeszcze, jeśli żelaza nie ubijemy dopóki gorące... Spowiadaj mi się asindziej jak tam było...

Zygmunt nigdy w życiu tak uległym nie był nikomu jak teraz staremu przyjacielowi: opowiedział mu więc wprawdzie niedokładnie, przerywając sobie wielu wykrzyknikami, całą rozmowę.. a naostatek zakończenie...

Wypili po kielichu, bo Wojski się tego domagał—daj Boże szczęście!..

— Nie zaniedbujże asindziej, a jak tylko chwila upłynie, idź i stań za krzesłem i dokuczaj... Powiadam ci żelazo trzeba bić dopóki gorące... Jeśli się tu dziś nie zdecyduje na zgodę, jutro Okonie zaczną od-

radzać, stryj Eligi płakać, przyjdą przypomnienia, obawy, refleksye... nie będzie z tego nic, lub jeszcze trzy lata i kobieta się (taka śliczna) wymęczy i wy będziecie pokutowali!.. Tu nie ma co myśleć, trzeba atakować! Wypatruj chwili i nie opuszczaj...

Gdy Zygmunt tak podbudzony wrócił do sali w której żonę posadził i gdzie się ją znaleźć spodziewał, już jęj tam nie było... Napróżno oczyma szukał, chodził posunął się dalej, obszedł kąty wszystkie— nigdzie Elżusi ani śladu... Ubodło go to sztrasznie stanął przy uszaku i zadumał się...

— Co tu począć?

Wtém patrzy, z drugiego końca daje mu znaki pani Bartochowska.

— Pani łaskawa—nie ma jęj! zawołał Zygmunt.

— A no nie, nie—nie obawiaj się—powróci zaraz, szepnęła pocziwa kobiecina: potrzebowała trochę ochłonać, bo była niezmiernie wzruszona. Siedzi w pokoju panny młodej... daliśmy jęj wodę pić i wódkąsmy lewandową otarli... Bardzo wzruszona była—ale bądź dobrój myśli... wszystko się ułoży... kiedy popłakała... to upór w nięj złamany...

Po krótkiej tęg rozinowie, Piętka już stał i czekał.

W drugim pokoju Mioduszewski się kręcił z Borodziezem.

— Trzeba tę kobietę znać, mówił cicho do niego —ona go kocha, onaby może i rada, aby się to wszystko skończyło i zapomniało—ale dumy i troszkę uporu złamać w sobie nie może.

— Ja myślę...

— Cóż waćpan myślisz? spytał Borodnicz.

— Może ja głupstwo myślę—dodał pierwszy, ale dalipan z dobrego serca dla obojga.

— Ale cóż?

— Bał oto mospanie noc... ona chce koniecznie jechać... dać jej konie... Zygmunt niech na kozieł siada za furmana... waćpan za służącego... wieźcie ją do domu... Gdy on tam raz będzie, a padnie jój do nóg — chybam nie szlachcie, żeby się nareszcie nie rozezuliła i nie przebaczyła, a nie pozwoliła mn zostąć... Niech, mospanie, własną żonę wykradnie... innój rady nie ma...

Borodnicz się zaśmiał tylko.

— Trochęś sobie w czubek nalał! rzekł do Mioduszewskiego... to się na nic nie zdało.

— Według mnie jedyna rada dodał upierając się stary... Jeżeli to nie pomoże, to nic w świecie.

— A cóż zrobicie ze stryjem Eligim?

— To sękl zawołał Mioduszewski—jabym gospoił, tak żeby zostać musiał...

— A ona sama nie pojedziel

— Dla czego? przerwał stary — myślisz, że się czegokolwiek w świecie boi? Ona? ha! ha! Byle dobrze rzecz się ukartowała.

— A no, i Zygmunt nie wiem czy się na to ważyć będzie...

— Ja przy mojem stoję—a no, pierwsza rzecz—co będzie to będzie, na wszelki przypadek, chodź asin-

dziej zemną, żeby Eligiego upoić... Ten zieleniaczek, który oni tu leją nam w gardła, zdrowy i dobry, lecz bodaj za słaby... Spodziewam się, że w tak wielkiej i ważnej potrzebie wojski mi kilka butelek staro-  
rego miodu nie odmówi...

Stryj Eligi stał sobie skromnie w kątku z lampką tego zieleniaczka, gdy Mioduszewski do niego przystąpił, ujął go w pól i szepnął mu na ucho:

— Co ty będziesz pił tę lurę? wylój precz za okno; ja ci coś takiego dam — palce oblizywać powiadam ci! Ale to dla uprzywilejowanych tylko dają. Chodź...

Stał już w pomoc Borodnicz... Poszli razem w kątek... Eligi się uśmiechał, choć zafrasowany.

— Panie Mioduszewski, zawołał na ucho mu szeptać, a był już odrobinę cięty: co to z tego będzie? Wszak on do Elżusi gadał, ona jemu odpowiadała! I w tańcu z nią szedł!

— No, to cóż? odparł stary—to co? Nie—kobieta stateczna nie chce awantur żadnych robić... Przy ty-lu oczach!... Jakże inaczej miało być, dla tego, że się z sobą rozstali, to już mówić do siebie nie mają? he!

— A to prawda! rzekł Eligi — cmokając nalany miód—przedziwny!

Mioduszewski zagadał stryja, począł co innego, opowiadał dykteryjki... rozśmieszył go... rozruszał, nie zapominając dolewać. Wypili tak jedną, wypili drugą... przy téj Eligi choć się jeszcze uśmiechał, ale już drzemać zaczynał. Zdrajca stary budził go,

wmawiał mu, że nie pije, zaklinał, zmuszał i około połowy trzeciej butelczyny dokazał tego, iż stryj już przebudzić się nie dawał weale .. Posadzonego w kątku tak aby sobie spokojnie mógł chrapać—a niezmordowany Mioduszewski poszedł najprzód o koniach radzić, będąc pewien, że Piętka się zgodzi na to porwanie... Borodzieczowi się to niepodobało, wszakże nie opierał się.

Z końmi było dosyć trudno, o wydanie koła z lamusa musiał chodzić aż do wojskiego i całą mu rzecz *sub rosa* tłumaczyć, że szło o tak wielką sprawę jak o pogodzenie małżeństwa. Zapalono latarkę, dostano kluczków, dobrano jakoś koło, ludzie jejmości byli w istocie pijani tak, że z nimi jechać ani myśleć... Gdy wszystko przygotował, stary wrócił do dworu i począł Zygmunta szukać. Ten jeszcze stał na straży, gdyż jejmość dotąd nie wyszła z pokoju panny młodej, choć tam pani Bartochowska około tego pracowała by na pokoje wróciła.

— No -- posłuchaj Zygmuncie, rzekł Mioduszewski: — chcesz ryzykuj się, albo starosta, albo kapucyn... rady nie ma! Ona siebie i ciebie rok jeszcze będzie tak ciągnęła daremnie... nie mogąc się zdecydować... Waż się na śmiały krok... jeśli chcesz.

— Na jakim? zapytał Piętka.

Mioduszewski począł mu szeptać na ucho... W Zygmuncie stary niedogasły szłaawiła się odezwał—uśmiechnął się—lecz zawahał w prędece...

— A jak się pogniewa? jak mnie wypędzi? Nie

wolęz ja rok jeszcze czekać, niż na wieki zostać odegnanym i pogniewać ją znowu?

— No—ja tam nie wiem, rób jak chcesz—odparł Mioduszewski trąc łysinę — wola twoja — mnie się zdaje, że ona temu gwałtowi będzie rada! Rozmyśl się—niechęć brać na sumienie nie... konie gotowe...

Zygmunt chciał i wahał się.

— A stryj Eligi?

— Nie ma go sposobu wziąć, leży jak kłoda, dałiśny mu starego miodu, ani ręką ani nogą...

— Probuje pan — westchnął Piętko — ja na koźie w opończy siadę... wola boża...

Stary jak skoro posłyszał, że się godzi, pobiegł szukać Bartochowskię, — ale przed tą ani przed nikim zwierzać się nie myślał.

— Prowadź no mnie asindzka do pani Piętkowój, mam na sumieniu, że tak cierpi, może ja co na to poradzić potrafię.

Przeprowadzony przez Bartochowskę, Mioduszewski wszedł do pokoju w którym pani Piętkowa z głową opartą na ręku siedziała.

— Królowo moja—co asindzee jest? zapytał prawie przykłękając.

— Trochę jestem zinęczona — wstydząc się i rumieniąc odrzekła Piętkowa; odwykłam od takich hucznych zgromadzeń i...

— Czy się pani na niego bardzo gniewasz? On tam sobie łba nie rozbije z rozpaczy... a ja też!

Elżusia spojrzała nie bardzo tak gniewnie a smutno.

— Do czego się to wszystko zdało? rzekła—on się nigdy nie poprawi—ja serca dla niego mieć nie będę... wszystko to daremne.

— Królowo moja! dalibóg, nie tak jest! on się zmienił: poprawił do niepoznania, a asindzka go kochasz... to święta prawda...

Porwała się z siedzenia Elżusia, popatrzyła na starego—i rozplakała się—a trzeba wiedzieć, że choć czasem przez słabość niewieścią łzę jaką miała w oku, płakała bardzo rzadko.

Mioduszewski zrozumiał co to znaczyło.

— Wiesz, moja królowo, co... będziesz się tu nadaremnie męczyła nie bawiła... prawda że ludzie napili, a no ja woźnicę doskonałego dostałem... służący się znajdzie...jeśli wola wasza... wracajcie do domu, cóż już począć!

Pani Piętkowa, jak gdyby jaką zdradę przeczuwała, żywo popatrzała na Mioduszewskiego, w którego oczach czytać chciała; lecz stary taką na ten raz twarz sobie pocziwą, niewinną wyrobił, tak się jój wydał prostodusznym, że jeśli miała podejrzenie jakie, i to znikło.

Widoczném było że Elżusia i wstydziła się powiedzieć, że mogłaby zostać, i jakoś nie ochotnie do drogi się wybierała, i wydać się z tém niechciała przed Mioduszewskim.

— Konie będą, za ludzi ja ręczę... jeśli wola wasza...

— A stryj Eligi?

— No—tego wypadnie do jutra zostawić, chyba ja go odwiozę, bo śpi, i to takim snem twardym...

— Cóż to jest?

— Nic, rzecz bardzo zwyczajna... trochę się starego miodu napił... To mu nie zaszkodzi. W tym stanie jednak, w jakim się znajduje, czterech ludzi by trzeba, aby go do powozu wsadzić, a dwóch może, coby trzymali potem w drodze.

— Więc ja mam jechać sama?

— Dwóch ludzi pewnych, za których ja gardłem ręczę...

Spojrzała mu w oczy niedowierzająco.

— Czym kiedy zdradził?

— Dla czegoż mnie teraz wyprawiacie, gdyście wprzód radzili sami, ażebym została?

— Bom sądził, królowo moja, że to się wszystko inaczéj złoży, że asindźka dasz się skruszyć... przebłagać... a jeśli masz popłakiwać w kątku, do czegoż się to zdało?

Elżusia myślała... wahała się, przeszła się po pokoiku i sama do siebie jakby wykrzyknęła:

— Nie—nie! do domu! do domu!

— Czekażże, królowo moja, aż przyjdę dać znać, że wszystko gotowo... Nie zabawię! zawołał Mioduszewski...

Słychać było w cichym tym pokoiku pełnym jesz-



cze przyborów, które Ignasi służyły do ślubnego ubrania, muzykę dochodzącą z sali, śmiechy wesołe starszyny przy kieliszkach i śpiewy do tańca. Elżusia ze łzawemi oczyma chodziła jakby pasując się z sobą. To zwieszała głowę na piersi... to do góry ją podnosząc—powtarzała znowu; Nie! nie! Nikt jej nie widział; łamała ręce... stawała.. Myśl snadź przechodziła wszystkie następstwa przebaczenia i rozstania... przyszłość wdową i we dwoje... Gdy Mioduszewski ukazał się na progu, gorączkowo uciekając od domu tego, do którego coś ją zdawało się ciągnąć... rzuciła się ku niemu i w milczeniu dobiegła do kolebki... Borodzieza, który rękę jej podał do wsiadania, nie poznała... padła w głąb powozu.

Konie ruszyły... Dwór oświecony rzęsisto, w którym kipiało weselem, został wkrótce daleko... bo konie ujęte silną i wprawną ręką biegły coraz przyspieszając kłusa... Była może godzina pierwsza z północy... trzy mile dzieliły wioskę Piętków od majątności wojskiego... Zwykle trzeba było na przebycie tej drogi półtrzeciędziesiąt godzin... teraz, mimo nocy, której gwiazdy przyświecały... mimo nie zupełnie dobrych dróg, starczyło dwóch godzin na przebieżenie jej. Zaczynało się zbierać na dzień, gdy wioska, do której jechali, ukazała się z dala w mroku... Elżusia niespokojnie wyglądająca co chwila, mogła dostrzedz dwór... w którym światła nie było nigdzie... wieś spała... Na wschodzie jakby łuna zielonawego światła przecięta chmurami szaremi rozszerzała się

powoli, gwiazdy bladły i znikały. Wjechali do wsi... Cisza i sen w niej królowały jeszcze, koguty piałły tylko po chatach... i rżały konie gdzieś w stajenkach obudzone. Bramy do dworu nie było komu otworzyć... Borodziez, który udawał sługę, zlaźł z kozłów.—Elżusia wychyliła się pytając:

— Jakto? jużesiny w domu?

— Tak, pani dobrodziejko...

Poznała go po głosie.

— A! to pan!

— Tak jest... chciałem być pewien, że bezpiecznie woźnica ją odwiezie...

— O mój Boże! to pan? powtórzyła powtórnie Elżusia...

Borodziez tymczasem wrota otwierał, i pośpieszył na kozieł, bo tu rola nieszczęśliwego woźnicy, rola niebezpieczna rozpocząć się miała...

Ledwie się konie zatrzymały w ganku, Zygmunt drżący spuścił się z kozłów oddając lójce przyjacielowi; przyszedł do drzwiczek... dzień był szary... lecz mimo tego mroku, Elżusia spojrzawszy nań poznała natychmiast.

Zyginuś przykląkł— na stopień wyciągniętą nóżkę całował.

— Elżusiu! albo mi przebaczysz i przyjmiesz, lub idę i topię się w stawie! Nie chcę dłużej żyć bez ciebie...

To mówiąc nie opierającą się mu i powolną wziął, na ręce... i z tym drogim ciężarem wszedł na ganek..

Borodziez słyszał tylko szept cichy, potem do drzwi stukanie... potem otwierające się podwoje i kaszel zaspanego sługi... i nic więcej. Musiał bowiem sam do stajni odjechać.

---

Nazajutrz stryj Eligi obudził się około godziny dziesiątej, przetarł oczy, obejrzał się—długo ani rozpoznać gdzie jest, ani zrozumieć dla czego tam się znajduje, nie umiał. Powoli wspomnienia dnia wczorajszego powracać mu zaczęły... i jasno widział całą swą przeszłość aż do czarnej miodu butelki... Ta zasłaniała mu ciąg dalszy... aż do momentu, w którym go na bardzo skromny barszczyk kwaśny, używany w podobnych wypadkach, zaproszono... Towarzystwo całe, przebywszy noc na skokach i uctowaniu, pokrzepiało się śniadaniem.

Niespokojny Eligi począł szukać synowicy, a znalazł tylko nad talerzem barszczu Mioduszewskiego.

— Dzień dobry, stryjasku Eligil a co? barszczyku? doskonały!

— Gdzie ona?

— Kto? Elżbieta, królowa nasza! El! el! el! dawno w domu!

— Jako! wyjechała? bezemnie?

— Jeszcze wczoraj...

— Bezemnie! powtórzył niespokojny Eligi—bezemnie?

— A jakże cię było wziąć, kiedyśmy cię budzili we

czterech, trąbili w uszy smalili finfy pod nosem, oblewali wodą! leżałeś jak kamień.

— A to proszę!... to proszę! rozpaczająco rzekł Eligi—na sen mi dano—czy co?

— Ja tam nie wiem, ale spałeś jak bobak...

— Ale z kimże pojechała? z kim pojechała?

— Oto się nie frasuj, lepszego stróża wybrać sobie nie mogła nad tego, który ją tam odwiózł...

— Przecież ktoś?

— Naturalnie mąż!

— Jaki mąż! zawołał Eligi — co asindziej poleciesz?..

— *Verbum nobile*, że mąż ją powiózł — za to ci mogę ręczyć. Wasz Staszuk pijaniuteńki leży jeszcze w wozowni... Nie było sposobu, Zygmunt się podjął wieźć, a wiesz, że doskonale wozi... i pojechał.

— No, to się skończyło! zawołał Eligi ręce załamując—on już tam zostanie.

— Myślisz? rzekł Mioduszewski...

— E! niezawodnie! Jeśli ją powiózł, rzecz skończona.

— Zjedźże barszczu, ja cię wzmę na swoją bryczkę, pojedziemy chyba zobaczyć co się tam u nich dzieje...

— Zawsze mówiłem do wczorajszego dnia—odezwał się smutnie Eligi—Herod-baba—a no, im nigdy wierzyć nie można, w końcu każda zmięknie... no, i ta trzy lata męczyła się, odpychała... odgrażała... a teraz...

Machnął ręką i siadł do barszczu... Frasunek nie przeszkodził mu zjeść głęboki talerz do dna, zakąsić ogórkiem kwaśnym, poleconym wielce w podobnych wypadkach, zapić to wódką gdańską i zająść piernikiem.

Dobili się potem do stajni, do koni i bryczki, i pojechali. Nie spieszyli wszakże tak bardzo, bo woźnica ich po trudach nocy burzliwej drzemał... i dopiero dobrze z południa, gdy apetyt już mocno się obu czuć dawał, ujrzeli dworek Piętków.

— No — jak ci się zdaje? — spytał Mioduszewski: zastaniemy my tam Zygmunta czy nie? przyjęty czy wzięł odprawę?

Eligi w palce stukał.

— Kto go wie? z kobietami mosanie, nigdy niczego pewnym być nie można...

Ale już we wrotach nie było wątpliwości o Zygmuncie, bo oboje państwo Piętkowie stali w ganku i witali z dala poznanego Mioduszewskiego.

Temu pocziwcowi aż się coś w oczach mgiło.

— Niechże będzie panu Bogu chwała! zawołał — no, tak, to lubię... Vivant państwo młodzi! dodał wyśkakując w ganek. Ale bez wesela się tu nie obejdzie... wesele być musi... od tego nie odstępuję... Ślubu nie potrzeba... a poskakać i poradować się z powrotu syna marnotrawnego musimy! Królowo moja — rzekł całując w rękę Elżusię — gdybym ja się w to nie wdał, Zygmuntowi otuchy niedodał, spisku

nie uknuł, bylibyście jeszcze nie wiem ile lat się mężczyli...

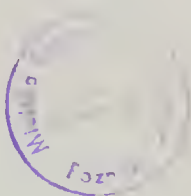
Zygmunt rzucił mu się na szyję.

— Ale kochanie moje — szepnął Mioduszewski w ucho—jak mi ty teraz jeszcze jakie głupstwo zmalujesz, klnę ci się na wszystko najświętsze, że sam za tę kobietę mścić się będę...

— Nie bój się—miałem ja za swoje! odparł Zygmunt...

W tydzień potem istotnie u państwa Piętków uczta była nielada, całuteńkie sąsiedztwo, wszyscy, którzy na weselu u Cewków byli, musieli tu jechać na drugie wesele—które ani srebrném, ani złotém jeszcze nie mogło się nazwać, lecz chyba pokótném. Znajomi i sąsiedzi Piętków mogą poświadczyć, że odtąd żyli z sobą w miłości i zgodzie najprzykładniejszej, utrzymywano nawet, iż Piętka siedział pod pantoflem, tak żonie ulegał i był posłusznym... Stryj Eligi w kilka lat potem wrócił do swój dawnój definicyi i szeptał po cichu:—Herod-baba.

K O N I E C





# DZIEŁA

## J. I. Kraszewskiego

wydane w Warszawie w roku 1881

- Bracia rywale. Opowieść historyczna z końca XVIII wieku . . . . .
- Bratanki. Powieść z podania po staroku XVIII wieku z tomy . . . . .
- Brühl. Opowiadanie historyczne z końca XVIII wieku . . . . .
- Cześnikowny. Powieść historyczna z końca XVIII wieku i Piliński . . . . .
- Hołota. Powieść historyczna z końca XVIII wieku . . . . .
- Hrabina Cosel. Powieść historyczna z końca XVIII wieku . . . . .
- Jak się pan Paweł żenił i jak się ożenił. . . . .
- Jesienią. . . . .
- Kawał literata. Wiersze z końca XVIII wieku . . . . .
- Krasicki, życie i dzieła. Karta z końca XVIII wieku . . . . .
- Toż samo w wielkim formacie . . . . .
- Macocha. Powieść z podania XVIII wieku . . . . .
- Mogily. Abroadabra. Dwa fragmenty . . . . .
- Morituri. t. . . . .
- Niebieskie migdały. t. . . . .
- Ostatnie chwile księcia Wojewody. (Pani . . . . .)
- Wydanie . . . . .
- Pan na czterech chłopach. Historia z końca XVIII wieku . . . . .
- Powrót do gniazda. Powieść z końca XVIII wieku . . . . .
- Resurrecturi. t. . . . .
- Roboty i prace. . . . .
- Skrypt Fleminga. . . . .
- Starosta warszawski. Opowieść z końca XVIII wieku . . . . .
- Syn marnotrawny. Opowieść z końca XVIII wieku . . . . .
- W starym piecu. . . . .
- Z siedmioletniej wojny. Opowieść z końca XVIII wieku . . . . .
- Żywoł i sprawy JM. Pana Medarda . . . . .

Wydanie drugie

- Krzyżacy, 1410. Obraz z końca XVIII wieku . . . . .
- Złoto i błoto. Powieść z końca XVIII wieku . . . . .
- Pod Blachą. Powieść historyczna z końca XVIII wieku . . . . .
- Wilczek i Wilczkowa. Opowieść z końca XVIII wieku . . . . .
- Przygody P. Marka Hinczy. . . . .
- Ramultowie . . . . .



Biblioteka Raczyńskich

**JK 937**



JK0937